

Poszukiwacz

Wyzwolenie obozów
zagłady Auschwitz

Stalag
IF Sudauen

poszukiwania

Nr 01/2017 (28) styczeń 2017
www.poszukiwania.pl



POWSTANIE STYCZNIOWE



Redaktor naczelny:
Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:
Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:
Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**
archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:
redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:
redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

Śnieżny i mroźny styczeń zatrzymał część miłośników historii i poszukiwaczy w domach. Proponujemy wykorzystać ten czas na sięgnięcie po lekturę związaną z Powstaniem Styczniowym. Istnieje wiele dzienników, opracowań i wspomnień poruszających ten temat. Wśród nich wnikliwy czytelnik odnajdzie perełki mówiące o powstańczych skrytkach, ukrytej broni czy też o prawdziwych skarbach.

Zachęcamy do poznawania historii powstania odkrywając w terenie miejsca z nim związane. Gdy na polach i w lasach odnajdziecie zapomniane krzyże powstańcze zatrzymajcie się i zadbajcie o nie. Są to najpiękniejsze ślady pamięci o uczestnikach Powstania Styczniowego.

*Czekam na Wasze opinie i sugestie.
Piszcie do mnie kruku@poszukiwania.pl*

Rafał Kruk

SPIS TREŚCI

4	Pokoleniowa mieszanka w drutowanym garnku
18	Poszukiwacz
21	Skarb, jeżyny i firma Otto Schleiff z Berlina
33	Podróże w XVI wieku – koniecznie z przygodami
37	Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe – Rosja i ZSRR
40	Nekropolia sudańskich mnichów
43	Zabytki z Reduty Ordona
45	Pochówki elity z VI – VIII wieku
47	Najstarszy zakład szklarski na terenie Polski
49	Muzeum w Pieszku pozyskało cenne zabytki
51	Wirtualna mapa odkryć archeologicznych
53	Historia pleśnią pisana
55	Warsztat odlewniczy
57	Monety
61	Denominacja złotego
65	Stworzenie Legionów Polskich we Włoszech
68	Łuski węgierskie. 8x56 R Mannlicher i 8x50 R Mannlicher
70	Marszałek Mannerheim w Polsce – historia nieopisana
75	Wyzwolenie obozów zagłady Auschwitz
81	Bić się czy nie bić ?
85	Fotograficzny portret powstańców styczniowych
91	Miejsce pamiętników i wspomnień w badaniach nad powstaniem
93	Powstanie Styczniowe
97	Powstanie styczniowe na żelaznych drogach
101	Stalag IF Sudauen
106	Sfałszowane wybory do Sejmu
124	Pierwszy samochód rajdowy Toyoty

Pokoleniowa mieszanka w drutowanym garnku



1.1

Czy zdarzyło Ci się kiedykolwiek spokojnie wjechać na strzeżony parking, zatrzymać pojazd na upatrzonym, wolnym, pustym miejscu, a następnie spokojnie wyjść, otworzyć tylną klapę, wydostać wózek, trzasnąć klapą, otworzyć boczne tylne drzwi, wydostać już nieco zniecierpliwionego Iwę, posadzić to żywe jak srebro stworzenie w wózek, oczywiście nałożyć szeleczki niejako usiłując unieruchomić te machające rączki i nóżki? Kliknięcie pilotem. Już, uff!!!

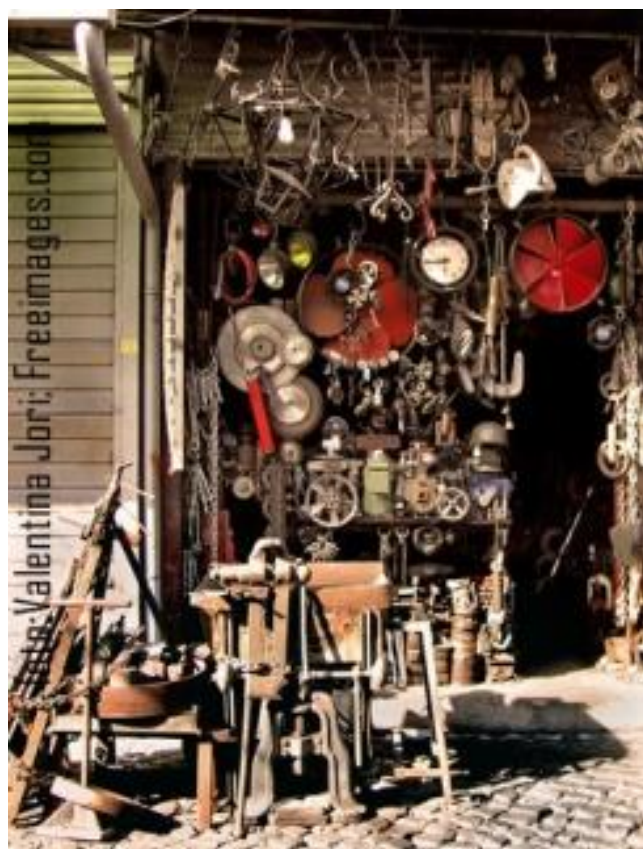
Niezwykle zadowolony z dokonanych niemal perfekcyjnie czynności, chcesz udać się do

zamierzonego celu, nagle wyrasta przed Tobą On - Pan Parkingowy.

„Źle pan tu stanął” -trzeszczy- ”niech pan podjedzie tam”. Na próżno twoje zdawałoby się logiczne tłumaczenia, że Ty tylko na godzinę, że przecież parking prawie pusty. Widzisz jednak przed sobą męża stanowczego, groźnego, dzierżącego władzę absolutną na tym terenie i żadne argumenty nie przemawiają do Parkingowego, nawet popłakiwanie nieszczęśliwego malucha, który już jechał, a tu wózek stanął i jeszcze przyplątał się tu jakiś pan i chyba coś mówi niezbyt przychylnego.

Staje przed Tobą perspektywa ponownego brnięcia przez otwieranie, zamykanie, pakowanie, wyprężanie a następnie znowu to samo, opędzasz się dychą i mruczący coś tam pod nosem cieć idzie do diabła. Oczywiście jak zjawiasz się po godzinie, parking nadal półpusty. Ciec użera się z innym klientem, głosy podniesione .Stoisz chwilę – trzeba przecież zapłacić.

Podchodzi, klnąc głośno - "widzi pan k...a, ludzie to by człowiekowi na głowę wleźli." I cóż? - Płacisz bez słowa parkowe, przechodzisz procedurę pakowania i jedziesz.



2.1

Pierwszą „maszynę” kupiłem od gościa niewiadomego autoramentu, był znajomym znajomego mego Ojca. Prawie nie odpowiadał na moje pytania, zbywał mnie pomrukami a kiedy pytałem: „czy pan nim coś znalazł” na jego twarzy ukazywał się tajemniczy uśmiezek. Odpowiedzi nie uzyskałem.

Niewiele też wiedział na temat stanu technicznego urządzenia, co ono „może”, ja zaś wówczas nastolatek przytupywałem ze zniecierpliwienia kiedy będę mógł stara wziąć do rąk i pochodzić po lasach, polach i drogach-

miejskach bezdyskusyjnie moim zdaniem tkniętych starą i nieco nowszą historią. Zapłaciłem tyle ile żądał. Nie była to suma dla mnie wygórowana. Dysponowałem środkami zdobytymi „własną krwawicą” będącymi poza rodzicielską kontrolą - pracując w wakacje w Norwegii. I oto świat stanął przede mną otworem. Przed oczyma, jak żywe, stawały mi skarby pozostawione przez bogatych kupców, magnatów – najlepiej zakopane gdzieś pod kamieniem, starym dębem, na skraju duktów leśnych, starych szlakach. Wymagało to ode mnie zapoznania się z starymi mapami, zapiskami o które trudno, jednak tu i ówdzie trafiły mi się zarówno mapy jak i historie okolicznych ziem, wszystko to jednak mało precyzyjne i dokładne jak na moje niezwykle wysokie wymagania.

Łaziłem kilka miesięcy. Przywlokłem całą „kupę” złomu. Znalazłem takie miejsca, gdzie niemal każdy metr lasu był naszpikowany metalem, przeważnie łuski karabinowe, zarówno niemieckie jak i rosyjskie od pepeszy, ładownice, resztki masek p.gaz, przerdzewiała do cna broń. Zastanawiam się, co u diabła robiło wojsko w środku lasu, gdzie nagle znajdowałem całe garście łusek: polowania? Powojenni kłusownicy? Może to miejsca stacjonowania Rosjan?

Zdarzało mi się znajdować takie „kwiatki” w środku lasu, z dala od duktów w lesie dość starym, około 100 letnim, lub w miejscach świeżych kilku – kilkunastoletnich nasadzeń. Blisko miasta, podczas jednej z eskapad znalazłem duże skupisko niemieckich łusek z charakterystycznymi znakami SS na pierścieniu przyspłonkowym. Po bliższym zapoznaniu się z terenem z całą pewnością odkryłem, że to ponemiecka strzelnica polowa, z charakterystycznym kulochwytem a następnie miejscami stanowisk strzeleckich. Wszystko to zarośnięte lasem już kilkudziesięcioletnim.

Trafiło się też kilkanaście monet, niektóre nawet całkiem, całkiem i chociaż „znaleziska” były dość skromne, nie straciłem tego dziwnego ciągu do przemierzania przestrzeni i wsłuchiwania się w miły dla ucha dźwięk piszczałki która brzmiała mi chwilami jak róg Wojskiego opowiadający o starych dziejach. - Prędko saperka – kop,kop i już jest za chwilę kawałek końskiej podkowy.

Zaczaję się u zbiegów starych duktów, na moich mapach niby to starych szlaków, przecie tu musiały popasać karawany kupieckie, oddziały zbrojnych wojów. To tu pewnie dochodziło do bójek, rabunków, kto wie czy jakiś kupiec nie zakopał złota, drogich kamieni, chroniąc majątek przed rabusiami, tym bardziej, że piszczałka co rusz dawała znać o sobie. Zdejmowałem czapkę zlany potem z emocji i ciężkiej fizycznej pracy - wszak przekopywanie metrów ziemi dość twardej, zrosniętej darnią, miejscami nadzianej kamiennymi okrągłakami, to nie takie aj fach.

I cóż, okazywało się jednak, że kopałem w całkowicie nieodpowiednich miejscach, wykopując jakieś bliżej nieokreślone, przeżarte rdzą żelastwo, lub łuski ruskie i niemieckie, a zalegające wkoło skarby pozostawały nietknięte. Wracalem do domu wymęczony, z piętnem niezwykle wysiłku na umęczonej twarzy, zważając by udać się niespostrzeżenie do swojego pokoju. Tata jak zwykle dorywał mnie - przemykającego ukradkiem i pytał? - Rany Boskie! - co? - rozładowywałaś wagony?! A potem słyszałem jak mówił do mamy - "tak wykończonego to go jeszcze nie widziałem."

Gorzej, jak dopadał mnie w trakcie przygotowań lub wyjazdu na poszukiwania, z lekką ironią wypowiadał tą swoja niepotrzebną gadkę: „a gdzie to jedziemy?! Aaa! W poszukiwaniu straconego czasu.”

Dźwięczało mi to w uszach niemożliwie. Jadąc ustalałem plan zemsty; jak to przywożę worek złota i precjozów a zdumiony Tato z wrażenia nie może wypowiedzieć ani słowa, a ja w milczeniu wysypuję zawartość na podłogę i stoję z wyrzutem w oczach patrząc na swojego rodzica. Ha!!!

2.2

Po angielsku Gabor mówił - od biedy. W jego języku trudno gadać, wszak madziarski jest ponoć tuż za chińskim, lecz przed naszym - jeśli chodzi o trudność w porozumiewaniu się. Starał się jak mógł, podobnie jak Ty. Dzielila Was przepaść- jego w wysłowieniu, Ciebie w zrozumieniu tego co chce wyrazić. Twój literacko poprawny angielski płynął skypem w eter, jego madziarsko - angielski przyplýwał. W zamian za znak przypinany do czapki jednej z kolaborujących węgierskich dywizji, Ty zobowiązałeś się wysłać Gaborowi pocisk

karabinowy z znakiem SS. Przeciwno Tobie niezwykle sprawni w ściganiu przestępców funkcjonariusze warszawskiego WOP-u rozpoczęli dochodzenie karne. W jednej z przesyłek wysyłanych za granicę stwierdzono obecność pocisku. Oczywiście była to przesyłka od Ciebie do Gabora. Niezwykła czujność wopistów uchronila ludzkość przed wykorzystaniem „pocisku” do niecznych celów. Machina wymiaru sprawiedliwości z artykułami i paragrafami już prawie Cię doścignęła, gdy oto Tata stwierdził, że nie wierzy aż w taki idiotyzm - dowiedziawszy się o szczegółach sprawy. Szczęście!-Akurat w momencie decydującym zadzwonił do WOP. Szczęście!- W Stolicy miał służbę major odpowiedzialny. Szczęście!-znający ten przypadek, będący w kręgu jego działania. A już była pięknie zszyta teczuska akt, tuż przed zgłoszeniem przestępstwa w majestacie prawa -prokuratorowi. Po kilku minutach rozmowy, że przecież łuska z wystrzeloną spłonką i z włożonym przez syna czubkiem to przecież nie amunicja - obydwaj byli zgodni - paranoja. W ten sposób zakończyło się dochodzenie i zdawałoby się nieuchronne oskarżenie. Bo nie daj Panie Boże- jakby te akta trafiły do prokuratora, to znając „wysokie kwalifikacje” niektórych osobników, a do tego jeszcze zbieg okoliczności i Sędzia nie znająca podstawowych cech amunicji oraz nic nie znaczącej użytkowo atrapy- szykował się ładny pasztet. I pomimo tak nadzwyczaj radosnego finału, nie wiadomo czy nie Jesteś już notowany jako kandydat na terrorystę i w przypadkach uznanych przez decydentów za strategicznie trudne, będziesz inwigilowany, przeszukiwany, przesłuchiwany, przetrzymywany, a następnie wypuszczany i z powrotem te wszystkie.....any. Wokół Ciebie będzie się włóczyło co najmniej 2 smutnych facetów obserwujących, czy przypadkiem nie kontaktujesz się, ale u diabła z kim?! Wszak przeciwko Tobie było prowadzone dochodzenie - handel amunicją.

3.1

Brzask. Przez okienko chaty wpada chimeryczny promyczek słońca. Sołyszko nagle siadł-cosik mu się przewidziało. Krasula już ryczy i wali z ścianę chałupy, kogut już pewnie nie pieje, wróble świergola.

Oj czas, czas - deski gniołają, oj siennik napełnić już czas, czas. „Przecie dzisiaj jade, oj czas, czas”

Mówiłem jej, że snopy z owsianką przygotowane, wywalić by to zimowisko z siennika i napełnić owsianką – ot, co, a na to przecie już czas, czas”- myśli. Zafrasowany niemożebnie zwleka się z barłogu, Bronka też się nagle zrywa – oj, już słonko w oknie – „a przecie dzisiaj jedzie”-myśli Bronka. Prędko do kuchni, kilka drewniaków i zaraz garnek, patelnia, czajnik. Wszystko się z rąk wymyka a nie dalej jak we wtorek był druciarz, przecie garnek świeżo drutowany, wziął 2 złote i jeszcze jadł kartofle - omasty nie żałowała i pił kwas - myśli wzdychając Sołyszka.

Psy chyba tego druciarza zeżrą, przecie jak tylko słycać szczekanie, wycie, jazgot psich mord, wiadomo, że to druciarz. Zaczyna jak zwykle kowalowy Reks basem - już na Podleszczynach a potem już cała wiejska psiarnia Azorów, Morusów, Maksów nawet Murzyn zalegający w stodole ze starości, wywleka się na podwórzec, zawyje, zaszczeka, zanim zejdzie z tego świata. Maniek zakopie go za opłótkami, a Jania, Ania i Misia pochlipią nad Murzynem, wycierając łezki z swych smutnych, dziecinnych buź skrajami fartuszków. Następnie psia hałastra nie widzieć czemu oprowadza druciarza po wsi od domu do domu. Wszędzie jest robota, natłuczonych gliniaków do drutowania- pełno. Aż w tym psim towarzystwie, opędzając się kosturem, klnąc pod nosem, druciarz dochodzi do Sołyszków, spocony, wymęczony opada na ławę w przyzbie i dyszy, dyszy. Zmordowanemu mężczyźnie Bronka daje kwas - a niech se popije – myśli, może i taniej weźmie, przecie ten garnek nowy. Kupiła go w mieście w 7-mym roku po wyjściu Niemca. Rok tylko gotowała. Powiesiła na płocie jak zawsze, żeby wysechł. A przecie jeszcze wisił jeden, dostała go od matki jeszcze przed Niemcem. Maniek pędził Krasulę już na wieczorny udój a to bydle jak nie otrze róg o płót, jak nie strąci prosto na cięciwkę do sieczki. Rozpadł się na kilka części. I ucho odpadło. Misia z płaczem wpada do izby – „matulu! - garnek!”

Łza się w oku kręci Bronce, jak najpierw zbiera skorupy do zapaski, potem zawija je wszystkie

pieczołowicie w płachetkę, a jeszcze jakieś okruchy gliniaka znajduje, Maniek w milczeniu przynosi jeszcze kilka okruszków, dokładając do płachetki.

Siedzą potem na ławie i nic nie mówią. Sołyszko - dwa dni słowa nie mruknie. Ot baba. Narobiła kłopotu. Przecie garnek miała wieszać od strony krzaków. Tam by Krasula nie wlaźła. Strata tylko. Ale żonka wie jak ze swoim trzeba . Już na trzeci dzień Sołyszko nic nie mówi o garnku, już z sobą gadają, dzieciaki przy śniadaniu spoglądają jeden na drugiego, oczka szelmowsko błyszczące, buzie uśmiechnięte. Bronka kładzie podpłomyki każdemu sprawiedliwie po dwa. Maniek nakłada na chleb twaróg, Sołyszko chlipie zalewając z wczorajszego obiadu, a o garnku- już ani słowa. Dzisiaj jednak już inaczej, trza się spieszyć, Mańka budzić. Śpi z dziećmi w stodole . Czas.. czas..

Maniek jednak sam wstał i już Gniadą oporządza, chomąto założone. „Oj, szelki miał założyć” - mówi Sołyszko. „Przecie jedziecie do miasta, a tam zawsze chomąto, tak jakoś lepiej” – mówi Maciek. „A niech ta” – mruczy Sołyszko. Oj udał się chłopak. Zaradny, wszystko już umie, niedługo trza będzie dziewczę szukać .Zawczasu jeszcze, zawczasu – śmieje się Bronka. Jeszcze tylko 4 worki ziarna na furę, pojeść trochę, napić i wioo.....do miasta.

3.2

Michaś, Jędrus, Jerzyś i Jurek- dlatego Jurek żeby nie było dwóch Jerzysiów - siedzieli na wapiennym murku przy bramie. Przed nimi chodnik i główna ulica nazwana ku chwale wyzwolenia od Niemców, którzy opuścili miasto i okolice, niespełna 8 lat wcześniej a właściwie nie opuścili tylko uciekli okupanci przebrzydli, pozostawiając co niemiara dóbr wszelakich nie tyle w mieście ile w okolicach. Jednak tu, z obiektów interesujących naszą czwórkę, pozostawała tylko stara Jajczarnia. Gipsiarnia, Druciarnia – te firmy były poza kręgiem zainteresowania. Niemcy pozostawili następnej władzy niejako zgniłe jajo potocznie zwane zbukiem w postaci kilkuset tysięcy tychże zbuków poukładanych w papierowych wytłaczankach, a następnie eleganckich drewnianych skrzynkach z wymalowaną gapą na

każdej. Zajęta utrwalaniem nowa władza, nie wiedziała co z tym fantem robić, być może niektóre jaja były kiedyś dobre, jednak zalegając w skrzynkach kilka lat prawdopodobnie jako żelazny, strategiczny zapas stały się prawdziwym zgniłym jajem. Zbuki były łatwe w pozyskaniu, gdyż jajczarni pilnował stary Buba i sobie tylko znanymi drogami, nasza czwórka dostawała się przez wysoki, jeszcze ponemiecki płot, a raczej dziurę w tym płocie. Jak Bubie kazali dziurę zadrutować, to chłopcy oddrutowywali i już byli w jajczarni, gdzie uzyskiwali wspaniałe pociski. Rozprysk zbuka na koszulce lub spodenkach powodował niezwykle koncentrację smrodu niespotykaną dotychczas w atmosferze. Rzeczy z reguły nie nadawały się nawet do prania, gdyż po praniu, gotowaniu, ustawicznym wietrzeniu pozostawał i tak charakterystyczny smrodek i delikwent za żadne skarby nie nałożył na siebie trafionego pociskiem ciucha. Zbuko-atak, pod względem efektu, można było porównać do współczesnego napadu z bronią w rękę, gdyż powodował on niepowetowane straty. Uzyskanie nowych, a nawet używanych spodenek czy też koszulki było teoretycznie niemożliwe a ogólnie ciuchy w tym historycznym czasie i do tego w tym miejscu Europy nie były w kręgu zainteresowania osób odpowiedzialnych za zaopatrzenie. Ba, pozostawało jeszcze odium niesławy dotkniętego zbukową napaścią właściwie już całkowitego denata, eliminowanego przez miejscowy establishment, a w bogactwie nazewnictwa - „smrodek” było określeniem najłagodniejszym, przeważnie używanym przez dziewczęcą stronę towarzystwa.

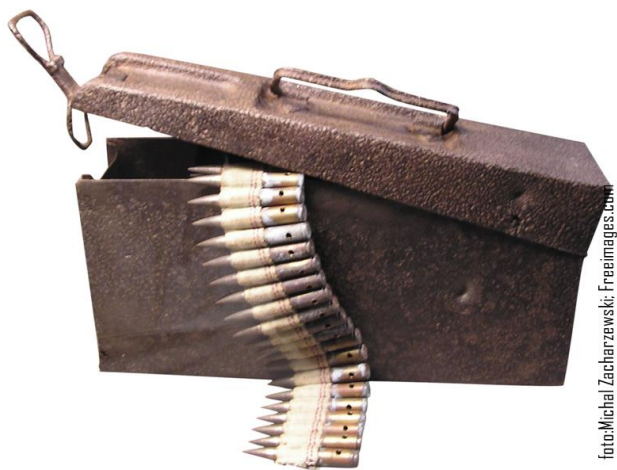


foto: Michał Zacharzewski: Freemages.com

Dla chłopaków, ciekawsze były skarby pozostawione w okolicach miasta. W odległości kilku kilometrów, w pobliskim lesie były magazyny zbrojeniowe wysadzone przez Niemców podczas zbliżania się frontu, niszczone nalotami aliantów – jednak niecałkowicie. Tam to, nasza czwórka powiększana o Józka i Antka- sąsiadów z podwórka - często penetrowała las. Znajdowane skarby upychane były jak zwykle w ścianach dużej opuszczonej stodoły budowanej onegdaj z kamieni wapiennych. Dziurawe drewniane wrota, oraz dach przez który widać było nocą całkiem dokładnie gwiazdy na niebie sprawiały, że obiektem nikt się nie interesował. Był nikomu niepotrzebny. Prawdopodobnie nakłady na remont przekraczały wówczas możliwości właściciela, a zresztą nie wiadomo było czyja jest stodoła jak i czyje przylegające pole z starym sadem owocowym, a jak nie wiadomo czyje to pewnikiem pożydowskie. Upychanie łupów po murach wapiennych, to nie pomysł naszej czwórki. Znajdowano tam chowane pociski i broń z okresu I wojny, w ten sposób kontynuując niejako narodową tradycję zbieractwa i upychania, wszystkie znalezione skarby znajdowały miejsce w wapiennych murach stodoły. Hełmy i pasy z przeróżnymi sprzączkami zalegały w skrzyni dla niepoznaki przykryte starymi, brudnymi szmatami. Teraz już nikt tego nie przynosił, gdyż w lesie leżało tego pełno, hełmy, czapki, oficerskie mapniki, ładownice, a nawet lornetki, w miejscach często niespodziewanych, a przecież to wszystko było niby dokładnie sprawdzone i zrabowane przez zwycięskie wojska, następnie rodzimych saperów. Wśród upchniętych min przeciwpiechotnych i czołgowych, pocisków takich i owakich, trotyli i wszelakich innych wybuchowców w laskach, kryształkach, kostkach, proszku - poczesne miejsce zajmował niemiecki karabin maszynowy Mg 34. Nocą przywleczony z lasu, następnie czyszczony i polerowany przez 7-mio letniego specjalistę. Józik, a o nim mowa, był znawcą wszelakich mechanizmów. Tato Józika jeździł prawdziwym BMW Sahara z dużym bocznym koszem, a nasz mechanik nie raz ścigany zazdrosnymi spojrzzeniami koleżeństwa czyścił, szorował maszynę. Tato pozwalał mu niekiedy dokręcać śrubki od błotników, aż ten utwierdziwszy się w

opanowaniu wszelakich już tajników, zaczął grzebać kluczykami przy zapłonie i innych mechanizmach tej wówczas kosmicznej maszynerii i dokręcać, dokręcać. I tu okazało się, że wszedł na wyżyny swych wyjątkowych zdolności, a ojciec utalentowanego mechanika kilka dni spędził na rozszyfrowywaniu zawilej, przebiegle uknutej przezeń szarady. Cóż, że Józik kilka dni nie mógł usiedzieć na pupie. W jego oczach jednak, dalej jawił się błysk na widok smaru, czarnych, zaolejonych szmat i rożnych narzędzi, a wśród Towarzystwa nie utracił bynajmniej należnego szacunku, wręcz przeciwnie. Otóż tenże MG, pomimo wielkiego respektu jaki wzbudzał - korcił i nęcił. A przeróżne związane zeń plany spędzały sen z oczu zainteresowanych. Ale niestety - ze strzelania nici, nie ma zamka. Do zabawy w wojnę za ciężki, trzeba we dwóch a nawet trzech nosić. Poza tym coraz trudniej chowało go się w murze, gdyż przybywało innych skarbów mniejszych i większych, i robiło się mało miejsca i tym samym ekspozat w każdym mijającym dniu tracił na znaczeniu i coraz częściej każdy z wtajemniczonych wpatrywał się w złożony przez Józika kaem, z coraz większym znudzeniem. Nawet poważny, wojenny wygląd potężnej broni ustawionej na trójnogu, wyposażonej ponad metrową taśmą oryginalnych naboji, którą pomimo braku zamka jakoś tam Józko mocował - wzbudzał coraz mniejsze emocje i zadowolenie z satysfakcji posiadania. Stawał powoli rzeczą nieprzydatną i z wszech miar niepotrzebną. Jednym słowem - zawalidroga. Nie wiadomo w końcu kto wpadł na ten iście szatański pomysł.

3.3

Czwartek – dzień targowy.

Już zaczynają zjeżdżać chłopki świętokrzyskie, toć już po 6-tej. Wiozą kury, gęsi, kaczki, jaja, gomółki twarogów świeżych i suszonych, jakieś wyszywane makatki, wyplatane kosze z łyka i wikliny, króliki i skórki z nich, swetry i motki wełny, cała masa innych wyrobów mniej lub bardziej potrzebnych - jak za Kongresówki, Galicji, Guberni, wszystko jeszcze wedle starego wzoru. Furki małe, a koniki i małe i duże, gniade, srokaty, kare. Niektóre konie większe - jak gadają z UNRY. Zjeżdżają różni handlarze, oszuści, karciarze, szewcy, krawcy, stolarze.

3.4

Wszystko przygotowane, MG zawinięty w kolejarski płaszcz ojca Jurka, trójnog w starym pocztowym worku wywleczonym z którejś piwnicy, wszystko to wiezione wózkami, tym razem służącym jako narzędzie realizacji konkretnie wyznaczonego celu. Widząc te cztery niewinne pacholęcia przemykające się z wózekkami opłotkami, nikt nawet nie przypuszczał co tu jest ukartowane. Trasa przejazdu ściśle wyznaczona – za ogrodami, urzędem, szkołą, potem przez wąskotorówkę ale żeby nie widział ojciec Jędrusia, maszynista lokomotywki lub raczej lokomotywek, a następnie klinkierem koło pompki i już główna trasa, gdzie spotykały się wszystkie niemal drogi prowadzące do targowiska z południowej części miasta.



foto: Krzysztof (Kriss) Szkulatowski; Freeimages.com

3.5

Sołyszko przygaduje do Gniadej: "wleciesz się łachmyto, a owies to wczora żarłaś, jak ci Maniek podsypał"- Ckni się za Mańkiem, szkoda, że nie zabrał chłopaka. Przydałby się. Nie wiadomo czy Gibowski nie każe worów nosić do piwnicy, albo nie daj Boże na strych,

juści on psiajucha nie przepuści człowiekowi. Chyba każe zwałić do magazynku w podwórku, koło pieca. Kazał przywieźć w czwartek, bo w piątek jedzie do młyna. Przecie tak gadał - pociesza się Sołyszko. Maniek to z worami śmiga, że ho- myśli. A bogać tam, przecie musi z Krasulą na miedzę i cielaka przypalikować, drobiazg jeszcze za słaby, nie nie zdzierzy - myśli o dziewczynkach, jak i o synu.

Furka toczy się pod górę coraz wolniej, wolniej... . Drugim razem już puści Mańka samego, da radę. Wapienny pył bizorędzkiej dróżki przydymił wory zboża, brwi i czapę woźnicy. Gniada też cała w pyłe, ale od czasu do czasu łypnie okiem na gospodarza zdziwiona, że mało wygaduje, lejcami nie wali - „śpi pewnie” - myśli mądre stworzenie. Ale gdzież tam, za chwilę dostaje lejcami w zad i musi trochę szybciej. Jej samej też się cknę. Teraz już z górki w dół, potem jeszcze trochę i Pompka. Pewnie gospodarz da popić, sam przecie też pije ze źródelka. I oto już Pompka - akacje, stare dęby, zadaszenie nad źródelkiem. Furka powoli toczy się doń... prrrr.. - już są. Sołyszko nabiera wodę do małego drewnianego cebrzyka, daje pić najpierw Gniadej, potem sam kładzie się na ławeczce nad źródłem i chciwie popija - kilka łyków - chwila oddechów, westchnięć i znowu - łyk, łyk i tak parę razy. A woda w ruczaju czyściutka, kilka metrów głębokości - oj mają tę wodę smaczną, szkoda że w wiosce takiej nie uswiadczysz - myśli. Najlepsza u kowala, ale to szmat drogi na Podolszyny. Nieraz Maniek pojedzie, nabierze do konwi i przywiezie. Nabiera się samemu, kowal nie każe pytać...przecie to woda. „Wszystkich jest” - gada.

Żuraw stoi tuż za kuźnią, już widać z daleka czy ktoś nabiera - dziób żurawia schodzi nisko a bliżej już, jak go zasłonią stare wierzby, to słycać skrzypienie niesłychane, i wiadomo - ktoś wodę czerpie. Na początku, jak nowy żuraw stawili, zaraz po wyjściu Niemca, kowalowa cały czas gderała, że piszczy nie do wytrzymania, potem przestała, a nawet jak Jaśko już z wiadrem smaru szedł, żeby widlenie i drąg wysmarować - nie przyzwoliła. „Lepiej słycać jak piska, może złodziej jaki”. Oj mądra Baba - myślał kowal. Wszystkie te wspominki stawały przez Sołyszka, a Gniada przypominała mu o swoim istnieniu wpatrując się mądrymi brązowymi ślepiami,

waląc od czasu do czasu przednim kopytem o ziemię.

W tym miejscu zielona i wilgotna. ”Ot, przechera. Owsa chce pewnikiem. Przecie Maniek dał rano całą miarkę, trochę dużo ale niech ta... a ty teraz znowu chcesz” - gderał Sołyszko zapinając uzdę i wkładając Gniadej do pyska wędzidło. Obroku dostanie u piekarza, jak będą z Gibowskim dobijać cenę, chłopak przygotował z pół wora siczki, a jak Ojciec nie patrzył, sypnął jeszcze ze dwie garście owsa. Ale niech tam - miał słabość do chłopaka. Za chwilę już furka znowu rozpoczęła swą mozolną drogę do celu.



3.6

Na posterunku spokój.

Funkcjonariusz Józef Pałka, walił co chwila łapką tłukąc bez opamiętania siadające na stole muchy. Psia mać! - myślał. Dzisiaj przecie targowisko, a on zamiast tam być, ustawiać przekupki, chłopków, ścigać dzieciska- usiłujące za wszelką cenę ściągnąć ze straganu a to marchewkę, a to czosnek, czasem nawet cebule bo gruszek, jabłek, śliwek jeszcze brak; siedzi niczym muchołap jaki, a tu co chwila przejedzie furka, to znowu bryczka z babami, to na oklep lub pod siodłem samotrzeć jacyś jeźdźcy - wszystko ciągnie na rynek tuż przed zakratowanym oknem posterunku w którym tkwi Pałka, wściekły niczym Burek, któremu sprzed nosa zabrano michę lub kawałek kiełbasy.

Będzie Komendant załował. Areszt przecie pusty, a komendant Zawacki zawsze powtarza: ” jak nikogo tam nie ma, to znaczy że milicja nie działa, nie zwalcza wroga, który coraz bardziej oplata swoimi kapitalistycznymi mackami naszych obywateli i w mieście i na wsi” -

powtarzał już teraz w stopniu porucznika komendant posterunku milicji. Co prawda Pałka nigdy nie widział na własne oczy kapitalistycznych macek – to musi być niezgorsze diabelstwo – myślał, a jak mówił Zawackiemu - ”u nas panie Komendancie takich macek nie ma, bo nie widziałem” - ten spoglądał na niego dziwnie i mówił: ”oj, jakicie dureń starszy strzelcu.”

Samogonkę to komendant pił, a nawet zagryzł kiełbasą, jak Pałka dostał awans na starszego, bo tak to był tylko zaledwie strzelcem.

Jak już się Komendant dokładnie upił, to zaczął wyśpiewywać takie smutne pioseneczki, jeszcze sprzed wojny, a okno i drzwi kazał szczelnie zamknąć, żeby ci z przeciwka nie słyszeli. „Starszy strzelcu...” – bełkotał - „cieszcie się. Jeszcze tylko możecie awansować na kaprała i szlus...”. A dlaczego szlus, tego się nowo awansowany milicjant nigdy nie dowiedział – usłyszawszy po raz kolejny- „oj, durniście Pałka.”

W dniu dzisiejszym, komendant razem z trzema posterunkowymi wyjechał do województwa, wrócić pewnie po południu, ponoć mają fasować nowe karabiny, ale nie dla niego. Jego mauzer stał koło pieca – wypucowany z nowym paskiem, nie parcianym, ale skórzanym, ponemieckim. Zimą zabrał pasek dzieciakom od saneczek, bo jakże to, wojskowa rzecz a przy sankach. Płakały dzieciaki, ale nie wzruszyły milicyjnego sumienia. W obłędzie coraz większego natłoku przeróżnych myśli ogarniała jednak naszego funkcjonariusza ludowej władzy coraz większa apatia, wręcz zniechęcenie i nawet ta wielka odpowiedzialność na nim ciążyąca, nie rekompensowała utraty udziału w cotygodniowym targowisku. „Jak nas tu nie ma, to pamiętajcie Pałka – wy tu jesteście komendantem. Wiecie, że ciąży na was ogromna odpowiedzialność- starszy strzelcu!”. Dźwięczały mu w uszach pełne grozy słowa zwierzchności głoszone na odchodnym „ogromna odpowiedzialność, macki, kapitaliści” i gdyby nie to, chociaż na godzinę, no może dwie - wyskoczyłby jak z procy z posterunku - prosto na rynek. Może zamknę się i trochę przysnę – pomyślał, a wymęczony zmartwieniami umysł coraz bardziej skłaniał się ku odpoczynkowi.

Już miał się zwlec z krzeselka i zamknąć drzwi na zasuwę - gdy wtem – zerkając jeszcze na

odchodnym w okno – zamarł. Oto środkiem głównej ulicy, najpierw obok tych z przeciwka, następnie zaraz przed posterunkiem człapie kara kobyłka ciągnąca furkę na której siedzi chłopiec ucinający sobie drzemkę pochylony nisko nad kolanami. Prócz drzemiącego jakieś wory, a tyłu na furce rozparty niczym basza kaem stojący na trzech nogach .Wygląda jucha - jakby naceLOWANA w posterunek.

Pałka przypadł do podłogi, doczołgał się do pieca, ujął w dłonie karabin, cofając się tyłem wbiegł do sionki. Po chwili wystawił głowę z za węglą, oczekując na pierwszą serie. Jednak tu spokój, tylko jakaś babina pamiętająca wojnę polsko -sowiecką, żegnała się mówiąc: ”Panie Boże, znowu taczanki”. Za furką biegną dzieciaki. Dobiega - widząc wcześniej, że kaem nie obsługiwany, lufa sterczy tym razem do góry, a na furce tenże sam woźnica. „Stój!! Ręce do góry !!” – wrzeszczy. Strzela z mauzera nad głową przestraszonego chłopka, trzymającego ręce już w górze, zgodnie z rozkazem rozjuszonego napastnika. Ulica całkowicie pustoszeje, trzaskają zamykane bramy, okna, drzwi, przebiega dwóch pod bronią z naprzeciwka komisariatu, gdzie rozsiadł się Urząd Bezpieczeństwa, podchodzi powoli kapitan Łapa - dowódca ubeków z naganem w rękę. „Co się dzieje?!!Gdzie Zawacki?!!” - łamiącym się głosem, dysząc odpowiada, że komendant w województwie, że wzywali. „Co?!! - W czas rynku?!!Pomóżcie tam Pałce!” – rozkazał swoim dwóm. Biedny, Bogu ducha winien Sołyszko stał się nagle wrogiem ludu, z bronią na wozie wjeżdżając do miasta .. itd., itd. „A co wy tak dyszycie?!!” „Bo leciaaałem za tym baanddddytą” – dyszy dalej Pałka. Porucznik ogląda MG, po chwili widać rozczarowanie na twarzy - ”Jest bez zamka” - mówi, ale już groźnie przewiercając wzrokiem trzęsącego się z emocji i strachu strzelca – „Przeszukajcie, a dokładnie -wóz i tego bandziora. Schował pewnie gdzieś zamek,może w worach, w zbożu. Mieliliśmy już takich co w owsie przewozili karabiny i granaty”- zapomniał dodać, że byli to partyzanci, a cała akcja - miesiąc po zakończeniu wojny. W głowie ubeka nadal wkoło istniał wróg pragnący przejąć władzę nad uciemionym narodem. Jeden z młodych ubeków skoczył na furkę, obmacał dokładnie wory – „nie ma” - towarzyszu dowódco. Sołyszkę, raz już

obszukanego przez starszego strzelca, jeszcze raz dokładnie obmacali. „Przeciem niewinny.” - łamanym głosem usiłował coś wytłumaczyć chłop. „To jakieś łobuzy wrzucili na furkę”. „Łobuzy, łobuzy – a nie mógł to batem przeciągnąć??!! Przywieźć kaem na posterunek??!” - słyszy Sołyszko bardzo akuratną odpowiedź. Coraz bardziej się mota - „dzieciska czekają, żona i trójka drobiazgu”. Furką powozi już młody ubek – „do nas, czy do nich?” - pyta towarzysza kapitana. „Prowadź do nich” – już mniej zainteresowany sprawą odpowiada dowódca ubeków. Po chwili furka wjeżdża przez bramę na placyk za posterunkiem, zaś nieszczęsny woźnica pod bronią idzie do aresztu.

Przygląda się temu niezmiernie zdziwiona Gniada, którą nawet wystrzał karabinu nie zbił z pantafelku. Biedne konisko, wprawione jeszcze za żrebaka w różnych kanonadach najbardziej zdenerwował fakt przejścia lejcy przez całkiem obcego ubeka i wprawdzie jej końska dyscyplina nakazywała posłuszeństwo, to strzygła uszami i kilka razy szarpnęła furkę, mało nie zrzuciła z kozła powożącego żandarma.



3.7
Starszy strzelec Józef Pałka siedzi przy kubku

kawy zbożowej, już spokojny, już nie dyszy. W areszcie siedzi lamentujący chłop, fura z bronią zabezpieczona, dopiero to będzie jak wróci komendant. Pewnie pochwali..... Dobrze, że nie szedł na ten rynek, bo jakby tu rozpoczęła się strzelanina... zimny pot oblał starszego strzelca, zadrżał cały ze strachu, widząc się w areszcie pod kluczem razem z Sołyszka. „Panie oficerze, konisko nieodprężnięte, głodne, tłucze kopytami, niech pan puści” - lamentuje chłop. „To nie ja, to łobuzy jakieś”. „Puści, puści” - powtarza Pałka dumny ze swej nieograniczonej władzy.

„Nie trza było knuć przeciw władzy. Mówił dowódca, żeby batem łobuzów przeciągnąć?!” „Broń po Bożemu przywieźć tu! Na posterunek.” - perorował. A teraz to - „puści, puści”. Chłop jednak z uporem powtarzał - „Panie, zwierzę głodne, wody mu trza dać, już tu do okna się tłucze, przecie widać”. Pałka przez kratę zerknął. Jako syn gospodarski z „koniami obeznany” jak to mówił, widzi, że kobyłka coś zniecierpliwiona, widzi też, że zadbana pomimo wapiennego kurzu, który równiutko pokrywał zniecierpliwione zwierzę. Zgrzeblę widać i kłęb przejechany i po bokach i na brzuchu też konisko „zgrzeblowane jak trza”. Grzywa i ogon wyczesane, oko znawcy dostrzega nawet ślady po zapleceniu, co mu grzywę jak Biskup przyjeżdżał dzieciiska z Bronką zaplotły, tak i ślady na włosiu trochę pozostały. Maniek - zaraz po Biskupie rozplótł - „bo się konisko umęczy, - gadał, a dzieciaki wołały żeby nie rozplatać, „bo Gniada taka ładna”. „Popatrzcież, no dobrzy ludzie. Chłop z takiej zakutej wsi a konisko akuratne, choć już starawe” - dziwował się Pałka.

Zaraz stanął przed nim jego dom, dwa konie oba też mogły chodzić pod siodłem. Pamiętał, jak ojciec wołał - „Józek! Weź Korala, do miasta jadę”. I Józek brał garść owsa i skradał się na łąkę, gdzie rządził dumny Korala. Ścieee.... ścieee. Koń podchodził rżąc, poznając Józka, jednak czujny niezwykle, każdy miesiąc ogiera gra, jeden ruch i wiadomo - „Pójdzie i tyła”. Powoli podawał mu owies, szybko uzda na pysk, munsztuk i koń był jego. Siadał na oklep i za chwilę przed domem.

3.8
Zakuję go, podprowadzę pod furę niech opatrzy kobyłę.

„Chodźcie Sołyszko, ale jak tylko będziecie próbować uciec” – zastrzelę. Prowadzi chłopca pod bronią do furcy – Gniada rży, tupie, dzwoni uprzężą, zniecierpliwiona nie widzi, że jej właściciel w opresji i to poważnej. Po chwili stoi rozprężona, uwiązana tylko na rzemieniu przez szyję, worek z obrokiem na łbie, przedtem oczywiście woda, którą gospodarz pod karabinem przynosi i już znów w areszcie.

„Panie oficerze, a co oni mi zrobią? Chyba dzisiaj puszcza? Przecie żona i dzieciśka zamartwią się a i Gibowski czeka na zboże, przecie jutro jedzie do młyna”. Strzyże uszami Pałka – no ładne rzeczy, jeszcze i Gibowski – to przecie teść komendanta. Mówią, że Komendant pisał do województwa, bo jak gadają - Gibowski to kapitalista, a oficerowi milicji z wrogiem klasowym stykać się - to się nie godzi. W końcu wyrazili zgodę na ślub urzędowy Michała Zawackiego p.porucznika, Komendanta Miejskiego posterunku Milicji Obywatelskiej, z Danutą Gibowską, córką piekarza. Ponoć jak już goście byli dobrze wstawieni, a Zawierucha na akordeonie z trąbką, skrzypcami i bębniem ciął obertasa – para młodych z rodzicami i świadkami willysem do Zachojny. Tam proboszcz Kamiński udzielił młodym już właściwego ślubu, ku radości rodziców obu stron, a ogromnej niechęci pana młodego, chcącego się wyrwać spod kościelnej konieczności. Tylko przepastne oczy Danusi, jej prośby, pieszczoty, oraz przysłowiowy święty spokój spowodowały cichą zgodę komendanta.

3.9

„Kto tam wali u diabła?” - zniecierpliwiony Pałka otworzył okienko - „a to pan komendant” - otworzył szybko drzwi, następnie pobiegł pod bramę – milicyjny willys wtoczył się powoli na podwórko. Z porucznikiem wrócili trzej funkcjonariusze i oficer z województwa. Przez telefon zdążył już Pałka wyjąkać o aresztancie i kaemie i niejakim Sołyszkiem z koniem, kaemem, furą - pod jego nadzorem tu, na miejscu.

„Gdzie kaem?” Podchodzą pod furkę. „Fiu, fiu” – pogwizduje ten z województwa, ale maszynka Zawacki podnosi kaem ogląda – „ech, towarzyszu kapitanie, to szmelc. Całkowity szmelc. Łoże i lufa przekrzywione, pewnie jeszcze w środku zardzewiałe i przeżarte, nawet jak nie, z tego szmelcu towarzyszu kapitanie nikt

nigdy nie wystrzeli, nawet jak będzie miał zamek. Jak mechanizm zadziała, przy uderzeniu w spłonkę rozsadzi łożę, lufę i nawet tego co pociągnie za spust nieźle poharata”.

Komendant był znawcą broni, podczas służby w wojsku pół roku siedział w rusznikarni i już miał jechać na kursy specjalistyczne, kiedy wyciągnął go z warsztatu pułkownik i skierowano dość bystrego chłopaka do szkoły oficerskiej. Zamiłowania warsztatowe jednak pozostały i nieraz w chwilach wolnych w walce z wrogiem narodu grzebał w piwniczce przy swoim warsztaciku, aż zniecierpliwiona Danusia przerywała te nieustające piłowania i szlifowania.



„A co na to aresztant?” - Pyta porucznik. „Mówi, że trochę przysnął i łożuzy wrzuciły na furkę. A towarzyszu kapitan Łapa pytał, dlaczego nie przyciął batogiem, a z kaemem nie przyjechał sam, nieprzymuszony, na posterunek”. - mówiąc jednym tchem, Pałka znów się zasapał, zaczerwienił.

„Co, Łapa oglądał kaem” ? „Tak obywatelu komendancie, kazał też przeszukać tego bandytę” – tu wskazał na siedzącego za kratą, bliskiego płaczu Sołyszkę - „a też i przetrzepać wory niby za zamkiem. Bartelik je przetrzepał”. „Co i Bartelik tam był ?!” - coraz bardziej dziwił się komendant.

„Jak tylko wystrzeliłem, to zaraz się zlecieli, a potem doszedł towarzyszu kapitan” – jednym tchem wypalił Pałka. „O, toście obywatelu strzelaninę urządzili, ładne kwiatki.” Kapitan, z komendy wojewódzkiej, podszedł nagle do kraty - „ej, człowieku, czy my się przypadkiem nie znamy” – zwrócił się do aresztanta. A jakże, panie kapitanie, to u nas na

polowaniu pił pan kwas, moja Bronka nalewała, chcieli wasi też wodę, to mój Maniek nalewał. Ja niewinien panie kapitanie, błagalnie zwracał się do wojewódzkiej zwierzchności chłopek. Odezwął się telefon - dzwonił towarzysz Łapa. „No wiecie towarzyszu, - Pałka strzelił to i pouciekali.” „Przecież u nas towarzyszu majorze spokój”.... „ to towarzysz major nie wie nic o awansie, ja się dowiedziałem w województwie, miała być pewnie niespodzianka a ja się wygadałem” „no właśnie - spokój cisza to awansują. Jakby było niespokojnie, to by nas tylko op.....li, a tak awansują.” „Gratuluje towarzyszu majorze”.....”. Co?” „... czy będziemy przeszukiwać chałupę?” „...Nie wiem czy u nas jest notowany, u was nie ?” „jak się okaże towarzyszu majorze, że to łobuziaki to po co rozdmuchiwać....będą dzwonić z komitetu? To towarzysz major powie jak było, że łobuziaki”, „co towarzysz major zaskoczony?.....My nie, komu jak komu ale towarzyszowi majorowi już dawno się należało, a jak już się to wydało, to jeszcze towarzyszowi majorowi powiem, że medal też będzieco brak dechunieee, teraz trzeba oblać”. „ Żeby już Was towarzyszu majorze nie niepokoić, oglądałem ten kaem – całkowity złom, do tego skrzywione łoża i lufa, tego już nie naprawi, do tego brak zamka a nawet jakby go miał to przy pierwszym strzale rozwali..... i kaem i strzelca.....pewnie, że sprawdzić towarzyszu majorze.....jeszcze raz gratulujetak, ale dziś przepraszam towarzyszu majorze nie wpadniemy wieczorem z Danušką, mam gościa z komendy wojewódzkiej”..... „tak, polowanko....towarzysz major zna, to kapitan Borek, tak z kryminalnej - myślę że będzie kontent...jeśli oczywiście będzie spokój towarzyszu majorze, bo jak tylko się gdzieś ruszę, to zarazsam towarzysz major widzi, okolicznych chłopków zatrzymują”..... „Tak, to Pałka no właściwie to jest zdyscyplinowany, nie pije za dużo, nie łajdaczy sięzespołowo tak, ale sam to już inna sprawa. Nie ma ludzi towarzyszu majorze” - westchnął na zakończenie Zawacki,.... czekając aż tamten odłoży słuchawkę. Diabli nadali tę całą aferę, jeszcze ta popijawa u Łapy, ale trzeba iść, bo na pewno pójdzie „w górę” i może się kiedyś przydać, może pomóc - myślał o swej karierze porucznik. „Pałka!Lorek!Stolarczyk! - udacie się na główną

i wypytaacie ludzi co i jak, czy kto widział jak łobuziaki ładują na chłopską furę kaem i co to za dzieciaki, z jakiej ulicy, najlepiej nazwiska, świadkowie. Daję wam godzinę – odmaszerować!!!” Nieszczęsny patrol opuścił posterunek a kapitan z porucznikiem usiedli przy stole.....

3.10

Michaś, Jędrus, Jerzyś i Jurek, ochłonawszy już po strzelaninie, zadowoleni, że wszystko rozeszło się po kościach, łazili po targowisku bez celu. Jeden znalazł 10 groszy, drugi 20 groszy, Jurek miał 30 groszy „swoich”, co to mu pani Masełkowa zapłaciła za kręcenie bańki od mleka w beczce z lodem i to był prawdziwy ówczesny zakład lodziarski. Pani Masełkowa robiła lody autentyczne, z dużą ilością żółtek, śmietany, cukru, mleka prosto od krowy, a laski z wanilią były rozdrabniane i zasypywane cukrem całą zimę. Loda się kupowało tylko za złotówkę, na tyle pani Masełkowa wyceniała małą, ale kopiastą łyżeczkę lodów na płaskim wafelku, przykrytą drugim płaskim wafelkiem, jak który chciał za dwa złote, musiał kupić dwa lody.

Przeważnie, zanim targowisko dobiegało końca, pani Masełkowa już wszystkie lody zdążyła sprzedać i powracała wymęczona do domu, a wózek z malutkimi jak pani Masełkowa kólkami, wraz beczką i bańką - popychał jakiś dzieciak – łakomczuch, któremu pozwalała na zakończenie wylizać bańkę.

I tak przez wszystkie lata, odkąd kto by pamiętał, pani Masełkowa kręciła lody, a z tego kręcenia urosły dwie dorodne kamienice blisko Starówki w Krakowie i do tego jeszcze potężny grobowiec na cmentarzu z rzeźbionym w kamieniu aniołem, który niczym Statua Wolności górował nad całym cmentarzem.

Tymczasem nasi bohaterowie, wolnym krokiem zmierzali do Araba, a dlaczego Araba, diabli wiedzą, może przez to że był gruby i miał jajowatą głowę, może dlatego, że miał grube, mięsiste wargi i tam to zamierzali kupić aż za 60 groszy okruch z landryn. Arab, właściciel cukierenki w samym centrum miasta, sprzedawał smakowite landrynki, białe jak śnieg migdałki, różne ciasteczka i pierniki, słoniki z cukru, tak samo koniki, wielbłądy, misie, małpki, kurki, koguciki a przed świętami czerwone mikołaje, lub baranki i zajaczkę, nie

widać jednak było, żeby ktoś coś gwałtownie kupował. Arab wszystko skrzętnie ogarniał, zauważył też, że idzie to co tanie i stąd te okruchy od landryn. O ile za 60 gr. można było kupić garstkę landrynek, o tyle już za tę samą sumę u Araba kupowało się już dość sporą tutkę okruch od landryn i można było pojeść, co też nasze towarzystwo często czyniło. Doszło do tego, że Arab sprzedawał dzieciakom okruchy - nawet za 5 groszy. Dzieciaki wpadając w czasie długiej przerwy kupowały u Araba za 5, 10, 15 groszy okruchów wystawionych w sklepiku w dwóch szklanych słojach, oraz dużych metalowych puchach barwionych na kolor złotawo - brązowy, które Arab przed otwarciem, ze wszystkich stron ostukiwał dużym, drewnianym młotkiem.

3.11

Milicyjny patrol chodził, pytał, groził, zatrzymywał Bogu ducha winne baby, zmierzające z rynku na dworzec, a śledztwo ani drgnie, stoi w miejscu. Pytają i tak i siak i nic. Aż tu, przechodząca ulicą doktorowa Poznańska, łapie za rękaw Pałkę i mówi - „panie milicjancie moja Jadzia widziała jakichś łobuzów, co nieśli taki duży karabin. Strzelali potem na głównej i co macie ich?” Stolarczyk prędko wyciąga notes - „Jadzia ? A jak się nazywa? Gdzie mieszka?” „Mieszka u mnie. To moja służąca” - uroczyście oświadcza Poznańska. Ponieważ to tuż-tuż, za chwilę przestraszona Jadzia opowiada trzem młodym mężczyznom w mundurach a do tego jeszcze z karabinami jak to rano było. Szła do zielarki, bo pani kazała przynieść majeranku i kminku. Już jak skręcała na drogę bizorendzką, kilku łobuziaków wyciągnęło z wózecka taki duży karabin na żelaznych nogach i jak jechała fura, załadowali na nią ten karabin, a potem jeszcze jeden wskoczył na furę i zrobił, że karabin celował do góry i wyglądał strasznie. Tych łobuziaków Jadzia nieraz widuje, chyba z Krzywego Koła, albo z Prostej - jeden taki mały, a czarny jak cygan. Drugi taki wągrowaty, trochę wyższy - nie potrafiła Jadzia dokładnie opisać łobuzów, tym bardziej, że jeden z umundurowanych młodzieńców taki urodziwy, rosły chłopak, czoło takie wysokie, musi być bardzo mądry - myśli Jadzia a na nią nawet nie popatrzy, a ci znowu pytają o jakichś łobuzów... Taki groźny jakiś, służbowy, tylko to

karabinisko ścisła, a oczyska tak łypią dookoła, że aż ciarki przechodzą. Zerka Jadzia raz, drugi spod przycernionych brewek ten nic, nawet nie spojrzy. Wzdycha dziewczę głośno - „co to, paniencie niedobrze?...pyta kostropaty długas. „No,dajcie już pokój dziewczynie”. „ Powiedziała wszystko, co widziała”. Tonem niecierpiącym sprzeciwu odciąga dziewczynę od patrolu, a na odchodnym - „, Pronobisowa też widziała tych łobuzów,jak biegli z dużym karabinem za furą. Opowiadała mi o tym na rynku.” „A tym łobuziakom dajcie po tyłku. Należy się im, oj gdybym ja ich dorwała, byłiby biedni,... oj gdybym ja ich dorwała” - powtarzała już w oddali energiczna doktorowa.....

4.1

Od autora.

Opisane przypadki są oparte na autentycznych faktach, wyjętych z życia społeczności małego miasteczka .Wszelkie jednak podobieństwa osób, nazwisk, miejsc - to całkowity przypadek. Opisałem, a raczej starałem się opisać jakieś tam pamiętliwe historyjki.

Gdy rozpocząłem przegląd szarych komórek pamięci, stanęły nagle przede mną historie własne, przeżywane tuż po przejściu zawieruchy wojennej i to wszystko zaczęło się rozrastać, rozrastać niczym ciasto drożdżowe.

Człowiek zazwyczaj przecież nie pamięta wielu zdarzeń, zapomina.....

Do niedawna tak myślałem, gdy jednak zacząłem wspominki, wszystko tak się rozrosło, że przeszło moje skromne, acz najśmielsze oczekiwania. Przypomniały mi się rzeczy drobne, detale o których niby dawno zapomniałem. Jednak przycupnęły w złożach pamięci i nagle pojawiły się w całej okazałości. Czy moje dzieciństwo było bogatsze od takich samych wiekowo czasów moich dzieci czy też wnuków. Nie wiem. Nie zamienił bym go za żadne skarby świata Widzę jednak teraz, że to co ja przeżywałem wraz z moimi rówieśnikami - wystarczyłoby na obdarowanie całej populacji współczesnych dzieci i wnucząt, ale przepraszam! Przecież nie mieliśmy wówczas qadów, motorowerów, rowerów górskich, rolek, desek surfingowych, play stations, Harry Pottera a wreszcie komputera z internetem. Ba! Nie było nawet multipleksu i parku wodnego..nie mówiąc

o telewizji a nawet radiu. Ale dość już tego wyrzekania i trucia starego zgrelda.

Większości opisanych postaci już nie ma wśród nas. Inne, których barwne historie być może kiedyś opiszę zaczęły znowu żyć w mojej pamięci. Słynna historycznie stodoła pod koniec 6-tej dziesiątki wieku przestała istnieć w sposób autentycznie niepodważalny. Pierwsza potężna letnia burza, a raczej jej skutek w postaci uderzenia pioruna – zmiotł z powierzchni ziemi tę nieszczęsną budowlę kończąc niejako pewien etap historii. Fajerwerki i wybuchy trwały kilka a może nawet kilkanaście minut - niwecząc pieczołowicie kolekcjonowane zbiory, a mi najbardziej było żal szabli z bogato zdobioną gardą, pięknie utrzymaną pochwą szukałem na rumowisku, ale gdzie tam - nic nie było, tylko kawałki hełmów i w nienaruszonym stanie pod płaskimi kamieniami wapiennymi czerwona opaska ss, która gdzieś się wałala i w końcu znikła – pewnie mama spaliła.

Milicja i ubecy przez kilka dni chodzili, wypytywali, co to za wybuchy, czy ktoś coś na ten temat wie ale gdzie tam. Nikt nic nie powiedział.

4.2

Cechy osobowości przechodzą z pokolenia na pokolenie.

To u nas głupota, nietolerancja wszystkiego co tylko możliwe, nakazy, zakazy, żądza władzy posterunkowych, urzędasów, różnych strażników, parkingowych, leśników, właścicieli, regulatorów w sposób niezwykle uciążliwy zaczyna ograniczać nasze codzienne życie. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę z różnymi informacjami, jeżą się włosy na głowie, albo ogarnia człowieka pusty śmiech. Kiedyś chciałem odnaleźć kontakt z archeologiem wojewódzkim – a jakże znalazł się, po kilku dniach poszukiwań. Pracował w jednym z muzeów. Gdy zadzwoniłem, poproszono go do telefonu i zacząłem rozmowę.

JA - Proszę pana, czy w P. można dokonywać amatorskich poszukiwań wykrywaczem metali, bo w gazecie przeczytaliśmy, że w pobliżu tej miejscowości są jakieś wykopaliska.

ARCHEOLOG – nie proszę pana, gdyż w miejscach poszukiwań archeologicznych jest zakaz penetrowania, naruszania struktury wykopaliskowej przez amatorów.

JA – Czy teren poszukiwań jest oznaczony?

ARCHEOLOG – nie jest, gdyż miejsca stanowisk archeologicznych nie są oznakowywane, ponieważ gdy takie stanowiska były kiedyś znakowane, to zaraz wywoływało to duże zainteresowanie poszukiwaczy amatorów i dopiero wówczas często miejsca takie były niszczone, po prostu bezmyślnie rozkopywane.

JA – w tej sytuacji szanowny panie poszukiwacz który niezamierzenie znajdzie się w obrębie stanowiska archeologicznego narusza prawo, czy tak?.....chwila zastanowienia

ARCHEOLOG – zdecydowanie tak, to jest przestępstwo.

JA – to praktycznie nie ma w Polsce nawet jednego metra kwadratowego ziemi, gdzie spokojnie można pobawić się w poszukiwacza - według pańskiej straceńczej interpretacji. Znow chwila zastanowienia.....

ARCHEOLOG - No niiee.....tak do końca. Przecież są różne miejsca.....

JA – Jakie???!!!

ARCHEOLOG – Nie słyszałem by w Polsce prześladowano poszukiwaczy, muszą uważać by nie naruszać stanowisk archeologicznych, zgłaszać pod ziemią znajdowane przedmioty o właściwościach archeologicznych(sic!)

JA – czy jest opracowany przez was regulamin lub zasady poszukiwań, cokolwiek co mogłoby uregulować ten, co tu dużo mówić *problem*, albo inaczej – może są takie zasady w trakcie opracowywania, jeżeli tak to szkoda, że nikt o tym nie wie. Znow chwila zastanowienia.....

ARCHEOLOG – Właściwie to nie powinienem z panem rozmawiać, od tego jest rzecznik w ministerstwie, proszę podać swój telefon - poproszę rzecznika, żeby do pana zadzwonił z odpowiednią informacją.

JA – Kończąc tę rozmowę, w której na końcu jest właściwie jak na początku, przyzna pan, że to wszystko, to jedna wielka paranoja - tak zwany paragraf 22.

ARCHEOLOG - Wie pan, jednak lepiej żeby z panem rozmawiał rzecznik, bo ja tak do końca też nie wiem, jak to z tym wszystkim jest.

NO I KONIEC KROPKA.

Par 22. wyciąg z regulaminu – 1.1 „dowódca brygady przyjmuje żołnierzy w sprawach skarg codziennie od 13.00 do 14.00” 1.5 „od godz 13.00 do 14.00 wyznacza się czas obiadu kadry oficerskiej, w tym czasie zabrania się jakichkolwiek przyjęć żołnierzy.

Jak nie wiadomo o co chodzi – i tak dalej i tak dalej, aż trudno o tym dyskutować. Oto stworzono problem, z którym ci co go stworzyli niby nie mogą sobie poradzić. Przecież wiadomo, że ci co poszukują, to w większości ludzie na odpowiednim poziomie intelektualnym. Zamiast w tych pasjonatach ujrzeć sprzymierzeńców tak zwanej polityki archeologicznej, na zasadzie typowego psa ogrodnika, praktycznie zabrania się wszystkiego, wystawiając poszukiwaczy na tzw. miny-czołgowe? „przeciwpiechotne”? Nie - miny archeologiczne. Ten permanentny bałagan prawno – decyzyjny sprawia, że kolejna społeczna inicjatywa zeszła do podziemia.

I coś z podobnego ogródka .

Oto Dyrekcja Muzeum Historyczno – Archeologicznego w Krzemionkach Opatowskich buduje za nasze pieniądze kilka kilometrów płotu. Do tego jeszcze z tak zwanymi dziurami na przejścia dla zwierzyny. Cały płot wysoki na dwa metry, do tego zwieńczony drutem kolczastym niczym jakiś Konzentrationlager.

Skąd ta decyzja, pełna nagłej, tajemniczej determinacji Dyrekcji Parku? Oto Victoria Beckham, Robbie Williams, Boy George spotykają się z miejscową ludnością w Domu Strażaka Krzemionek Opatowskich. Ich niecne plany sięgały jednak dalej, gdyż tuż o świcie dnia następnego, widać ich jak buszują po pobliskich nieczynnych od co najmniej 1500 lat kopalniach i wygrzebują co?! KRZEMIEN PASTASTY!!!!

Tych kopalń, na obszarze 378 hektarów jest około 4 tys., jednak już po kilku godzinach poszukiwań towarzystwo opuszcza miejsce helikopterem uwożąc fragmenty wydartego ziemi kamienia, a raczej nie ziemi, a Piotrusiowi M. - Dyrektorowi Muzeum Historyczno - Archeologicznego w tychże Krzemionkach Opatowskich.

Po kilku tygodniach Victoria nosi srebrne kolczyki i bransoletkę. Robbie spinki do mankietów, zaś Boy Georg stylową bransoletą ozdabia prawą nogę. A wszystko to wykonane przez biegłych w sztuce jubilerów – z krzemienia pasiastego. I oto archeolodzy natychmiast każą zamykać teren, bo wykradną krzemień i w głowie się nie mieści tym ludziom, że przez 1600 lat kamienia nie wykradziono. To fakt. Teraz cały świat się zawzięł, żeby wywieźć

z Krzemionek Opatowskich krzemień. Piotrus M. – dyrektor - nawet zastanawiał się po co to dziurawe ogrodzenie. Po gospodarsku myślał, że przecież płot z dziurami to nie płot, to wyrzucone pieniądze.

Jednak ministerialne komisje oczywiście z archeologami w roli głównej przyklepali płot. Jednak obowiązuje decyzja dyrekcji rezerwatu przyrodniczego – w płocie muszą być przejścia dla zwierzyny i to dość gęsto. Myśliwi górą nad zbieraczami!!! A może by tak udostępnić zainteresowanym poszukiwaczom 3 tys. stanowisk kopalnianych krzemienia pasiastego do eksploatacji i czerpać z tego korzyści, zaś resztę poddać badaniom archeologicznym, a nie usiąść na wszystkich, jak kwoka na zgniłych jajach. W lasach pomorskich jest mnóstwo stawów i jezior opanowanych przez leśników. Prawem kaduka zabrania się tam amatorskiego połowu a nawet biwakowania. Pod szyldem ochrony i dbałości o środowisko, w lasach panuje kłusownictwo i totalne sobiepaństwo. Niedługo nie będzie można zbierać grzybów, jagód, być może nawet wchodzić do lasu. Na drogach leśnych pojazdami mogą poruszać się tylko leśnicy i ich rodziny, gdy tylko trochę przygrzeje, już nie można wejść do lasu, bo przecież to grozi pożarem.

Na północnych stokach Tatr strażnicy parku zabronili taternikom wspinaczki. Chcecie się wspinać – won na Kaukaz. I tak wszystko na zasadzie zakazu, bezmyślnego wykorzystywania uprawnień i władzy.

4.4

Na dole hałas, słychać skrzyp drzwi od hydroforni – a to inaczej nasza piwnica. Schodzę powoli po schodach. Widzę ubranego w barwy ochronne poszukiwacza w pełnym rynsztunku.

Zaraz ten charakterystyczny uśmiezek na twarzy z którego można niby wyczytać wszystko, zadowolenie, szelmstwo, melancholię. Co tu dużo gadać- inteligentna bestia i w szkole i na studiach – tak w ogóle. „No co Tato, znowu powiesz „w poszukiwaniu straconego czasu”?.

Walę ręką w zarzucony plecak – „jedź powoli, nie zakop się tam. Wzięłeś telefon? Jak coś to dzwoń.....”

Jerzy Dziedziński

Poszukiwacz



Poszukiwacz.

Kto to taki ?

To każdy kto szuka. Tylko czego szuka ?

Szczyście, pieniędzy, miłości ?

Zapewne wszystkiego po trochę jednak ja chciałbym napisać kilka słów o szczególnym rodzaju poszukiwacza tak zwanego (poszukiwaczus exploratus)

Ten szczególny typ poszukiwacza spędza

godziny na książkami starymi mapami tekstami źródłowymi etc. Szuka tam szczególnych informacji o minionych wiekach znajdujących się pod centymetrami ziemi (można by po fantazjować i napisać metrami ale to już by była lekka przesada). Wracając do tematu godzinami zbierając informacje, robiąc symulacje i oględziny terenu w końcu przychodzi czas na to co poszukiwaczus exploratus lubi najbardziej a wiec wyjazd na eksploracje. W przed dzień wyjazdu zbierane są jeszcze dodatkowe informacje Bio-meteo potrzebne do tego jak się ubrać i czy zabrać kawę czy herbatę do termosu (zależne od ciśnienia atmosferycznego) . W dzień wyjazdu wstaje wcześniej po spakowaniu plecaka, zabrania ekwipunku z prowiantem i pićem wyrusza we wcześniej obrany obszar na tak zwana odkrywkę. Na miejscu wyciąga swój sprzęt i przeczesuje teren w poszukiwaniu

śladów dawnej bytności ludzi na tym terenie. Każde znalezisko bada dokładnie sprawdza , ogląda z każdej strony. Po zweryfikowaniu albo znajdek łąduje w plecaku lub zostaje w miejscu gdzie został znaleziony. Po każdym wykopie dołek jest zasypywany i dokładnie uklepywany niczym jak dziki kot w Afryce niechcący aby jego obecność wykryli jego wrogowie. Czasami jednak pomimo jak najlepszych chęci poszukiwacza i ogólnie nieinwazyjności w teren popada w konflikt z lokalną ludnością i musi uciekać przeskakując ze skiby na skibę goniony przez chłopca wyposażonego w widły lub inną zmyślną bron. Jednak ten konflikt często można zażegnać stosując pak o nie agresji tak zwane 2 x 0.5 L. Gorszą przeszkodą dla każdego poszukiwacza są tak zwania „ smutni panowie “ będący bardzo dociekliwi i często w ogóle nie chętni na żadne ustępstwa. Jednak gdy eksploracja przebiegnie bez jakichś żadnych przeszkód po kilku godzinach zmęczony ale szczęśliwy, głodny poszukiwacz wraca do domu ze znaleziskami.

W domu najpierw triumfalnie niczym Juliusz Cezar ogłasza swój powrót po czym chwali się znaleziskami. Wieczorem gdy nie jest pewien zastosowania którego z przedmiotów, jego dokładnej przynależności do czasu i miejsca wytworzenia czy klasyfikacji robi zdjęcia i wstawia je na forum poszukiwania.pl prosząc kolegów i koleżanki o identyfikację. I tak do następnego wyjazdu. Sezon występowania poszukiwacza jest bardzo różny zależny od warunków atmosferycznych. Najczęściej jest to od prawie całkowitego roztopu śniegu po zimie i rozmarznięciu ziemi Aż do następnych opadów śniegu. W czasie gdy śnieg zalega na ziemi lub trzymając siarczysty mróz eksplorator zimuje zbiera dane które przetwarza, robi ogólny porządek ze

znaleziskami znajduje w cudowny sposób czas dla rodziny.

Wydawać by się mogło że poszukiwacz to nikomu niepotrzebny pasożyt który okrada państwo polskie (lub inne) ze skarbów które tkwią pod ziemią. Jednak nie zawsze tak jest często zamiast skrzyń złota i innych skarbów poszukiwacz szuka często śladów zbrodni sprzed lat ludzi którzy bez żadnych zahamowań stosowali paragraf 7.62 mm i ich ofiar, po których zostały już tylko wspomnienia. Dzięki niemu pamięć o niejednym bohaterze minionych wojen na nowo ujrzy światło dzienne. Pisząc te słowa nie wolno pominąć kwestię zwyrodnialców którzy są gotowi na wiele by zdobyć ciekawy fant. Mówię tu o ludziach którzy rozkopują groby, niszczą i ograbiają stanowiska archeologiczne, często zostawiając po swoich „ poszukiwaniach „ krajobraz księżycowy. Jednak niestety jak długo ludzie będą chodzić z wykrywaczami po lasach, polach, łąkach tak długo będzie istniała jedna jak i druga grupa ludzi.

Dlatego życzę wszystkim jak najlepszych znalezisk, przyjemności ze współpracy z archeologami , jak również braku wizyt „ smutnych Panów „.

Połamania saperki

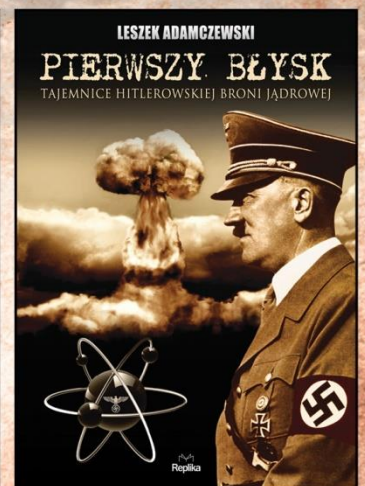
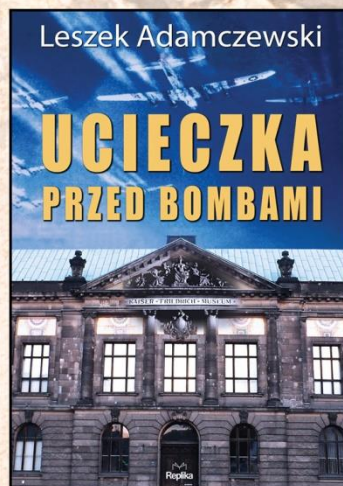
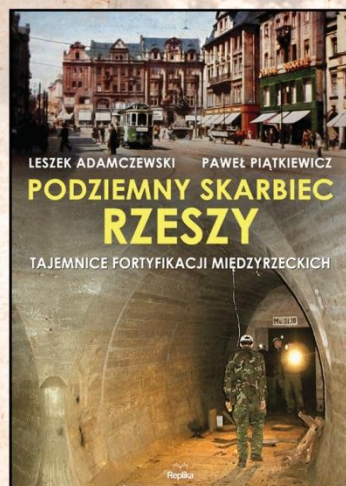
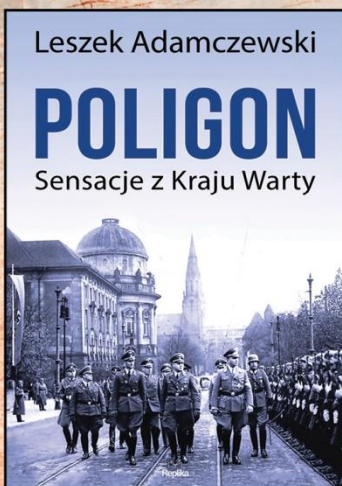
Pozdrawiam

Polan (Bartek)

SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



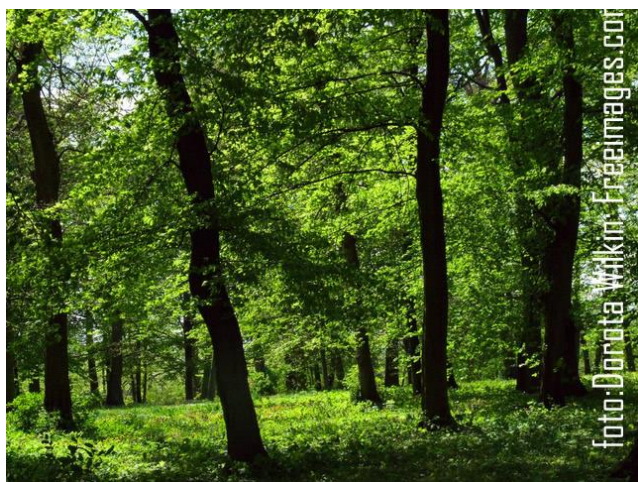
Skarb, jeżyny i firma Otto Schleiff z Berlina



Na skrzyżowaniu skręciłem w lewo. Leśna droga była rozjeżdżona przez samochody zwożące drewno, ale wybrzuszeniem między koleinami można było spokojnie truchtać. Kosturem wyciętym z krzaka leszczyny wskazałem gołę, tylko trawą porośnięte, rozrzucone wzdłuż drogi gołe place. Te puste miejsca to jest wszystko, co zostało po wiosce. Pięćset lat miała. No, jeszcze trochę gruzów zostało. I drzewa. Owocowe. Tu kiedyś rosły świetne jabłka, ale całkiem już zdziczały. I wszystkie robaczywe. Na rozłożystej jabłoni połyskiwały niewielkie, o tej porze roku jeszcze zielone, jabłuszka. A po drugiej stronie kiedyś był pałac. Właściwie dworek. Gdzieś tu musi być ta droga. Trzeba uważać, żeby nie przegapić, bo bzy rozrosły się strasznie. Uważnie przyglądałem się gęstym krzakom zdziczałego bzu, który od wojny pozbawiony ludzkiej ręki i przez lata nie przycinany, rozrastał się coraz

bardziej i bardziej. I teraz tworzył zieloną ścianę, szczelnie zasłaniającą świat po tamtej stronie. O, jest przejście. Uwaga, głowa nisko! Pochyliłem się, żeby przejść pod gałęziami bzu zagrządzającymi drogę. W gęstwinie było gorąco i parno. W nozdrza uderzył gęsty zaduch przegniłych, zwiędłych kwiatów, pomieszany z charakterystycznym zapachem dzikiego bzu. Zapachem, którego nigdy nie lubiłem, a który zawsze będzie przynosił wspomnienie dziecięcych zabaw na przykościelnym cmentarzu. Z twarzą tuż przy ziemi, z bliska widziałem pokryte grubym kożuchem mchu, porzrucane kawałki cegieł i kamienie. Pozostałość bramy wjazdowej, na starej fotce całkiem okazałej. Droga też w ogóle nie przypominała tej z fotografii. Przeorana, zniwelowana, porośnięta trawą i zielskiem, ginęła stopniowo, rozplýwała się w czasie.

Jeszcze trochę i ślad po niej nie zostanie. Ale to dopiero za jakiś czas. Na razie jeszcze mnie prowadziła. Dzięki temu, co z niej zostało, widziałem dokąd iść. Zaczepiłem o jakiś kolczasty krzak, szarpnąłem się, odsunąłem ostatnią gałąź i wyszedłem z mroku. Wyprostowałem się, starannie otrzepałem z pajęczyn i suchych liści. Przejechałem dłonią po lewej ręce i syknąłem z bólu. Delikatnie podwinąłem rękaw. Na przedramieniu czerwieniło się świeże zadrapanie. Delikatnie wyjąłem kolec jeżyny, potem następny. Pośliniłem palec i roztarłem zbierające się na skórze kropelki krwi.



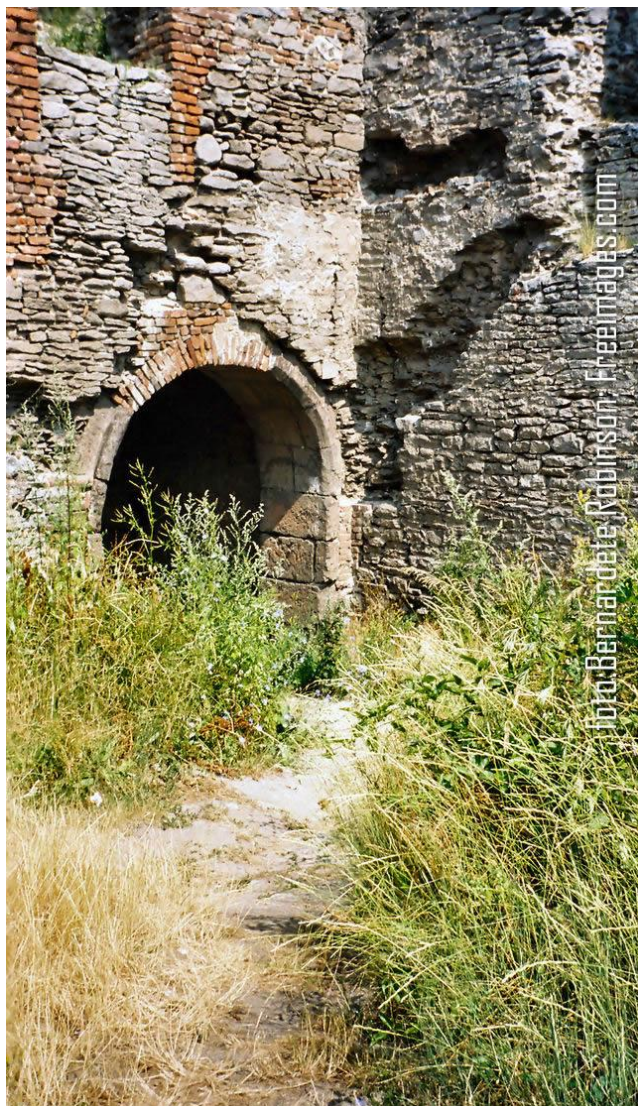
Złapałem oddech, jeszcze raz głęboko wciągnąłem powietrze i zrobiłem kilka szybkich skłonów. Wykonałem energicznie sprint w miejscu, kolanami prawie uderzając o piersi. Znowu dwa skłony i ruszyłem przed siebie. Szybko wszedłem we właściwy rytm, wydłużyłem nieco krok, a oddech stopniowo się wyregulował. Krew rytmicznie pulsowała w skroniach. Wysięk sprawiał przyjemność. Zapach lasu oszałamiał. Cisza powalała. Biegłem równym rytmem brzegiem lasu, robiłem kolejne okrążenie wokół polany. Miarowy warkot samochodu nie był odgłosem lasu. Drażnił uszy, był obcy. Ktoś jedzie na ryby. Ciekawe, na Buta, czy na Morskie Oko? Warkot przycichł na skrzyżowaniu, a potem zaczął się przybliżać. Zrównał się ze mną i przez jakąś chwilę poruszaliśmy się równolegle, ja i niewidzialny pojazd. Morskie Oko, na lina jadą. Ścieżka skręcała w lewo, oddalając mnie od samochodu. Odgłos słabł, aż całkiem przycichł. Zamarł na moment, po to tylko, by zaraz ostro, jakby

konwulsyjnie się nasilić. Potem raz jeszcze. I zgasnąć.

Wydawało mi się, że słyszę trzask łamanych gałęzi. Zatrzymał się i parkuje gdzieś w krzakach, odczytywałem dochodzące dźwięki i biegłem dalej. Nogi mnie jeszcze niosły, ale coś kazało się zatrzymać. Parkuje? W krzakach? Po co? Przystanąłem. Przecież tu nikt nie chodzi, grzybów jeszcze nie ma. Nikogo tu jeszcze nie spotkałem, a biegam prawie codziennie. To, co u licha, jest grane. Kto mi się tutaj wpycha? Zrobiło się jakoś dziwnie. Wszedłem w las. Nie wiedzieć czemu zacząłem uważnie stawiać stopy, żeby nie nastąpić na jakiś patyk i nie narobić hałasu. Wolno zawróciłem w stronę niewidocznego samochodu. A może to wszystko tylko mi się zdawało? Może nikt się nie zatrzymał? Na pewno! Samochód pewnie zabuksował w koleinach i odjechał, a ja nie wiadomo co sobie wyobrażam. Długą chwilę nasłuchiwałem, ale w lesie było cicho. Stary, aleś się spietrał! Prawie że chciałem palnąć się w czoło, gdy usłyszałem przytłumioną rozmowę. Trzasnął pęknięty patyk. Ktoś jednak szedł zarośniętą drogą w stronę pałacu. Nikogo jeszcze nie widziałem, ale głosy było słychać coraz wyraźniej. Były ściszone, ale wyraźne. Przykucnąłem i ostrożnie przesunąłem się za rozłożysty krzak śnieguliczki. Najciszej jak umiałem wczołgałem się pod gałęzie i ułożyłem wygodnie.

Widziałem stąd doskonale całą polanę, sam pozostając niezauważalny. Jak Pan Samochodzik albo inny jakiś Kloss. Głosy były coraz wyraźniejsze i wreszcie ujrzałem czworo idących ludzi. Kobiętę i trzech mężczyzn. Starych. Emeryci, jak nic. Wszyscy siwi, wszyscy w okularach. Ubrani na sportowo, w ciemne ciuchy. Dwaj w ciemnozielone wiatrówki, jeden w sztruksową koszulę. Kobieta była w brązowym swetrze. Wszyscy w dżinsach. Kobieta trzymała w rękach teczkę, czarną aktówkę. Jeden facet miał do pasa przypięty mały toporek, drugi niósł w ręku murarski młotek. Obaj mieli na sobie plecaki, do których były przytwierdzone saperki. Trzeci, trochę młodszy, bardziej szpakowaty niż siwy, przy plecaku miał krótki czekan. Jak słowo daję, taki do wspinaczki, tylko krótszy. W rękach trzymał

wielki aparat fotograficzny, co chwilę zatrzymywał się i robił zdjęcie.



Odniosłem wrażenie, że pstrykając, stara się, by nikt z jego towarzyszy nie znalazł się w kadrze. Metodycznie, fragment po fragmencie, zdejmował całą polanę. Gdy skierował obiektyw w moją stronę, skuliłem się i jeszcze bardziej przywarłem do ziemi. Kępa trawy, za którą się skryłem, była wystarczającą osłoną. Po chwili uniosłem głowę. Szli niespiesznie, rozglądając się na boki i rozmawiali po niemiecku. Gdy to do mnie dotarło, zrobiło mi się nieswojo. Ludzie od zawsze mówili, że szwaby kręcą się koło pałacu, że ktoś ryje w grobach w lesie, że gdzieś na sąsiednią wioskę przyjechali Niemcy z NRF-u, a jak wyjechali, to za stodołą została tylko dziura, zgniłe deski i jakieś potłuczone skorupy. Każdy znał kogoś, kto to widział, chociaż nikt przy tym nie był. Słyszeli tylko. Jedna baba... A tutaj patrzcie! szwaby naprawdę idą do pałacu.

Po skarby przyjechali! Krzak, który jeszcze chwilę temu tak dobrze mnie chronił, teraz zaczął przeszkadzać, zasłaniając idących. Kiedy zupełnie zniknęli mi z pola widzenia, powoli wyczołgałem się z kryjówki i, chroniąc się za drzewami, poszedłem za nimi. Rosnące leszczyny dawały świetną osłonę, a trawa głużyła moje kroki. Sunałem powoli. Podeszedłem najbliżej, jak tylko można, ale widziałem niewiele.

Pałac gęsto porastały krzaki dzikiego bzu i leszczyny, tak że resztki murów ledwie prześwitywały przez ten gąszcz. Niespodziewani goście kręcili się po ruinach. Zarosła zasłaniały ich prawie zupełnie, toteż z rzadka tylko któryś mignął w gęstwinie. Widoczna była tylko kobieta, stojąca w wielkiej wyrwie w murze, pozostałej po drzwiach wejściowych do pałacu. Dyrgowała całą resztą. Trzymała rękach jakieś papiery, co i rusz spoglądała na nie i coś mówiła w głąb ruiny. Tylko co?! skoro ja po ichniemu tylko guten morgen i haende hoch. No i jeszcze Bruner, ty świnió! O, sorry, to akurat nie po niemiecku, tylko do Niemca. Wkurzyło mnie, że nie wiedziałem o czym mówią. Ale podchodzenie bliżej nie miało sensu, bo i tak nic bym z ich szwargolenia nie zrozumiał. Dlatego, jak rasowy Pan Tomasz, wycofałem się i ruszyłem w stronę drogi. Im dalej od pałacu, tym mniej uważałem, jak idę. Nadepnięta gałąź pękła mi pod nogą, ale byłem już zbyt daleko, by ktoś mnie mógł usłyszeć. Mimo to odruchowo oglądałem się, za siebie. I tylko młody wiek i końskie zdrowie sprawiły, że nie zszedłem na zawał. Właśnie zanurzałem się w gęstwinę, by przebić się przez ścianę bzów, gdy drogę zaszedł mi stojący w ukryciu samochód. Charakterystyczny celownik samochodu wyrósł mi tuż przed głową. Omal nie wrzasnąłem, chociaż wcale nie jestem tego pewien, czy nie. Moje wnętrzości chciały na wolność, a ja chciałem do mamy. Przez chwilę. Później krew spokojnie wracała na swoje miejsce, a ja zacząłem gorączkowo szukać wyjścia. Myśl, Kubusiu! Myśl! Ostrożnie wycofałem się tam, skąd przyszedłem, by natychmiast zanurkować ponownie. Numer! Trzeba spisać numer rejestracyjny! Uklęknąłem i przez długą chwilę sczytywałem numer. Bezgłośnie poruszając ustami powtarzałem w myślach sekwencję liter i cyfr, aż byłem pewien, że nie zapomnę. Na

czworakach wycofałem się z krzaków i, omijając ten przeklęty bez, schowałem się w lesie. Nie bardzo wiedziałem co robić. Nie do końca dowierzając swojej pamięci, jak najszybciej postanowiłem zapisać ten przeklęty numer. Rozejrzałem się wokół i wybrałem dużą, starą sosnę. Odgarnąłem suche igliwie i udeptałem dokładnie ziemię. A następnie starannie, cieńszym końcem kostura napisałem numer. BF... Więcej nie pamiętam. I żałuję, że nie mam pojęcia, gdzie umieścić cyfrę „dwa”, która była tam na pewno. Odległy stuk, stłumiony okrzyk, czy też jakiś inny odgłos przypomniał mi o ludziach w pałacu. Od momentu bliskiego spotkania z mercedesem nie zachowywałem się chyba zbyt ostrożnie i teraz nie wiedziałem, czy na pewno ktoś mnie nie zauważył. Ukryłem się za drzewem i zacząłem nasłuchiwać. Wszystko było w porządku. Z pałacu dochodziły jakieś odgłosy – niespodziewani goście rozgościli się tam w najlepsze. Nie miałem planu, co dalej. Pewnie trzeba będzie poczekać, aż sobie pojedą. Która może być godzina? Chyba dopiero zbliżała się trzecia, bo słońce było ciągle wysoko. Piękny dzień, prawie żadnej chmurki. Od patrzenia na jasne niebo pociemniało mi w oczach. Przez chwilę stałem porażony blaskiem. Tutaj na dole, stary sosnowy las był ponury i ciemny. Straszny. Zrobiło się jakoś dziwnie nieprzyjemnie. Otrząsałem się. I wtedy poczułem czyjąś obecność. Ktoś stał gdzieś z tyłu i mnie obserwował. Wiedziałem to. Poczułem jego wzrok na plecach. Niby jest to niemożliwe, ale ja czułem jego wzrok. Skamieniałem. Nie miałem pojęcia, co dalej. Przeczekać. Przeczekać, złe minie. Dwa wieki później swobodnie, jakby od niechcenia, wolno odwróciłem głowę. Nikogo. Jeszcze raz. I znowu nic. Przywidziało mi się. Trzeba się zbierać, a szwabysie niech sobie robią, co im się podoba. Dynda mi to. Ja spadam. Odwracając się, kącikiem oka zobaczyłem go. To nie było przywidzenie. Pod wielkim świerkiem ktoś stał. Nie dochodził tam żaden promyk słońca i było kompletnie ciemno. Ale w tym mroku widziałem niską, kręłą postać. Coś lub kogoś. W długim płaszczu i kapeluszu. To nie było przywidzenie, nic mi się nie zdawało! Ten ktoś tam był, cały czarny. I wolno podnosił rękę.

Nie zważając na nic, zupełnie odruchowo, rzuciłem się w bok i zacząłem biec przed siebie.

Usłyszałem za sobą suchy trzask, ale nawet się nie obejrzałem. Strach kazał mi uciekać, rozum nie chciał wyjaśnić, przed kim i dlaczego. A może i chciał, ale czasu na to nie było. Gnałem, ile sił w nogach, byle jak najdalej. Miękką ziemią tryskała mi spod nóg, zaczepiałem o jakieś gałęzie. Dobiegłem do wielkiej kępy krzaków, ale nawet nie pomyślałem, żeby ją ominąć. Napałem na nią całym ciałem i wszystko się urwało. Rosnące na skraju dużej skarpy krzaki tylko troszeczkę wyhamowały mój impet. Wzbiłem się w powietrze, oderwałem od ziemi. Na filmach wygląda to świetnie, ale tak na żywca jest do bani. Lądowanie nie było przyjemne. Z całą siłą walnąłem o ziemię. Lewym kolaniem wyrznąłem o jakiś konar i zobaczyłem gwiazdy. Na serio. W oczach miałem łzy, łokieć był otarty, kolano bolało jak cholera. I paraliżował mnie strach. Przez chwilę nie wiedziałem, co dalej. Tylko przez chwilę. Nie ma mowy, żeby mnie dopadli. To jest mój las, nie na darmo biegam tu od miesiąca. Utkając ruszyłem dnem uskoku. Uważnie patrzyłem pod nogi. Uskok wkrótce zmienił się w wawóz. Najpierw niewielki, potem coraz większy. Aż w końcu biegłem jego dnem, zupełnie niewidoczny dla tych w lesie. Nadłożyłem tak ze dwa kilometry, ale było bezpiecznie. Nawet nie wiem, kiedy zaczął padać deszcz. Drobnym, ale intensywnym letnim deszczem.

Do domu dotarłem skonany. Brat ze zdumienia upuścił kromkę chleba. Podniósł ją, położył na stole i zaciągnął mnie do lustra. Przeraziłem się. Bo i było się czego bać. Wyglądałem jak upiór – gęba pokryta maską z błota i krwi, fantazyjnie poprzecinaną strużkami potu. Przekrwione oczy wzywały z tej breji jak dwa kraterzy. Włosy zmiędlone w jeden kołtun, zlepione potem i deszczem, poprzetykane jakimiś badyłami i trawą. Na prawym ramieniu koszulka była rozdarta i zlepiona krwią. Gustowne kozaczki z błota sięgały mi do kolan. Ciekawe, czy ktoś mnie widział po drodze, ja w każdym razie nie widziałem nikogo. Zrzuciłem z siebie wszystko w korytarzu i w samych gatkach poszedłem do łazienki. Brat za mną. Rad nierad zacząłem opowiadać. Słuchał uważnie, dwukrotnie przerywając tylko krótkim – Pieprzysz! Mój wzrok przekonał go, że nie mam ochoty na żarty, więc potem już tylko kręcił głową. Wątpię żeby

mi uwierzył, ale gdy skończyłem, kazał mi się zbierać. Moją uwagę, że nigdzie nie jadę zbyt bez słowa i poszedł wyprowadzić motor. Zbierając zostawione przeze mnie ciuchy, mamrotał coś o mordzie, którego matka niechybnie dokona. Jechał jak jaki głupi i nie wiem, czego bardziej się bałem przez całą drogę – naszego szalonego crossu, czy powrotu w tamto miejsce. Wydawało mi się, że jazda zajęła nam chwilę.

Do pałacu zostało jeszcze jakieś trzysta metrów, kiedy brat, przy zjeździe z górki, wyłączył motor i cichaczem sunęliśmy w dół. Przy starym cmentarzu brat przyhamował i omal się nie wyłożyliśmy na mokrej trawie. Wjechaliśmy w krzaki i brat wepchnął emzatkę w gęstwinę. Bez słowa ruszyliśmy przed siebie. Skradaliśmy się najciszej, jak to było możliwe. Przy pałacu nie było nikogo. Obeszliśmy go dookoła dwa razy, ale niczego nie zauważyliśmy. Nic. W ruinach nie było żadnych świeżych śladów, żadnych połamanych gałęzi, czy rozkopanej ziemi. Liście nie były podeptane, a resztki murów Popatrzył na mnie i znacząco skinął głową, jakby chciał spytać, gdzie się podziały te moje szwaby? Ani śladu. Poszliśmy drogą w stronę bżów, tą samą, na której ledwie trzy godziny temu widziałem tę czwórkę. Też nic. Wtedy odezwał się po raz pierwszy od wyjazdu z domu i zapytał, gdzie stałem. Głową wskazałem kierunek. Po minucie byliśmy na miejscu. Wskazałem palcem starą sosnę. Podszedł, pochylił się, podnosząc się rzucił – Dziki. Podszedłem wściekły mówiąc – Dupa, nie dziki! – i zbaraniałem. Ziemia pod drzewem była gruntownie zbuchtowana. Żadnych liter, żadnych cyfr. Po numerze ani śladu Tylko świeże ślady dzika. Niczego nie rozumiałem. – O tej porze? – rzuciłem trochę bez sensu. Wzruszył obojętnie ramionami, ale raz jeszcze rozejrzał się wokół drzewa i nagle coś zobaczył. Nachylił się i delikatnie podniósł długi wiór. – Świeża – jego głos nie był zbyt pewny. Zaczęliśmy wzrokiem szukać miejsca, skąd pochodzi szczapa. On pierwszy zobaczył świeżo wyrąbany lej w pniu starej sosny. Lekko z boku drzewa, trochę ponad naszymi głowami, z pnia ziała dziura, w którą dwie pięści można było włożyć. – Niby gdzie drwa rąbią, to wióry lecą, a tu tylko jeden mały wiórek. Reszta sobie poszła? – żartował, ale było widać, że traci rezon. – Jak myślisz, co stąd wydłubali? – rzucił

nagle, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi. Kiwnąłem głową na potwierdzenie, że myślimy o tym samym. Jeśli ktoś tu rzeczywiście strzelał i zadał sobie tyle trudu, by usunąć ślady, to nie pukał z kaniflorków i nie był raczej harcerz. – Spadamy – nawet nie wiem, który z nas to powiedział. Ruszyliśmy szybko w stronę motoru. Już na starcie wlałem w jakąś dziurę i runąłem w chaszczę. Zakląłem szpetnie wcale nie po francusku i spojrzałem na podrapaną do krwi rękę.

– Cholerne jeżyny! – próbowałem wyciągnąć kolejny kolec wbity w rękę. Nie szło. Spróbowałem zębami, ale bez skutku. Czarna zadra tkwiła głęboko Przydusiłem palcem i syknąłem z bólu. Wbita drzazga przeszkadzała tak strasznie, że trzeba było ją natychmiast usunąć. Wyciągnąłem więc scyzoryk z kieszeni spodni, otworzyłem małe ostrze i zagłębiłem je w rękę Przy drugim podejściu udało mi się wydłubać kolec. Na dłoni pojawiła się plamka krwi, która zaczęła szybko rosnąć. Wytarłem krew chusteczką i mocno nacisnąłem rękę kciukiem. Do bólu. Przytrzymałem, aż plama krwi przestała się powiększać. Raz jeszcze obtarłem rękę chusteczką, później owinąłem ją, przykładając do rany mniej brudny fragment chustki. I dołączyłem do pozostałych. Od rana urzędowaliśmy w ruinach i każdy był śmiertelnie czymś zajęty. Jeden przerzucał ostrożnie kamienie i zmurszałe cegły, inny próbował odgruzować zasypane piwniczne okno, a trzeci z namaszczeniem oczyszczał prawie nieuszkodzoną posadzkową płytkę. Spojrzałem na wychodzący powoli spod warstwy brudu delikatny wzór zdobiący kafel, ale ten chytrus schował swoje znalezisko za plecy. – Wypchaj się – warknąłem i zaczęłem lewą ręką o wyrosłe w ruinach drzewko dzikiego bzu. Syknąłem z bólu i puściłem mimo uszu uwagę o karze Pana Bozi. Podszedłem do brata. Bez określonego celu łąził po pałacu, zaglądając to tu, to tam i nad czymś główkując. – Szukali czegoś w budynku – mamrotał do siebie – W budynku. Nie na zewnątrz, tylko tu. W budynku. Ale gdzie? Widać było, że nawet on nie ma pojęcia, co dalej. Niemcy czegoś szukali w pałacu i raczej tego nie znaleźli, bo ich przypadkiem wypłoszyłem. Szukali skarbu, to oczywiste. bo czegoż innego mieliby szukać.

I my postanowiliśmy znaleźć skarb, zanim oni wrócą. Stąd ta wyprawa. Skrzyknęliśmy się od razu, zebraliśmy całą paczkę, sprzęt, worki na skarby i jesteśmy na miejscu. Od rana. Prawie cały dzień. I nic. Zapał z czasem malał. Coraz to nowe pomysły chybiały i teraz utknęliśmy w miejscu. Zmęczeni i kompletnie zniechęceni. – Trzeba ostukać ściany. Widziałem na filmie – znalazca kafła wypalił zniecacka – Jak jest puste, to słycać. Dziecioły też tak robią – rzucona niespodziewanie złota myśl wyrwała wszystkich z odrętwienia. Jak zwykle, pierwszy zareagował brat. – Ty, dziecio! W baniak się puknij, to dopiero będzie słycać – zanieśliśmy się rechotem i jeszcze długo nabijaliśmy z kolegi. Ktoś zauważył, że coś jednak odkryliśmy i aż trudno uwierzyć, że zwykły dziecioł mógł się tak długo ukrywać. Biedak gotów był wracać do domu, choćby w pojedynkę. Bratu chyba zrobiło się go trochę żal, bo, jakby idąc za jego radą, zaczął przyglądać się resztkom ścian. Po chwili wszyscy się do niego przyłączyli. Wróciło w nas życie. Prześcigaliśmy się w pomysłach, gdzie mogłaby być umieszczona skrytka. Ktoś rzucił myśl, że chyba najlepsza byłaby piwnica. Ta jednak była zupełnie zavalona gruzem, kamieniami, potłuczonymi dachówkami i szkłem, spróchniałym drewnem oraz ziemią, Tym, co pozostało z pałacu i co od siebie dołożył las. Spoglądaliśmy w dół i widząc, że w tym, co pozostało z piwnicy szukać się raczej nie da, jakoś tak bez słowa, zaczęliśmy przyglądać się ścianie na zburzonej klatce schodowej do piwnicy. Pewnie dlatego, że jako jedyna w całym pałacu była dość duża. Miała jeszcze blisko dwa metry wysokości i prawie kompletne tynki. A pod tynkiem skarby! Zaczęliśmy w nią pukać. Najpierw nieśmiało, później coraz mocniej. Nie bardzo patrzyliśmy na efekty naszego stukania. Waliliśmy nasłuchując pustego. A potem już tylko dla samego walenia. Bez opamiętania. Aż zaczęliśmy pluć pyłem i kurzem. W ustach mieliśmy mdły smak tynku. Ohyda!

Wyszliśmy z unoszącego się tumanu wapiennego pyłu. Nie bardzo rozumieliśmy, jak można tak ogłupieć. Pył powoli opadał, nasze emocje także. Dochodziliśmy do siebie. I wtedy brat podszedł do ściany. – Młotek! – wyciągnął do tyłu rękę. Poprawił w ręce podany młotek i podszedł jeszcze bliżej. Zobaczyliśmy to, co on

widział już od chwili – w jednym miejscu tynk pękł równiutko, jakby od linijki, a raczej od ekierki. Szczelina w tynku rysowała się pod kątem prostym, leciała dalej równo, by zaraz potem znowu się załamać pionowo w dół. Wziął zamach i uderzył. Stuknęło. Wszyscy byliśmy pewni, że tak jakoś pusto. Gdy pył nieco opadł, wałnął ponownie. I jeszcze raz, tylko teraz już lżej. Tynk odpadł równym płatem i ujrzelśmy gładką powierzchnię. Z resztkami jakiegoś papieru, czy tektury. Tam naprawdę coś było. Staliśmy jak wryci. Brat wrócił do odbijania tynku, ale teraz robił to już bardzo ostrożnie. Raz uderzył mocniej, młotek nie trafił w tynk i głośno zadzwięczał. – Jakiś metal – powiedział cicho i dalej odkuwał. Po jakimś czasie odrzucił młotek i zaczął zdrapywać delikatnie stary papier. Gdy skończył, odsunął się i wszyscy ujrzelśmy efekt jego pracy. W ścianie tkwił metalowy prostokąt, coś jakby ściana jakiejś skrzynki. Sejf? Przy lewej krawędzi, w połowie wysokości, papier, którym ktoś osłonił skrytkę, zanim ją zamurował, przywarł i nie pozwalał się oderwać. – Wody, dajcie trochę wody! – brat się odwrócił i było widać, że jest podekscytowany. Ktoś złapał kankę z przywiązany do niej sznurkiem i pobiegł w kierunku starej, bardzo głębokiej studni. Wrócił po chwili, głośno sapiąc. Brat wyjął chusteczkę do nosa, polał ją wodą i mocno wycisnął. Podszedł do ściany, a my wszyscy przytuliliśmy się do niego najbliżej, jak to było możliwe. Zdawało się, że nasze oddechy poruszają jego włosy. Nic sobie z tego nie robiąc, mokrym gałgankiem zaczął trzeć. Papier zszedł prawie zupełnie i zobaczyliśmy wyraźną szczelinę wokół drzwiczek. Brat wypłukał chusteczkę i czyścił dalej. Zajął się ciemną plamą po lewej. Tarł i tarł, aż w końcu przyklejony placek papieru puścił. Z trudem można było dostrzec mały prostokącik z taką samą szczeliną, jak ta wokół drzwiczek. Brat wyczyścił dokładnie całą powierzchnię. Odwrócił się czegoś szukając. Podałem mu scyzoryk, skinął głową z aprobatą i bez słowa włożył ostrze w szczelinę wokół drzwiczek. Ostrożnie jechał scyzorykiem dookoła. Później chciał zrobić to samo z tą mniejszą szczeliną. Na siłę chciał wcisnąć ostrze, ale nic z tego nie wychodziło. Bezskutecznie próbował w różnych miejscach. I nagle stało się coś dziwnego – ostrze zgrzytnęło i prostokącik odskoczył. Nie odpadł jednak od drzwiczek, tylko sterczał z nich

teraz, odsłaniając czarną otchłań, a w niej dziurkę od klucza. Kurde balans! to naprawdę był sejf. Brat złapał za wystająca z drzwiczek klapkę tak świetnie maskującą dziurkę od klucza i szarpnął.



Potem jeszcze raz, ale drzwiczki ani drgnęły. – Klucza nie ma – rzucił zrezygnowany, a my, jak na komendę zaczęliśmy rozglądać się wokół, tak jakby ten klucz tyle co komuś upadł. Brat parsknął – Idioci – i wszyscy zaczęliśmy się z siebie śmiać. Napięcie ostatnich minut z nas zeszło i teraz odreagowywaliśmy. Po długiej chwili wiwatów, okrzyków, stwierdzeń bez sensu i głupich rad, ktoś rozsądnie stwierdził, że sejf nie można tak zostawić. A skoro nie można go otworzyć, to trzeba go wyrwać ze ściany. W pierwszej chwili wydawało się to absurdalne, ale w efekcie okazało się to łatwiejsze, niż pierwotnie sądziliśmy. Zdjęliśmy ze trzy warstwy cegieł nad sejfem, do tego po kilka cegieł z każdej strony i, we dwóch z bratem,

wzięliśmy się za wyciąganie sejfu ze ściany. Mimo bolącej ręki, nie pozwoliłem nikomu zająć mojego miejsca. Mowy nie ma! W końcu to ja wyśledziłem szwabów! I nie po to tyle razy wyróżnałem się tutaj jak długi i podrapałem pysk i obie łapy, w tym lewą dużo mocniej, żeby ktoś mnie teraz wykolegował, a ja jak głupi jaki patrzył, jak on mój skarb wyciąga. Głosy niezadowolenia zbyłem lekceważącym machnięciem ręki i wdrapałem się na mur. Usadowiłem się na szczycie. Brat ukląkł naprzeciwko i, na jego komendę, zaczęliśmy szarpać żelastwo. Ręka bolała jak cholera, ale to mnie wcale nie zrażało. Targałem jak wściekły.

Z początku szło trochę opornie, żelastwo ani drgnęło. Ale kiedy w końcu kotwy, wmurowane w ścianę, pod naporem naszej siły puściły, skrzynka wyskoczyła. Poleciały cegły, posypał się tynk i kurz. Brat, który szarpał o wiele mocniej, zachwiał się, stracił oparcie i w ostatniej chwili zeskoczył z muru. Całym sobą przycisnąłem zdobycz, żeby nie poleciała w ślad za nim. W środku coś głośno zastukało. Trzymałem skrzynkę prawą ręką, drugą, mocno obolałą, ledwie sobie pomagając. Skrzynka była ciężka. Mimo bólu potrząsałem nią i ze środka znowu dobiegł głuchy stukot. Sejf nie był pusty. Znowu wybuchł tumult, wiedzieliśmy już, że w środku jest pełno skarbów, a my będziemy bogaci. Ba, już jesteśmy! Któryś wyciągnął ręce i odebrał ode mnie skrzynię. Ta przechodziła teraz z rąk do rąk, wzbudzając niekłamaną radość u każdego z odkrywców. Zsunąłem się z muru i dopiero wtedy dotarło nas, że zbyt cicho to się nie zachowywaliśmy. Brat skinął głową i dwaj kolesie ruszyli na zwiady. Obeszli po cichu całą polanę. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było i nasze dzikie wrzaski uszły nam na sucho. – Ani żywej duszy – zameldowali i mieli wyjątkowo głupie miny, gdy brat zapytał o martwe. Po chwili pojęli o co idzie i też wybuchnęli śmiechem. Ręka bolała mnie coraz bardziej i zostałem zwolniony z dalszych obowiązków. Przyglądałem się tylko, jak reszta pakowała wszystko do drogi. Później wzięli się za osuwanie śladów naszego sukcesu, ale nie było to łatwe. Nijak nie można było uzupełnić wielkiej wyrwy, więc dziura po sejfie została powiększona, tak by nikt nie poznał, że coś tam było. Później brat zasypał całość gruzem i wyraził nadzieję, że deszcz zrobi resztę.

Ruszyliśmy w drogę. Zdobyć, owiniętą w czyjaś bluzę i zapakowaną do worka, wszyscy nieśli na zmianę. Jako kontuzjowany, nie musiałem niczego dźwigać, a mimo to ręka, tyle razy w ostatnim czasie wystawiana na ciężką próbę, bolała coraz bardziej. Pomny tego, co się stało wcześniej, szedłem wyjątkowo ostrożnie. Włokłem się na samym końcu, patrząc pod nogi przy każdym prawie kroku. I, o dziwo, nie wlałem w żadne jeżyny.

foto: Bart Groenhuizen, Freeimages.com



Kręciliśmy się niecierpliwie. Co chwilę ktoś pytał o godzinę, ktoś inny ukradkiem patrzył na zegarek. Nie chcieliśmy dać po sobie poznać, ale oczekiwanie doprowadzało nas do rozpacz. Już dwa tygodnie byliśmy posiadaczami wielkiego skarbu, ale ciągle nie wiedzieliśmy, jak jest on wielki. Cały czas jeszcze mieścił się w stalowej skrzynce wyciągniętej ze ściany, a ta nie urosła przez ten czas ani trochę, ani też nic z niej nie ubyło. Była nietknięta. Tyle lat tkwiła w murze, to może cierpliwie poczekać jeszcze. My cierpliwość straciliśmy na samym wstępie. Zanieśliśmy ją do warsztatu ojca i próbowaliśmy się do niej dostać. Przymierzaliśmy kilka kilogramów kluczy, najpierw je zbierając na różne sposoby po całej wsi. Pożyczaliśmy, wymienialiśmy, a nawet kupowaliśmy. Kiedy ktoś głupio pytał, po co nam stare klucze, odpowiadaliśmy tajemniczo, że przygotowujemy się na Andrzejkę.

Tydzień starań i umizgów poszedł psu na budę, bo ani jeden kluczyk nie pasował. Sto trzydzieści dwa klucze, sztuka po sztuce, komisyjnie przymierzone do dziurki. większość wetknięta, nieliczne nie. Niektóre z wetkniętych wyjęte z największym trudem. Dwa, w tym jeden od naszego kredensu, w kawałkach. Kiedy akcja z

kluczami nie wypaliła, przeszliśmy na wytrychy. Próbowaliśmy po kolei, jeden po drugim. Skutek żaden. Kiedy jedynie podrapaliśmy drzwiczki, brat się wściekł i był bliski rozgonienia towarzystwa. Głótkowaliśmy. Każdy zgłaszał naprawdę doskonałe rozwiązania i nie mogliśmy pojąć, dlaczego skrzynia ciągle jest nietknięta, a my nie pławimy się w luksusie. Ale cały czas próbowaliśmy. Po złamaniu dwóch brzeszczotów i zniszczeniu ze trzech śrubokrętów, przyszła pora na rozwiązanie siłowe. Zgłoszona już na samym początku przez Dziecioła, opcja walnięcia młotem wydawała się jedynym sposobem. Brat był temu przeciwny, z uwagi na, jak mówił, możliwość zniszczenia zawartości. Ale my, dużo młodszy od niego, uważaliśmy, że jest to jedyne wyjście. Pod naciskiem tłumu brat ustąpił i zarządził głosowanie. Przegrał. Wytargował tylko tyle, że walnięcie miało być umiarkowane i pod jego kontrolą. Dziecioł, jako autor pomysłu, miał dostąpić zaszczytu otwarcia. Niecierpliwie zaczął dopytywać się gdzie jest młot. Brat wyraził się jasno, kto tutaj jest młot i zgodził się jedynie na kilogramowy stolarski młotek. – W to miejsce – brat wskazywał palcem mały krzyżyk narysowany kredą w narożniku sejfu – Raz i nie mocno – brat wycedził przez zęby, ale koleś był już w innym wymiarze i chyba nic do niego nie docierało. Oczy my lśniły, na czole pojawiły się krople potu, głośno przełykał ślinę. Z namaszczeniem ujął młotek w obie dłonie, ścisnął tak, że z trzonka popłynęły soki, na błagalne spojrzenie brata pokiwał głową, że spokojnie, że wie co ma robić. Wszystko pod kontrolą! Przytknął młotek do znaku na blasze, uniosł ręce w górę, i, zupełnie niespodziewanie wydał z siebie indiański okrzyk bojowy, zakręcił w powietrzu młotkiem młynka i z całej siły walnął. Trochę jakby poza kontrolą. Trafił idealnie w środek sejfu. Huk był taki, jakby świat się walił. Sejf zakołysał się na warsztacie i spadł na beton. Trzask i jakiś dziwny rumor dochodzący ze środka metalowej skrzyni zmroził nas do szpiku. Przerażeni wpatrywaliśmy się w nasz majątek, nie mogąc wydusić słowa. A ten biedak leżał sobie na podłodze. Ani troszeczkę mniej zamknięty, niż przed barbarzyńskim atakiem tego wandal. Potraktowana tępą siłą górna ścianka sejfu wgięła się pewnie o jakieś dwa centymetry. Ale nie puściła. Brat, błady jak

plótno, wpatrywał się w tę ranę, A kiedy Dziecioł, z wypiekami na twarzy i ciągle jeszcze z młotkiem z ręką, wskazał palcem swoją ofiarę i bezgłośnie spytał, czy poprawić, brat się ocknął. Wolno omiatał wzrokiem warsztat, czegoś szukając. Znalazł i jego wzrok się zatrzymał. Wszyscy popatrzyliśmy w to miejsce i oniemieliśmy z przerażenia. Duża, zakrzywiona siekiera ciesielska, ta której ojciec nawet nie pozwalał mi dotknąć, a która zawsze kusiła mnie swoim kształtem topora spod Grunwaldu, wisiała majestatycznie na ścianie, podtrzymywana przez dwa wielkie gwoździe wbite w belkę. Brat wolno wyciągał rękę, ale Dziecioł był szybszy. Mózg mu spracował jakby był nie jego. – Nie żartuj! – rzucił udając luz i siłąc się na uśmiech, ale kiedy zobaczył że brat ma w oczach mord i jak automat sięga ku ścianie z narzędziami, zwątpił. Popatrzył na młotek w ręce, potem na ścianę. Znowu na młotek i znowu na siekiere. Analizował. Młotek kontra topór. Myślał tak intensywnie, że na czole pojawiła mu się głęboka, pionowa bruzda. I podjął decyzję. Walnął młotkiem pod warsztat i z wrzaskiem – Chyba ocipiałeś! – wypadł z warsztatu. Gdyby drzwi były zamknięte, pobiegłby razem z nimi. Albo wybił w nich dziurę. Donald tak zawsze robił. Brat chciał ruszyć za nim, ale go przytrzymaliśmy. Miotał się jak w sieci, wściekle dysząc. Trzymaliśmy mocno. Zrezygnowany, wyszarpnął tylko jedną rękę i, wygrażając pięścią wrzeszczał w ślad za uciekinierem – I żebyś mi tu więcej się nie pokazywał! Ty! Ty! Ty młocie historii jeden! Kiedy się odwrócił, był zupełnie spokojny i wiedział, co trzeba robić. – Koniec z tymi pizdykami! – wskazał na rozrzucone na blacie klucze i druty. – Młotek podnieś – rzucił do mnie, a sam podniósł sejf, zakołysał nim, lekko otrząsając się na niepokojący dźwięk dochodzący ze środka. – Skarb nam zniszczył – jęknął, ale zaraz się opanował i dalej ciągnął, jak gdyby nic się nie wydarzyło – Trzeba tu przywieźć Kasiarza. Ze Lwowa. – Jak ty go chcesz stamtąd przywlec? Przecież to w Sowietach – wypaliłem. A on walnął mnie w czoło. – Z Jakich Sowietów, matole! Ze Szczecina! Mówi się „ze Lwowa”, bo lwowscy kasiarze są najlepsi. Ale co oni by teraz we Lwowie kradli, jak tam jeden bank. Oni teraz we Wrocławiu. Albo Szczecinie. Jeden, słyszałem, urzęduje na Turzynie. Tylko dostać się do niego

nie jest łatwo. Trzeba mieć dojsście. Ale skąd? – zmarszczył brwi i kiwał głową.

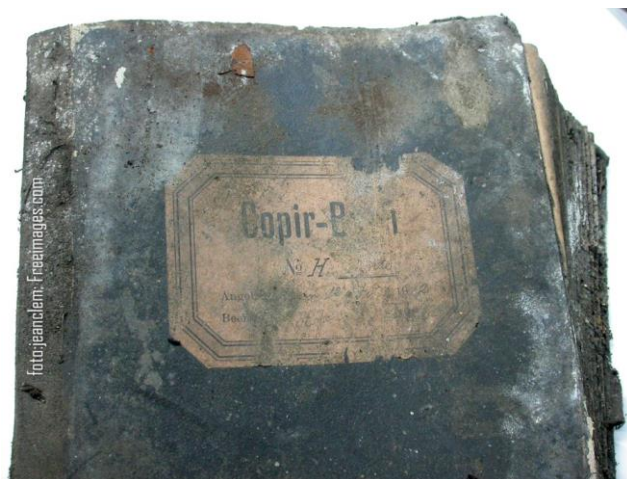
Znalazł. I dzisiaj wreszcie sezam się otworzy. Pociąg już przyjechał, jego gwizd słyszeliśmy blisko dziesięć minut temu. Już dawno powinni być. – Jada! Jada! – Dziecioł biegł z ulicy przez podwórze, wrzeszcząc jak opętany. A zaraz za nim, cichuteńko, na podwórze wtoczyła się emzetka. – Dobrze chodzi – zupełnie siwy staruszek wolno zdejmował kask, z podziwem patrząc na motor. Poklepał siodełko. – Dobra maszyna. Szwabska – pokiwał głową z uznaniem. Brat wprowadził go do warsztatu. Niewielkie pomieszczenie, zastawione narzędziami oraz opartymi o ściany deskami i wiązkami listew z trudem mieściła naszą piątkę. Dziadek wskazał nas skinieniem głowy, jakby chciał się spytać, czy matka więcej nas nie miała, ale brat, bez słów, wzruszając ramionami, odpowiedział, że nikogo przepędzić się nie dało. Niechby spróbował! W końcu skarb był nasz wspólny. Nawet Dziecioł, choć wandal i barbarzyńca, miał takie samo prawo jak i pozostali. Najwyżej mu się za szkody potrąci. Brat ręką kazał nam się odsunąć, posłusznie zrobiliśmy miejsce przy warsztacie. Przybyły przywitał się z nami i z miejsca zabrał się do rzeczy. – Nie ma na co czekać, czas to pieniądz. My, specjaliści bankowi wiemy to najlepiej – zarechotał, ale my byliśmy zbyt podnieceni oczekiwaniem i nie zrozumieliśmy żartu. – A propos pieniądza – spojrzał pytająco na brata. Ten skinął na mnie i przystąpiłem do akcji. Z namaszczeniem odliczyłem cztery tysiące, wielokrotnie próbując palcami, czy przypadkiem jakiś banknot się nie skleił. Podałem pieniądze przybyszowi, ten rzucił krótkie – Zgadza się – i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Patrzyłem, jak w jej głębi znikają nasze wszystkie najbardziej tajne oszczędności i dwa tygodnie pracy ojca który, aby dać nam te pieniądze, zostawał w warsztacie dzień w dzień do późnej nocy i robił jakieś dodatkowe zlecenia. Nasze zapewnienie, że zwrócimy wszystko co do grosza z naszego skarbu, zbył machnięciem ręki. Tymczasem nieznamy policzył nas, wskazując każdego palcem, potem wskazał na siebie, głośno podał wynik – Sześć! Szósta część dla każdego – dorzucił i z niewielkiej torby

wyciągnął mały drewniany przybornik z narzędziami. Zatarł ręce i zabrał się do rzeczy.

Brat zdjął starą szmatę i odsłonił nasz sejf. Mistrz odpędził nas od warsztatu tak, jak się odpędza muchę i kazał się nam odwrócić. Niecierpliwie machnął ręką raz jeszcze, kiedy ociągaliśmy się z wykonaniem bezgłośnej komendy. Listewka, po którą sięgnął brat, była argumentem przełamującym opór. Staliśmy w kącie, podglądając, co się dzieje. Bankier oglądał dokładnie skrzynkę, przesuwając ją po warsztacie. potem delikatnie uniósł i potrząsnął. Zagruchotało, a my się wzdrygnęliśmy. Odłożył pudło, ukląkł przy warsztacie i otworzył klapkę maskującą zamek. Wydał wargi, przez twarz przemknął mu uśmiech. – Berliński. Niezły – pogrzebał w swoim przyborniku i wyciągnął plik powyginanych drutów, spiętych razem. Wybrał jeden i wsadził w otwór. Pogrzebał. Wydawało się nam, że coś zgrzytnęło w zamku. Zmienił wytrych. Zgrzyt. Nowy wytrych. Pokręcił głową z dezaprobatą. Zmiana ostrza. Zgrzyt. Zmiana. Potem znowu. I jeszcze raz. Bez końca. Z wrażenia staliśmy na bezdechu. Gdyby to trwało choć troszkę dłużej, wszyscy byśmy się podusili. Ale na szczęście dla nas coś w końcu stuknęło jakby głośniej i kasiarz się uśmiechnął. – Mój ci on! – wyszczerzył zęby i wstał z klęczek. Odwrócił się w naszą stronę i, jak aktor na scenie, z poczuciem dobrze odegranej roli, z triumfem na twarzy, lekko się kłaniając, szerokim gestem prawej ręki – Voila! – zapraszał nas do stołu. Pociągnął drzwiczki. Puściły. Z wolna się rozchyliły i bramy sezamu stały teraz otworem. Brat delikatnie przesunął sejf na bok i rozścielił na warsztacie tę samą szmatę, którą sejf był wcześniej przykryty.

Głęboko odetchnął, wziął sejf w obie ręce i, wznosząc oczy w górę, delikatnie wysypał nasz skarb. Zawartość z głośnym stukotem wypadła na pokryty materiałem warsztat. – Złoto – rzucił ktoś na odgłos wydawany przez jakieś ciężkie metalowe sztabki, z brzękiem spadające na stolarski stół. Patrzyliśmy jak urzeczeni. Nad warsztatem unosił się tuman pyłu. Brat zaczął przeganiać kurz ręką, ale niewiele to pomogło. Kurz powoli opadł. I w końcu mogliśmy dojrzeć nasze znalezisko. Staliśmy jak te dzbany. Każdy zdumiony do szczytu, ale każdy na swój sposób. Dawno nie widziałem twarzy tak inteligentnych

inaczej. Nie widziałem swojej, ale z pewnością mądrzejszej miny nie miałem. – No tośmy zarobili! Taaak! Teraz to dopiero jesteśmy bogaci! – brat uśmiechnął się gorzko. Nam też do śmiechu wcale nie było. Na warsztacie leżała sejfowa półka, a na niej kompletnie wymieszane dalsze części sejfu, zbutwiała książka, chyba stary różaniec i jakieś drobne monety, czy medaliki. Spod półki wystawały jakieś banknoty. Stare. I gazeta, też stara. Całość uwalana jakimiś pokruszonymi skorupami i glinianym pyłem.



I to wszystko. Podszedłem do stołu. Delikatnie zacząłem wyjmować nasz skarb z tej kupki gruzów, otrzepywać go i delikatnie układać na boku. Dopiero potem wszystko dokładnie obejrzałem. Rzecz po rzeczy. Głośno komentowałem znalezisko, a z tyłu nie było żadnej reakcji. Zbutwiała książka była chyba jakimś pamiętnikiem czy dziennikiem. Skóra, w którą była oprawiona przegniła zupełnie, rozpadała się w palcach i pachniała nieświeżo. Wilgoć posklejała kartki w jedną błotnistą masę. Bardziej można się było domyślić, niż zobaczyć, że były ręcznie zapisane atramentem. Z trudem można było odcyfrować pojedyncze litery. Dla kogoś kiedyś to było cenne. Tak cenne, że zamknął to przed światem. Na zawsze. Pewnie tak cenne jak i ten różaniec, teraz zupełnie zniszczony. Łańcuszki pordzewiały, spróchniałe drewniane paciorki kruszyły się w palcach. Lewe ramię krzyżyka było ułamane. Ruina. Mały medalik, chyba cynowy, korozja tak zżarła, że nie sposób było odcyfrować, kto na nim był. Nie wiadomo też, kogo miał chronić. Jedynie monety, sześć jednopfennigówek, zachowały się całkiem przyzwoicie. Cóż było w nich takiego, że ktoś je tak dobrze ukrył? Sprawdziłem, złote

nie były. Gliniany gruz był pewnie kiedyś jakąś figurką, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, co przedstawiała. Uwierzyliśmy majstrowi na słowo, że nie ma czego żałować, bo żadna chińska terakota nie była. W doskonałym za to stanie zachowała się półeczka i cztery żelazne podpórki. Ich czas w ogóle nie tknął. To one pewnie tak brzęczały i przez chwilę były dla nas szczerozłotymi sztabkami. Ale na koniec pozostał prawdziwy majątek, zawinięty w gazetę Liczyłem głośno. Dwieście osiem tysięcy trzysta marek. W banknotach po sto i tysiąc marek. Wszystkie w niebieskim kolorze, setki trochę ciemniejsze. Jedne i drugie niebieskie. Sine, jak je określiła mama, jakby je ktoś jeżynami wymazał. Z tysiąc dziewięćset ósmego i dziesiątego roku, sprawdziłem daty. Wartość banknotów odeszła w niebyt wraz z cesarstwem pana Wilusia, jak to określił nasz specjalista. Liczył coś w pamięci i dodał – Jakaś złotówka za pięć sztuk, nie więcej. Razem jakichś pięć dych. Zarobiliśmy po bochenku chleba. A kiedyś można było za to kupić kamienicę. W Szczecinie. – Poproszę moją dolę – staruszek wyrwał nas z odrętwienia. Popatrzył na rozrzucone na warsztacie rzeczy, więc zacząłem dzielić znalezione pieniądze na sześć kupek. Liczyłem starannie, nie zważając na to, że kazano mi się wypchać, a ktoś rzucił we mnie kawałkiem drewna. Wyszło nierówno, jednemu przypadła stowa więcej. Gdy skończyłem, wziąłem największą działkę i podałem kasiarzowi. Ten wsadził rękę do kieszeni, wyjął włożone tam wcześniej honorarium. Tysiąc złotych schował spowrotem, resztę wyciągnął w moją stronę ze słowami – Machniom! Dał mi trzy tysiące złotych, biorąc w zamian swój udział. – I poproszę mojego pfenniga – dorzucił i zabrał pieniążek ze stołu. – Teraz jest sprawiedliwie. Patrzyłem na niego zdumiony, nie zdając chyba sobie sprawy, że oto spotkałem uczciwego złodzieja. Rozdałem każdemu z nas jego zdobycz, dokładając do pliku banknotów po pieniążku. Na szczęście. Obejrzałem gazetę. Do niczego. Stara i po niemiecku. Gazeta jak owoc, dobra gdy świeża. Oddarłem kawałek pierwszej strony i zawiąłem swoje banknoty. Resztę zmiąłem i rzuciłem w kąt.

Chodziliśmy w milczeniu wokół ruin pałacu. Wszystko się zmieniło od czasu, gdy byłem tutaj

ostatni raz. Pałacowe obejście tak zarosło, że nie można już dostrzec nawet śladu ludzkiej ręki. To co przedstawiała dawna widokówka, a to co roztaczało się wokół, to dwa różne światy. Chociaż miejsce niby to samo. Wpatrywałem się w pomięty, obszarpany fragment gazety. Że też nie mogłem oderwać górnej części! Nie, ja musiałem sobie zostawić dolny fragment! I teraz mam dolną część jakiejś fotografii z fragmentem podpisu. A gdyby licho mnie nie podkusiło, gdybym wtedy nie wyrzucił reszty starej gazety, wiedziałbym, jak ten okrutny bandzior Masch wyglądał w całości, a nie tylko od brody w dół, do pasa. Może nie musiałbym poświęcić tyle czasu, szukając Bóg wie gdzie, żeby dowiedzieć się, kim właściwie był. I cóż takiego wydarzyło się dziesiątego dnia września tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku, że mała wioska na skraju lasu przez krótki czas była na ustach wszystkich w całych Prusach. I jeszcze dalej. Chociaż, z drugiej strony, kogo właściwie to obchodzi. Niemiecką wioskę polscy osadnicy dawno rozebrali na cegły i deski. Pola porósł las. Z cmentarza nie pozostał ani jeden nagrobek, tylko barwinek każe ściszyć głos. Tylko dwie dzikie wiśnie przypominają, gdzie stała karczma, w której dokonano strasznej zbrodni. I dziura po studni. Z pałacu została dziura w ziemi. Odkrywczy rozjechali się po świecie. Z nimi ruszyły jednopfennigowe monety, ginąc gdzieś po drodze. Moja podróżowała ze mną kilka lat, aż jakiś gnój skroił mi ją razem z całym portfelem w poznańskim tramwaju. Banknoty trafiły do mnie i później poszły na wymianę. Dawno temu. Bardzo dawno. Za książki, znaczki, monetę z żaglowcem. Wymiana może być korzystna. Książki, znaczki i żagłówkę wymieniłem na inne książki, stare pocztówki, monetę z kobietą i inne monety. Ze znaczków wyrosłem. Książki przeczytałem i niektóre do dziś stoją na mojej półce. Czasami wyciągam pocztówki i je oglądam, nikt w domu nie wie po co. I choć dawno pozbyłem się tych banknotów w niebieskim kolorze, ciągle mam z nimi kłopot. Trzydzieści przeszło lat minęło, a ja ciągle widzę te kobiece postaci w ciemnym, niebieskim kolorze. Mam dobrą pamięć. Naprawdę dobrą. Tyle tylko, że cesarstwo niemieckie wyemitowało banknoty tysiącmarkowe w takim nijakim, szarym kolorze. Jasnym lub troszkę ciemniejszym, ale zawsze szarym. Nigdy w niebieskim. Ani ciemnym, ani jasnym. Nigdy.

I gdyby nie to, że czasami, dorobionym za duże pieniądze kluczykiem, dla zabawy otwieram sobie pusty sejf firmy O. Schleiff z Berlina, byłbym pewien, że to tylko wymysł mojego chorego umysłu. Lekarz bezradnie rozkłada nade mną ręce. Nie umie mi pomóc. Ani zrozumieć, skąd u mnie tak rzadkie uczulenie na kolce i

liście jeżyn. A owoce wcale mi nie szkodzą. I tak je lubię.

Bronisław Kraska



Podróże w XVI wieku - koniecznie z przygodami



W czasach średniowiecza i renesansu podróżowali tylko ci, którzy musieli, a naprawdę daleko od domu zapuszczali się głównie różnego rodzaju awanturnicy, uciekający przed krwawą zemstą lub karą śmierci. Ale to, czego po drodze doświadczali, nie da się porównać z przeżyciami współczesnych podróżników.

Łukasz Czeszumski – autor reportaży o mafii narkotykowej, mógłby wiele opowiedzieć o tym, jak dotrzeć do najbardziej niebezpiecznych zakątków Ameryki Południowej. Ale o dziwo, równie wiele ma do powiedzenia na temat podróżowania po Europie i świecie w XVI wieku – wiedzę tę zgłębił w ramach

przygotowań do serii powieści historycznych pt. „Krew wojowników”.

- Podróż z Krakowa do Gdańska zajmowała konno lub Wisłą przynajmniej tydzień. Podróż z Polski do Włoch trwała od kilku tygodni do kilku miesięcy. I nigdy nie było wiadomo, czy uda się taką podróż przeżyć – opowiada Łukasz Czeszumski. - Poznawanie świata wymagało końskiego zdrowia, potężnej wytrzymałości i odporności na niewygody. Zajazdy oferowały w najlepszym razie strawę i napitek oraz nocleg w ciasnej zbiorowej sali lub nawet w stajni. Wszy, pchły i pluskwy były normą, do której trzeba było się przyzwyczaić.

Świat dla awanturników

Nic dziwnego, że dla większości mieszkańców XVI-wiecznej Europy podróże były ostatecznością, a nie kwestią wyboru. Podróżowali głównie kupcy i to oni najczęściej dokonywali geograficznych odkryć. Podróżowali kurierzy oraz żołnierze, którzy czasem walczyli daleko poza własnym krajem. Podróżowali także wysocy urzędnicy dworscy i sami władcy – ci mieli przynajmniej o tyle łatwiej, że po drodze przeważnie byli goszczeni na zaprzyjaźnionych dworach.

Polscy szlachcice, których motywowała chęć do poszukiwania chwały na polu walki, nie musieli ruszać w świat. W XVI i XVII wieku na pograniczach Polski i Litwy wojny toczyły się tak często, że rzadko pojawiały się okazje, by ruszać dalej. Ci, którzy zasłynęli ze swych podróży, to przeważnie słynni awanturnicy, tacy jak Stanisław Sobocki, który zbiegł z Polski, by uniknąć kary za morderstwo. Po wielu perypetiach wstąpił do zakonu kawalerów maltańskich, po czym toczył boje na Sycylii oraz w Afryce. Inny znany „podróżnik” – Bartłomiej Nowodworski, służył francuskim królom w wojnach domowych, a potem spędził osiem lat jako rycerz Zakonu Maltańskiego, zdobywając twierdze arabskie w Afryce.

- Jego wyjazd z Polski odbył się w dość dramatycznych okolicznościach, ponieważ zabił on w pojedynku królewskiego dworzanina – opowiada Łukasz Czeszumski. - Jak pisano potem o Nowodworskim: „dla jego rycerskiej duszy wstydem i męką był spoczynek. Nawykły od lat młodych do wrzawy walki, długi czas przeżywszy wśród trudów wojennych, tęsknił do bojów, jak ptak tęskni do powietrza, żeglarz do morza” – cytuje „Żywoty sławnych Polaków XVII wieku” Andrzeja Koźmiana.

Jak wielu było w tamtych czasach ludzi podobnych do Sobockiego czy Nowodworskiego? Ówczesne źródła to najczęściej typowo organizacyjne spisy – listy zaciągów, księgi okrętowe, rejestry królewskie. Tylko nieliczni mogli spodziewać się, że ktoś na piśmie zachowa pamięć o ich losach. A powieści toczone przy ogniskach dawno już uległy zapomnieniu.

Nieprzejezdne drogi, niebezpieczne statki

Dziś z Austrii do Włoch przejeżdżamy autostradą. Kiedyś jechało się niemal dokładnie tą samą trasą, przez przełęcz Brenner, ale powoli, konno lub wozem, podczas przeprawy przez góry osłaniając się przed uderzeniami wichrów, marznąc, wypatrując drogi pośród mgieł.

Czy potrafimy wyobrazić sobie jeszcze tę radość, gdy po tygodniach podróży, oczom podróżnych ukazywały się kwitnące ogrody włoskich dolin, a do ich policzków docierały pierwsze promienie południowego słońca? Te krótkie chwile były być może w stanie wynagrodzić wszelkie niedogodności, których podczas podróży nie brakowało.

Na Zachodzie Europy przez całe średniowiecze głównymi szlakami pozostawały drogi rzymskie. Poza skąpą siecią dróg, Europę pokrywały także rozległe dzikie obszary – góry czy bagna, na których szlak często ginął i łatwo było zabłądzić. Mostów budowano niewiele, więc większość rzek trzeba było pokonywać w bród. Deszcze zamieniały szlaki w błoto, a śnieżne zasy zupełnie wyłączały je z użytku. Dlatego podróże (w tym także wyprawy wojenne) organizowano prawie wyłącznie od wiosny do jesieni. Zima była czasem odpoczynku.

Podróżowano też rzekami i morzem. Taka podróż była nieco szybsza i pozwalała ominąć niedostępne (np. z powodu toczących się wojen) lądy i łańcuchy górskie.

- Ale podróż morska także nie należała do bezpiecznych – mówi Łukasz Czeszumski. - Na statkach panowała ciasnota, a więc i spora szansa na wybuch zarazy. Statek mógł rozbić się na skałach lub utopić podczas sztormu.

Kosztowne przekraczanie granic

Brak dróg, wojny i niewygody, to nie wszystkie problemy, jakie czyhały na ówczesnych podróżników. Jeśli sądzimy, że w XVI wieku człowiek był bardziej niż dziś wolny i nie dotyczyły go formalności graniczne, jesteśmy w błędzie. Już w średniowieczu miasta ściągały cła od kupców, a popularne „prawo składu” czyniło

tranzyt nieopłacalnym. Lokalni władcy ściągali myto za przejazd przez swoje tereny, a także za korzystanie z dróg czy mostów.

- Podróżny udający się do Hiszpanii musiał zapłacić na granicy wysokie cło od wszystkich wwożonych przedmiotów i konia. Z kolei w miastach Włoch, które żyły w bezustannym strachu przed epidemiami, zabraniano wjazdu każdemu, kto nie legitymował się podpisanym przez uznanego medyka świadectwem zdrowia. Takie świadectwo było dość kosztowne, kwitł więc handel fałszywkami – podaje Łukasz Czeszumski.

Do tego dochodzą jeszcze prześladowania religijne. Cyganie byli w Europie przeganiani z miejsca na miejsce, więc w końcu zaczęli udawać „chrześcijan z Egiptu”. Żydzi mieli swobodę wyznania np. w Polsce, ale już np. w uchodzącej za tolerancyjną Wenecji, mogli się osiedlać tylko na wyspie Gettare (stąd zresztą wywodzi się słowo „getto”).

Poza tym nie brakowało rozmaitych zbójców. Złodzieje grasowali nie tylko na odludziach, ale wszędzie tam, gdzie mogli liczyć na solidne łupy, np. na głównym szlaku prowadzącym do Rzymu. Zbójckie bandy często prowadzone były przez uzurpatorów udających miejscowych książąt. Nie do pomyslenia było podróżować przez obce ziemie bez broni, a nawet wskazane było posiadanie zbrojnej eskorty.

Zmyślona historia o prawdziwym świecie

Zebrane materiały dotyczące podróżowania i życia w XVI wieku, Łukasz Czeszumski wykorzystał we wspomnianym cyklu powieściowym „Krew wojowników”. I choć sam bohater – polski szlachcic Jarosław Burzyński – to postać fikcyjna, całe tło historyczne oraz szczegóły życia codziennego opierają się na wiarygodnych źródłach. Dzięki powieści możemy więc poznać Europę i świat, o jakich nie czytaliśmy w popularnych podręcznikach historii.

- Wiele miejsc, w których rozgrywa się akcja książki, odwiedziłem osobiście a później szukałem informacji historycznych na ich temat. Dopiero połączenie moich doświadczeń, teorii

historyków oraz dawnych przekazów złożyło się na kompletną wizję opisywanych wydarzeń, atmosferę krain i miast – mówi autor. - Przy pisaniu książki sporą pomocą były też dla mnie obrazy XVI-wiecznych malarzy. To świetny sposób, aby poznać ówczesne stroje, architekturę miast, a także odzwierciedlenie codziennych tęsknot, strachów i nastrojów, jakimi żyli ludzie epoki – przekonuje Łukasz Czeszumski.

Jarosław przeżywa wszystko to, co było doświadczeniem podróżnika w XVI wieku. Często włóczy się na oślep, bez wyraźnego celu – po prostu szukając przygód. Jadąc przez dzikie Karpaty śpi w lesie, poluje aby zdobyć pożywienie. W Siedmiogrodzie trafia do zbójckiej bandy, omotany słowami jej herszta o tworzeniu nowego ładu. We Włoszech stanie się prawą ręką zdeprawowanego księcia, dzięki czemu pozna świat władzy i zakulisowych rozgrywek. Po przygodach w Hiszpanii i krótkim epizodzie w Afryce wsiądzie na pokład okrętu zmierzającego do Nowego Świata. To punkt przełomowy – konfrontacja dwóch światów, dwóch kultur i dwóch sposobów postrzegania rzeczywistości. Dalej następuje eksploracja Ameryki Południowej, niezmiernych dżungli i tajemniczych indiańskich imperiów...

- W tamtych czasach nikt nie znał dnia ani godziny, żyło się w ciągłym zagrożeniu. Paradoksalnie, dzięki temu bardziej ceniło się życie. Świat był żywiołowy i pełen skrajności. Z jednej strony religijność, którą dziś określilibyśmy jako fanatyczną, z drugiej powszechne okrucieństwo i niesprawiedliwość. Szubienice przed bramami miast, które symbolizowały „prawo”, porządek wymuszany przez władców krwawymi metodami, a obok zbrodnia i rozbastwienie – wymienia autor „Krwi wojowników”.

Dziś kupujemy przez Internet bilet taniej linii lotniczej albo wsiadamy w autokar. Interesuje nas tylko dotarcie do punktu docelowego. Świat jest w zasięgu kilku czy kilkunastu godzin lotu. Ale czy nic nie tracimy? Krajobrazy oglądamy z okien samolotu. Nawet jadąc samochodem widzimy tylko okolice autostrady, krajobrazy nudne i monotonne. Świat globalizuje się, różnice między krajami zanikają.

Dawne podróże były nieporównywalnie dłuższe, trudniejsze i bardziej niebezpieczne, lecz dawały zupełnie inną możliwość percepcji. Jeśli dziś nadal twierdzimy, że podróże zmieniają ludzi, to w odniesieniu do podróżników sprzed kilku wieków nie byłoby przesadą stwierdzić, że ich zmieniały po wielokroć. „Krew wojowników” to

cykl powieściowy, którego osiłą jest właśnie jeden z takich awanturnych losów – pełen przemian dokonujących się za sprawą kolejnych podróży.



Ordery, odznaki i odznaczenia – Rosja i ZSRR



Krzyż Św. Jerzego, 4 stopnia, bez numeru, wymiary 35 x 35 mm, srebro sygnowane na uszku próbą 84 i inicjałami wykonawcy waga 10,39 g.,



Medalik autorstwa Zakar z 1914 roku, oddający cześć i uznanie bohaterskiemu narodowi Belgów od narodów Rosji. Diakov 1581.2, srebro, śr 28 mm, waga 8,08 g.



Rosja. Medalik 1899, wybity z okazji 100-lecia urodzin Puszkina, Diakov 1289.4, srebro, waga 9,88 g.



Rosja. Medalik 1893, poświęcony Piotrowi Czajkowskiemu 1840-1893, Diakov 1074.1, srebro, waga 10,55 g.,



Żeton pamiątkowy ukończenia kursu rachunkowości, srebro oksydowane i emaliowane, waga 11,51 g., wymiary 26 x 36 mm,



Oznaka z 1923 roku dla uczestnika Wszechrosyjskiego Rajdu Zaufania, emaliowana, wytłoczona w blasze,



Oznaka, Deputatu Uzbeckiej SRR, emaliowana, srebro sygnowane 88!, nakrętka, srebro sygnowane 84,



Oznaka, Zasłużonego Nawigatora ZSRR

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

Nekropolia sudańskich mnichów



Ponad 80 grobów przebadali polscy archeolodzy na średniowiecznym cmentarzysku monastycznym w Ghazali w północnym Sudanie. To pierwsze w historii wykopaliska prowadzone na nekropoli chrześcijańskich mnichów w tym regionie.

"Cmentarz w Ghazali jest unikatowy. To jeden z nielicznych na całym świecie średniowiecznych cmentarzy, gdzie można odnaleźć wciąż nietknięte stele nagrobne zawierające nie tylko modlitwę w intencji zmarłego, ale również informacje dotyczące jego życia" – podkreślił w rozmowie z PAP kierujący wykopaliskami dr Artur Obłuski, dyrektor kairskiej Stacji Badawczej Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego (CAŚ UW).

Dotychczas archeolodzy koncentrowali się głównie na ruinach średniowiecznego klasztoru funkcjonującego pomiędzy końcem VII a końcem XIII wieku. Dzięki uzyskaniu finansowania z Qatar-Sudan Archaeological Project rozpoczęto również badania cmentarza monastycznego.

Ghazali to jeden z dwóch znanych kompleksów sakralnych w średniowiecznej Nubii położonych poza doliną Nilu. Klasztor jest usytuowany w Wadi Abu Dom - czasowo wypełnianej wodą dolinie przecinającej pustynię Bajuda, która niegdyś stanowiła najbardziej ruchliwy szlak handlowy w północno-wschodniej Afryce.

W ciągu kilku miesięcy badań (na przełomie 2015 i 2016 roku) naukowcy przebadali ponad 80 grobów. Architektura grobów mnichów pochowanych na cmentarzysku w ciągu kilkuset lat funkcjonowania klasztoru była bardzo zróżnicowana. Większość z nich wyposażono w prostopadłościenną nadbudowę z różnych rozmiarów kamieni uzupełnionych ziemią i żwirem, chociaż spotykane są również nagrobki z wypalonych lub suszonych na słońcu cegieł - wynika z informacji przekazanych przez archeologów pracujących na nekropoli.

"Nie mamy na razie pewności czy zróżnicowanie to wynika z różnic chronologicznych pomiędzy poszczególnymi pochówkami, czy raczej odzwierciedla pozycję w hierarchii lub status majątkowy osób pochowanych na cmentarzu" - powiedział dr Obłuski.

Najważniejszym elementem nadbudowy były jednak pokryte inskrypcjami nagrobki.

"Właśnie z Ghazali pochodzi drugi co do wielkości znany do tej pory zespół takich zabytków w całej średniowiecznej Nubii, choć przebadaliśmy dopiero część cmentarza. Odkrycie to ma szczególnie duże znaczenie ze względu na niewielką ilość źródeł pisanych z terenu średniowiecznych królestw chrześcijańskich w Sudanie" - dodał kierownik wykopalisk.

Chociaż w grobach nie znaleziono żadnego wyposażenia, pochówki zdradzają - według naukowców - cechy typowo chrześcijańskich zwyczajów pogrzebowych. Ciało zmarłego zawijano w całun i kładziono bezpośrednio na ziemi z głową w kierunku zachodnim. Głowę zabezpieczano za pomocą dwóch cegieł ustawionych po bokach, na których układano dodatkowo jedną lub dwie ułożone poziomo cegły. Czasem zamiast cegieł wykorzystywano fragmenty kamienia lub potłuczonych naczyń.

"Tradycja szczególnej dbałości o głowę zmarłego pochodzi jeszcze z czasów, gdy faraonowie rządili doliną Nilu" - uważa dr Obłuski.

Z badań antropologicznych wynika, że ponad 95 proc. z odkrytych szkieletów należało do mężczyzn w wieku od 20 do ponad 50 lat. W opinii naukowców stan zdrowia mnichów był stosunkowo dobry. To zaś oznacza, że ich wspólnota dobrze prosperowała pod względem gospodarczym, np. że zdrowo się odżywiali. Pośród zaobserwowanych zmian patologicznych dominują te związane z wiekiem, np. w postaci degeneracji kręgosłupa - takich ustaleń dokonał zespół antropologów w składzie: Joanna Ciesielska z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Robert Stark z McMaster University w Kanadzie

Mnisi rzadko osiągalni sędziwy wiek. Ale na jednej z odkrytych stel nagrobnych zapisanych w języku greckim upamiętniono mnicha, który zmarł w wieku 90 lat, po ponad 60 latach w służbie Kościoła.

Teraz archeolodzy będą próbowali rozwiązać zagadkę pochodzenia mnichów. Naukowcy spierają się, czy ci zamieszkujący klasztory na terenie średniowiecznych królestw chrześcijańskich byli rdzennymi Nubijczykami, czy też pochodzili z Egiptu, o czym może świadczyć duża popularność języka koptyjskiego w ówczesnym Sudanie. Język koptyjski powstał w Egipcie w III w. i zastąpił dawne pismo hieroglificzne. Na jego alfabet składały się litery greckie i sześć znaków pisma demotycznego (jedna z odmian pisma wprowadzona w Egipcie ok. poł. I tysiąclecia p.n.e.). W rozwiązaniu tego problemu mają pomóc badania izotopowe kości. Pozwolą też sprawdzić, z czego składała się dieta mnichów.

"Misja CAŚ UW jako pierwsza polska ekspedycja w dolinie Nilu zastosuje tak nowoczesne badania laboratoryjne szczątków ludzkich pochodzących z badań archeologicznych" – podkreśla dr Artur Obłuski.

Zdaniem kierownika badań ziemia z całą pewnością kryje kolejne stele nagrobne zmarłych mnichów. Jednak badaczom brakuje środków na dokończenie wykopalisk. Dlatego rozpoczęli poszukiwania sponsorów.

"Wykopaliska w Ghazali to ogromna szansa dla polskiej nauki do zapisania się złotymi zgłoskami w badaniach nad monastycyzmem chrześcijańskim" - zachęca dr Obłuski.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Tomasz Bonek
Marta Ringart-Orłowska

LUBIAŹ

Klasztor mrocznych tajemnic

**Zagadki i sekrety z burzliwych
dziejów największego opactwa w Polsce**

Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Replika
www.replika.eu

Zabytki z Reduty Orдона

Ok. 2,6 tys. zabytków, m.in. wyposażenie wojskowe i monety; fosę i "wilcze doły" ze szczątkami stu kilkudziesięciu żołnierzy polskich i rosyjskich odkryto podczas kilkuletnich badań na Reducie Orдона, miejscu walk powstania listopadowego, obecnie na stołecznej Ochocie.

Lokalizacja Reduty Orдона, miejsca walk powstania listopadowego przy obecnej ul. Na Bateriajce na warszawskiej Ochocie, a nie - jak wcześniej sądzono - na terenie Woli, została potwierdzona w 2010 r.

"Badania na Reducie Orдона prowadzimy od 2010 r. i zakończyliśmy je w tej części wstępnej w 2013 r. Rozpoznaliśmy mniej więcej jedną trzecią z tego, co pozostało z Reduty po różnych pracach związanych z przebudowami na tym terenie. W kolejnych latach również były prowadzone badania, jednak na dużo mniejszą skalę" - opowiadał Wojciech Borkowski z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, podczas piątkowego zebrania naukowe poświęconego omówieniu wyników badań archeologicznych prowadzonych na Reducie.

W sumie przebadano trzydzieści kilka arów terenu i odkryto - jak podkreślił - wszystkie najistotniejsze relikty związane z Redutą - fosę, podstawę wału i tzw. wilcze doły.

"Okazały się one jednym wielkim cmentarzem, na którym pochowano ok. stu kilkudziesięciu żołnierzy zarówno polskich, jak i rosyjskich. Znaleźliśmy wyposażenie, którym dysponowali, w tym również osobiste rzeczy, takie jak dewocjonalia, ale również monety, wyposażenie wojskowe. I oczywiście to wszystko, co było związane ze szturmem. Tak więc jak na wydarzenia, które działy się w sumie ok. 2,5 godz., mamy 2,6 tys. zabytków. Reszta jeszcze czeka i mamy nadzieję na kontynuację tych badań" - powiedział.

Zaznaczył, że dzięki wynikom badań poczyniono nowe ustalenia historyczne. "W dwóch tomach opublikowaliśmy łącznie 42 artykuły, z czego część jest archeologicznych, reszta to artykuły historyków, którzy skonsumowali wyniki badań. Urealniono wiele danych dotyczących samej obrony. Historycy opierali się o dokumenty, raporty, które pisze się z pola walki takie, jakie ma dostać dowódca, który je czyta. Okazało się np. że wbrew podkreśleniom znakomitego ufortyfikowania, faktycznie Reduta nie została dokończona. Przebudowywano ją, ale np. nie było w ogóle zwieńczenia, pali wbitych w wilcze doły, ponieważ w zamieszaniu wojennym dostarczono je na inną redutę. W związku z tym Reduta nie była taka, jak powinna wg. planów i to pierwszy element, który wykazaliśmy" - relacjonował.

Wykazano również inne uzbrojenie. "Polacy górowali nad Rosjanami chociażby karabinami, których posiadali najnowszy wówczas wzór, o czym nie ma słowa w źródłach historycznych. Pociski artyleryjskie, które wystrzelili Rosjanie były nieskuteczne. Później się okazało, że to gdzieś w źródłach było napisane, ale historycy nie zwracali na to uwagi. Znaleźliśmy też pełne wyposażenie, więc wiemy jak żołnierze byli umundurowani. Że było już bardzo kiepsko, koniec wojny, mieli nieregulaminowe uzbrojenie, np. znaleźliśmy szablę powstałą kilkadziesiąt lat wcześniej. Widzieliśmy buty żołnierzy

kilkadziesiąt razy naprawiane, także kosztem skórzanych czapek. Więc wyniki badań skonsumowano pod kątem historycznym" - powiedział Borkowski.

Obecna na spotkaniu mazowiecka wojewódzka konserwator zabytków Barbara Jezierska dodała, że "decyzja z 12 września 2016 r. o wpisie do rejestru zabytków miejsca walki stoczonej 6 września 1831 r. w czasie powstania listopadowego wraz z relikami umocnienia obronnego działu fortyfikacyjnego nr 54, została utrzymana przez ministerstwo kultury decyzją z 1 grudnia 2016 r."

"Reduta została wpisana w ograniczonym zakresie jako pole bitwy, ponieważ trzy kolejne ekspertyzy zlecone głównie przez ministerstwo kultury nie wskazały precyzyjnie lokalizacji samej Reduty, samego szańca. Zamierzamy to zrobić w tym roku, jeżeli pozyskamy środki na nieinwazyjne badania georadarowe" - mówiła Jezierska.

Jak zaznaczyła, ich koszt jest znaczny, bo ok. 60 tys. brutto, dlatego potrzebna jest pomoc ministerstwa i "jest duża szansa, że położenie szanca zostanie precyzyjnie określone". "Wtedy wpisujemy kolejny raz w nowej decyzji to, co zostanie odkryte. Na razie jest wpisane samo pole bitwy z rygiem natychmiastowej wykonalności, ale oczywiście od tego są odwołania. Jeden z deweloperów hiszpańskich chce się spotkać i rozmawiać, więc zobaczymy, co przyniesie czas i czy uda się to miejsce uchronić przed zabudową. Może nie uchronić całkowicie, ale może nie tak inwazyjną, jak to planują właściciele, czyli gęstą zabudową mieszkaniową" - podkreśliła.

Archeolodzy i stowarzyszenia społeczne od dłuższego czasu zabiegali o wpisanie tego terenu do rejestru zabytków celem ochrony przed zabudową deweloperską. Zwracali również uwagę na dewastacje mające wcześniej miejsce na terenie Reduty, powstające w wyniku rabunkowych poszukiwań i nielegalnych wykopów ziemnych.

Obecnie, jak mówił Borkowski, chcieliby dokończyć badania i zrobić wystawę. "Dlatego po zakończeniu procesu konserwacji tych 2,6 tys. przedmiotów, część wybierzemy i wspólnie z Muzeum Wojska Polskiego, które też posiada zbiory z tego czasu, chcemy pokazać w ogóle obronę Warszawy, w dwóch epizodach - Olszynka Grochowska oraz szturm i ostateczny upadek powstania, dwie bitwy o Warszawę. Więc przed nami kolejny projekt i za dwa lata chcielibyśmy zaprosić miłośników historii do Państwowego Muzeum Archeologicznego, by mogli te przedmioty obejrzeć. Muzeum posiada kolekcję również związaną z powstaniem listopadowym, a nasza siedziba, czyli Arsenał także jest kojarzona z jego wybuchem, więc zostanie odtworzony fragment sali z czasów Królestwa Polskiego. I tam będą prezentowane te zabytki, które staną się fragmentem wystawy stałej, którą przygotowujemy w muzeum" - podsumował.

Obrona Reduty Ordona miała miejsce podczas powstania listopadowego 3 lub 4 września 1831 r. rano ok. godz. 6 i trwała prawdopodobnie ok. 1,5 godz. Fortyfikacji broniło 6 dział, a załoga mogła liczyć maksymalnie ok. 200 żołnierzy. Nie dowodził nimi - jak to opisał Mickiewicz - Julian Konstanty Ordon, lecz mjr Ignacy Dobrzelewski. W wyniku walk poległo wówczas kilkuset polskich i rosyjskich żołnierzy.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Pochówki elity z VI – VIII w.

Norre Sandegård Vest - jedno z najbogatszych cmentarzysk w Danii, na którym spoczęli przedstawiciele lokalnej elity, prawdopodobnie część królewskiej świty, było większe niż dotychczas sądzono. Od 2014 r. odkryto tam już blisko 40 pochówków z VI-VIII wieku.



Cmentarzysko Nørre Sandegård Vest położone jest w północno-wschodniej części wyspy Bornholm. Należy do najbardziej znanych i bogatych nekropolii z okresu od VI do VIII wieku w Danii. Archeolodzy byli przekonani, że cmentarzysko jest zdecydowanie mniejsze - w czasie wykopalisk w latach 80. XX w. sądzono nawet, iż już zostało w pełni przebadane. Przypadkowe odkrycie pochówku kobiecego w 2013 r. stało się impulsem do podjęcia nowych wykopalisk.

Jak poinformowała rzeczniczka prasowa Uniwersytetu Gdańskiego, dr Beata Czechowska-Derkacz, wykopaliskami w tym miejscu kierują archeolodzy z tej uczelni - doktoranci Instytutu Archeologii Uniwersytetu Gdańskiego - Karolina Czonstke i Bartosz Świątkowski wraz ze współpracownikami z Bornholms Museum.

W trakcie prac prowadzonych w 2016 roku udało się ustalić, że cmentarzysko było większe niż do tej pory uważano. Od 2014 r. naukowcy odkryli i przebadali blisko 40

pochówków szkieletowych, w których spoczęli mężczyźni, kobiety i dzieci. Zmarłym towarzyszyły liczne dary grobowe. W przypadku kobiet były to głównie ozdoby: naszyjniki ze szklanych paciorków, zapinki, zawieszki, ale również przybory toaletowe.

W grobach mężczyzn znajdowała się broń: miecze, noże bojowe, włócznie, tarcze, jak również ozdobne elementy pasa. W części z nich pojawiały się też szczątki koni - całego zwierzęcia lub jedynie głowy. Zmarłych

pochowano z końmi, gdyż zwierzęta te były symbolem wysokiego statusu społecznego.

"Lokalna elita wybrała ten rejon na miejsce swojego spoczynku zapewne nie tylko ze względu na jego położenie (w pobliżu morza), ale także na istnienie w niedalekiej okolicy ośrodka władzy centralnej. Jest to o tyle ciekawe, że z przekazu podróżnika Wulfstana, który odbył podróż z Hedeby do Truso pod koniec IX wieku wiemy, że wyspą władał samodzielny król. Badane przez nas cmentarzysko może być jednym z dowodów na potwierdzenie istnienia lokalnego rodu władców, a na wspomnianym cmentarzysku spoczywają członkowie ich świty" – tłumaczy Karolina Czonstke.

Badacze z Instytutu Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Gdańskiego eksplorują tereny duńskiej wyspy Bornholm już od 2012 roku. W poprzednich sezonach badawczych udało się odnaleźć m.in. jeden z najlepiej zachowanych domów wikingów, datowany na okres XI-XII w., ceramikę wikińską i słowiańską czy srebrne monety (głównie arabskie dirhemy w tym 2 perskie monety datowane na rok 612). Wszystkie zeszłoroczne znaleziska przekazano do Muzeum Narodowego w Kopenhadze, gdzie zostaną poddane kompleksowej konserwacji, a później - zapewne - będą wyeksponowane. Część z nich ze względu na swoje doniosłe znaczenie już na stałe pozostanie w Muzeum Narodowym, a pozostałe powrócą do Muzeum Bornholmu - poinformowali archeolodzy.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Doktoranci UG planują w najbliższym czasie podjęcie kolejnych działań na Bornholmie. Ich głównym celem jest poszukiwanie materialnych pozostałości świadczących o obecności Słowian, którzy prawdopodobnie przed wiekami zamieszkiwali tę wyspę razem ze Skandynawami.

"Tegoroczne badania prowadzone na cmentarzysku Nørre Sandegård Vest, mogą przyczynić się do poznania sytuacji społeczno-kulturowej, jaka miała miejsce na wyspie u progu okresu wikińskiego i stała się jednym z punktów wyjściowych dla przemian, jakie miały miejsce w regionie Morza Bałtyckiego w okresie wczesnego średniowiecza" – kończy Bartosz Świątkowski.

Najstarszy zakład szklarski na terenie Polski

Popękane szklane paciorki, przetopione fragmenty szkła i szklane "łezki" - to m.in. świadectwa po warsztacie szklarskim, który działał ok. 2 tys. lat temu na górze Grojec w Żywcu. Być może jest to najstarsze tego typu miejsce na terenie Polski.



foto: Matthew Strickland; Freeimages.com

Dowody na to, że na terenie Polski w pradziejach wytwarzano i obrabiano szkło, są bardzo słabe. Tego typu działalność rozkwitła dopiero w okresie średniowiecza. "Dlatego nasze odkrycia są bardzo ważne" - podkreśla kierownik wykopalisk na górze Grojec, dr Tomasz Gralak z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Góra Grojec, obecnie porośnięta lasem, jest częstym celem wycieczek mieszkańców Żywca i wielu turystów. "Góra jest centralnie położona w Kotlinie Żywieckiej i doskonale nadaje się do obserwacji okolicy. Zapewne z tego względu założono tutaj ponad 2,5 tys. lat temu osadę" - opowiada dr Gralak.

Z badań wynika, że ludzie zamieszkiwali stoki góry już od ok. VI/V w. p.n.e. - aż do przełomu er. Świadczą o tym charakterystyczne formy znalezionych zabytków. Na koniec tego długiego okresu datowane są natomiast pozostałości po intensywnej działalności gospodarczej - archeolodzy odkryli liczne piece, być może niektóre z nich służyły do obróbki metali i szkła.

"To tutaj dostarczano półsurowiec w postaci brył surowego szkła lub sztab metalu, z których wyrabiano konkretne przedmioty" - mówi dr Gralak.

Szczególną uwagę badaczy zwróciły przedmioty szklane odkrywane w sąsiedztwie pieców. Z tak wczesnych okresów na naszych ziemiach znane są dotychczas tylko nieliczne i niepewne ślady obróbki szkła - podkreśla archeolog.

Obok pieców naukowcy odkryli m.in. szlakę szklaną, czyli bardzo silnie przetopione grudki szkła, będące odpadami po działalności warsztatu. Były też pokruszone fragmenty brył surowego szkła - półsurowca dostarczonego z huty. Archeolodzy znaleźli również szklane "łezki", będące kolejnym rodzajem odpadów produkcyjnych.

Fragmentów przedmiotów i odpadów szklanych nie odkryto wiele - podkreśla archeolog. Ale obrazują one pełen przebieg procesu technologicznego. Zamykają go odkrycia gotowych wyrobów, tj. niebiesko-fioletowych paciorków, oraz egzemplarzy popękanych - czyli tych, które dawnym szklarzom się nie udały.

O tym, że badane miejsce miało warsztatowy charakter świadczy też znalezisko w postaci

wykopanej nieopodal, obszernej studni-cysterny. Woda była bowiem niezbędna w trakcie obróbki metali. Są też tygielki, które służyły do przetapiania brązu, jak również kamienne rozcieracze potrzebne do formowania przedmiotów w końcowej fazie. Nie można wykluczyć, że część z tych przedmiotów używano także w procesie produkcji paciorków szklanych. Wykażą to jednak dopiero dalsze ekspertyzy specjalistyczne - zastrzega archeolog.

W badanej okolicy archeolodzy odkryli też kilka domostw. Nie ma jednak prostej odpowiedzi na to, kim byli ludzie, którzy ponad 2 tys. lat temu zamieszkiwali górę Grojec, pracowali tam i być może opanowali też sztukę obróbki szkła.

"Zapewne znajdowali się pod wpływem plemion celtyckich, którym nieobca była znajomość obróbki szkła. Ale była to lokalna, ludność zamieszkująca tylko obszary górskie" - uważa kierownik wykopalisk.

Naukowcy planują wykonanie specjalistycznych analiz, żeby ustalić, skąd pochodził szklany półsurowiec. Mógł być importowany z południa Europy, być może z obszarów śródziemnomorskich.

Najnowsze wykopaliska na górze Grojec odbyły się w latach 2012-2014 pod auspicjami Uniwersytetu Wrocławskiego i Muzeum Miejskiego w Żywcu. Ich wyniki zostaną opublikowane wiosną br. w ramach serii wydawniczej "Archäologische Forschungen in Niederösterreich" w tomie towarzyszącym sympozjum XI Frühgeschichtlichen Konferenz "Archäologie der Barbaren 2015".

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Muzeum w Pieszce pozyskało cenne zabytki



Muzeum Ziemi Piskiej pozyskało cztery średniowieczne topory i naszyjnik z brązu sprzed ok. 2,5 tys. lat. Cenne artefakty odnaleziono podczas oczyszczania przez saperów terenów powojkowych, którymi zarządzają obecnie Lasy Państwowe.

Tegoroczne nabytki będzie można oglądać na wystawie od 16 stycznia. "To dla nas prawdziwe rarytasy, bo nasza placówka jest bardzo uboga w eksponaty archeologiczne i większość wypożyczymy z muzeum w Olsztynie" - powiedziała PAP dyrektor Muzeum Ziemi Piskiej dr Aneta Karwowska.

Artefakty zostały wydobyte z ziemi na terenie nadleśnictwa Wipsowo podczas oczyszczania lasów z pocisków artyleryjskich pozostałych po II wojnie światowej. Według Agaty Trzop-Szczypiorskiej, która prowadziła nadzór archeologiczny nad tymi pracami, topory pochodzą z XIV-XV w., czyli późnego średniowiecza.

Jak mówiła, znaleziono je w niewielkiej odległości od siebie; trzy w jednym miejscu, czwarty ok. 20 m dalej. Każdy z nich ma inny kształt, wagę i rozmiar. "Trudno jednoznacznie określić czy były to topory bojowe, czy używano ich także jako narzędzi ciesielskich, szczególnie, że jeden z nich ma kształt dotychczas nieznanymi z opracowań naukowych poświęconych tego typu narzędziom" - wyjaśniła.

Archeolog przekazała również do muzeum świetnie zachowany naszyjnik, datowany na późną epokę brązu lub wczesną epokę żelaza, czyli VI-V w. p.n.e. "To obręcz wykonana z brązowej taśmy, zdobiona ornamentem i wyposażona w zapięcie w formie haczyków" - powiedziała PAP.

Podobne prace saperskie prowadzono w latach 2014-15 na terenie 58 z 430 nadleśnictw w całej Polsce. Oczyszczono wówczas z 1,5 mln sztuk niewybuchów i niewypałów blisko 30 tys. ha lasów na terenach, które w przeszłości wykorzystywane były przez wojsko. Projekt "Rekultywacja na cele przyrodnicze terenów zdegradowanych, popoligonowych i powojennych zarządzanych przez Państwowe Gospodarstwa Leśne Lasy Państwowe" kosztował 130 mln zł i został sfinansowany ze środków UE.

W trakcie poszukiwań - prowadzonych przez saperów pod nadzorem archeologów - odnajdywano też cenne zabytkowe przedmioty. Np. w nadleśnictwie Okonek natrafiono na skarb złożony z 12 ozdób datowanych na IX-VIII w. p.n.e. Znajdowano również ciekawe militaria - w nadleśnictwie Koszęcin odkryto niemiecki czołg z II wojny św. i bombę lotniczą wypełnioną ulotkami namawiającymi Niemców do poddania, a w nadleśnictwie Żołędowo - działko MG 151/20 z samolotu Luftwaffe.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Wirtualna mapa odkryć archeologicznych



foto: Micah Burke, Freeimages.com

Muzeum Warmii i Mazur udostępniło w sieci archeologiczną mapę Olsztyna i okolic. Jest na niej zaznaczonych kilkaset stanowisk archeologicznych odkrytych w ciągu ostatnich stu lat. Wirtualna mapa umożliwi poznanie tych miejsc i odnalezionych tam zabytków.

Na mapie, dostępnej na internetowej stronie muzeum, zaznaczono ok. 400 stanowisk archeologicznych odkrytych w Olsztynie i okolicach, czyli na obszarze o łącznej pow. 200 km kw. Prezentuje ona miejsca badań archeologicznych z ostatnich stu lat, dokumentujące ślady pozostałe po ludności zamieszkującej te tereny od epoki kamienia.

Mapa podzielona jest na epoki. Przypomina, że pierwsi ludzie przybyli w okolice dzisiejszego Olsztyna w mezolicie; były to nieliczne grupy zbieraczy i

myśliwych, po których pozostały do dzisiaj pojedyncze zabytki - np. berło z poroża łościa odkryte na obecnym osiedlu Podgródzie. Mapa prezentuje też odkrycia archeologiczne z neolitu, epoki brązu, wczesnej epoki żelaza, okresu przedrzymskiego, rzymskiego i wędrówek ludów przez wczesne i późne średniowiecze aż po czasy nowożytne.

Według Kacpra Martyki z działu archeologii olsztyńskiego muzeum, mapa będzie systematycznie uzupełniana i rozbudowywana. Na razie umieszczono na niej jedynie ikonki oznaczające poszczególne stanowisko archeologiczne. Za ok. dwa tygodnie, po kliknięciu na każdą z ikon, będą wyświetlać się informacje o historii tego miejsca oraz linki do wirtualnego muzeum, w którym zamieszczono zdjęcia i opisy odkrytych tam zabytków.

Stanowiska archeologiczne zaznaczone są na mapce obrazującej stan wód sprzed tzw. wielkiej melioracji, która w ciągu ostatnich 200 lat znacząco zmieniła krajobraz regionu - np. Jezioro Kortowskie mogło być nawet dwukrotnie większe niż obecnie, a spora część miasta znajdowała się pod wodą. Dlatego prezentacja zostanie wkrótce wzbogacona o konturową mapę dzisiejszego Olsztyna i sąsiednich miejscowości, żeby ułatwić internautom orientację w terenie.

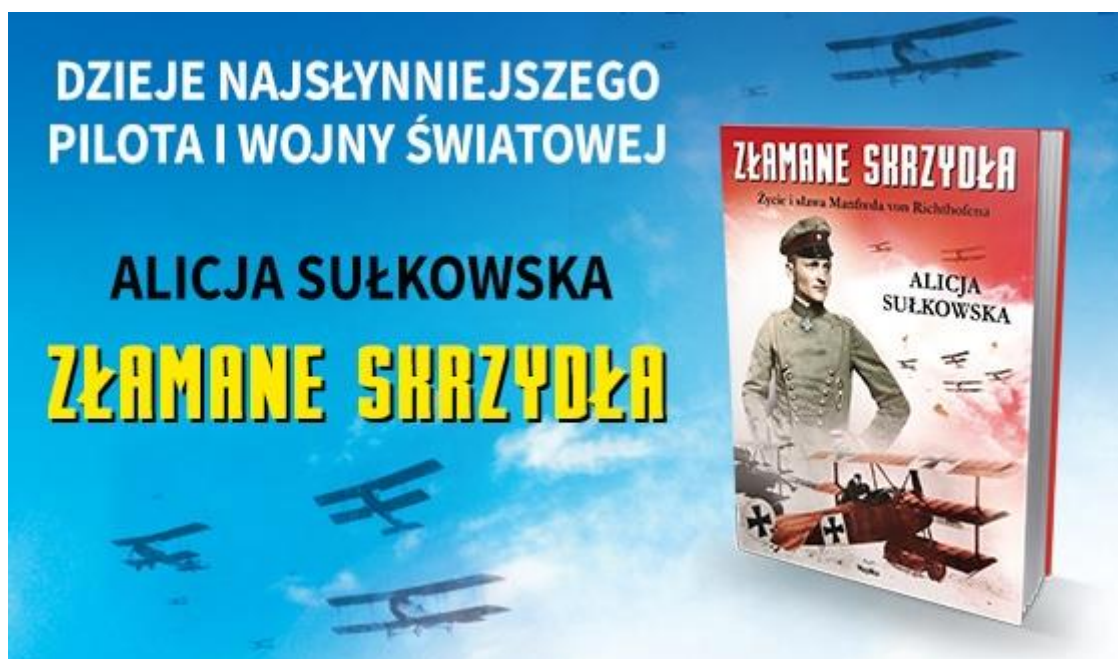


Zdaniem Martyki, wirtualna mapa będzie służyć nie tylko upowszechnianiu wiedzy o odkryciach archeologicznych wśród miłośników historii, ale również może stanowić bazę aktualnych danych dla naukowców. Docelowo ma zawierać informacje o kilkunastu tysiącach zabytków. Muzeum pokaże też oryginalne przedwojenne metryczki z Heimatmuseum Allenstein, które często są jedyną zachowaną pozostałością po wykopaliskach prowadzonych przed 1945 r.

Stworzenie wirtualnej mapy było możliwe dzięki kwerendzie przeprowadzonej w Polsce i za granicą; m.in. w dokumentach wojewódzkiego konserwatora zabytków, archiwum państwowym i wśród badaczy, a także w przedwojennych archiwaliach znajdujących się głównie na terenie Niemiec. Projekt zrealizowano w ciągu trzech miesięcy, został dofinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl



Historia pleśnią pisana

Pergaminy, jedwabne tkaniny, a nawet teczkę TW "Bolka" przebadali naukowcy, sprawdzając, czy zagraża im pleśń niszcząca stare dokumenty i dzieła sztuki. Analizie poddali zapach, wskazujący na aktywność pleśni atakującej dany obiekt historyczny.

Naukowcy w ostatnich dwóch latach wzięli na warsztat różne obiekty z wielu miejsc w Polsce, m.in. z 23 krakowskich kościołów i klasztorów. "Badaliśmy różne obiekty - od pergaminów, jedwabnych i wełnianych tkanin, starych ksiąg, na których występowały zmiany wskazujące na obecność pleśni. Sprawdzaliśmy, czy pleśń na każdym z tych obiektów jest aktywna, czy nieaktywna" - mówi PAP dr Tomasz Sawoszczuk z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Naukowcy swoje analizy przeprowadzili jednak zupełnie nową, opracowaną przez nich metodą: "wąchania" historycznych obiektów. Dzięki niej przeanalizowali zapach uwalniany przez - znajdującą się na nich - pleśń.

Najpierw - w ramach projektu realizowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki - przeanalizowali „zapachy”, czyli mieszaniny związków organicznych emitowanych przez obiekty historyczne zaatakowane przez pleśń. Spośród około 150 lotnych związków organicznych, emitowanych przez różne gatunki grzybów pleśniowych rosnących na próbkach materiałów historycznych, wyselekcjonowali trzy grupy związków. Wskazywały one na aktywność biologiczną mikroorganizmów, tzw. bioindykatory aktywności metabolicznej pleśni. W sumie wyróżnili około 12 związków, zwiastujących obecność aktywnej pleśni.



foto: Tibor Fazakas; Freeimages.com

To one pozwalają na ocenę ryzyka zniszczenia badanego obiektu przez rozrastającą się pleśń. Wystarczy pobrać próbkę mieszaniny związków uwalniających się ze zmienionej powierzchni obiektu muzealnego i poddać ją analizie. Obecność bioindykatorów świadczy o tym, czy pleśń obecna w obiekcie jest w formie aktywnej, czyli zdolnej do wzrostu, czy też nie.

W jaki sposób takie badanie wygląda? "Mamy włókienko, na końcu którego są trzy różne sorbenty i przykładamy je do zmienionego miejsca" - tłumaczy rozmówca PAP. Do włókna przyłączają się znajdujące się tam związki chemiczne. Wzbogacone o cenną informację chemiczną włókno w warunkach laboratoryjnych jest wygrzewane do temp 250 st. C, a zapach jest uwalniany wprost do analizatora gazów - chromatografu gazowego.

"Na podstawie tego pomiaru możemy dać odpowiedź konserwatorowi: czy zmiana, którą widzi na powierzchni np. kartki starej książki, to aktywny grzyb, który będzie niszczył obiekt; czy jest to grzyb nieaktywny i nie ma potrzeby interwencji i dezynfekcji. W niektórych przypadkach, np. jedwabnych tkanin, taka dezynfekcja jest bardzo niekorzystna i wręcz pogłębia degradację materiału" - opisuje dr Sawoszczuk.

Wyniki badania w 93 proc. przypadków potwierdziły lub wykluczyły obecność aktywnych grzybów pleśniowych. W pozostałych 7 proc. ilość związków była tak mała, że nie można było niczego wykryć. Rezultaty opracowanej metody potwierdzono jeszcze standardowymi badaniami mikrobiologicznymi.

"Obecnie konserwatorzy do badań historycznych obiektów wykorzystują metody mikrobiologiczne i genetyczne. Jednak w ich przypadku czas odpowiedzi jest znacznie dłuższy. Kiedy pobieramy próbkę z powierzchni obiektu, to musimy ją hodować około 5-7 dni. Dopiero po takim czasie dostajemy odpowiedź. W przypadku metod molekularnych pobrany materiał musi być namnożony i oznaczony. W przypadku naszej metody w ciągu kilku godzin możemy uzyskać odpowiedź, czy pleśń jest aktywna, a obiekt musimy poddać dezynfekcji i odizolować" - wyjaśnia badacz.

Podczas prac nad metodą naukowcy podjęli współpracę m.in. z Muzeum Narodowym w Krakowie; Muzeum Katedralnym na Wawelu; Akademią Sztuk Pięknych w Warszawie; Wydziałem Sztuk Pięknych w UMK; University Collage of London; Departamentem Badań Geologicznych Ministerstwa Infrastruktury Narodowej w Izraelu.

"Metoda, choć można ją traktować jako nową, cieszy się dużym zaufaniem archiwistów i konserwatorów sztuki. Została dopuszczona do wachlarza metod, jakimi badano teczki tzw. TW Bolka, po przeniesieniu ich do siedziby IPN w Warszawie" - zaznacza rozmówca PAP.

PAP - Nauka w Polsce, Ewelina Krajczyńska

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Warsztat odlewniczy

Unikalny w skali środkowoeuropejskiej warsztat odlewniczy, w którym wytwarzano przedmioty z brązu, zbadali w miejscowości Szczepidło, w woj. wielkopolskim archeolodzy z Poznania. Właśnie opublikowali wyniki dziesięcioletnich wykopalisk.

Odkryty i zbadany przez naukowców z Instytutu Archeologii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu warsztat odlewniczy był użytkowany przez społeczność tzw. kultury mogiłowej. Nazwa tej kultury archeologicznej pochodzi od mogił, czyli kurhanów – grobów z nasypem.

"Do tej pory ślady po działalności tych ludzi były znane głównie właśnie z ich bardzo charakterystycznych praktyk pogrzebowych" - wyjaśnia PAP kierownik wykopalisk w Szczepidłach, prof. Przemysław Makarowicz. W kurhanach archeolodzy co prawda odkrywali wyrobu z brązu, jednak do tej pory nie były znane miejsca, gdzie przedmioty te zostały wykonane.

Szczęście uśmiechnęło się do archeologów. Udało im się odkryć całą osadę enigmatycznej ludności sprzed ok. 3,5 tys. lat, która żyła nad środkową Wartą. Odslaniając kolejne metry kwadratowe ziemi natykali się na pozostałości zagród – domów z podwórzami, a w nich relikty – wielu urządzeń gospodarczych, piwniczek – jam, w których przechowywano żywność, palenisk.

W sumie udało się wydobyć spod ziemi ponad 20 tys. różnego rodzaju zabytków - głównie fragmentów naczyń ceramicznych, ale również wyrobów krzemienych, kamiennych i kościanych, które były niezbędne do prowadzenia codziennego życia na terenie osady.

"Najbardziej spektakularnym znaleziskiem była pracownia odlewnicza" - zaznacza prof.

Makarowicz. Z opisu archeologa wynika, że zachowała się w doskonałym stanie, bo na podstawie znalezisk naukowcy byli w stanie zrekonstruować cały łańcuch procesu produkcyjnego.

"W Europie Środkowej to pierwsze znalezisko tego typu, tak więc trudno przecenić jego znaczenie" - przekonuje kierownik wykopalisk.

Eksperci uważają, że znajomość rozwiniętej metalurgii pojawiła się nad środkową Wartą dzięki kontaktom z obecnym obszarem Śląska lub Czech. Świadczy o tym zarówno stylistyka odkrywanych wyrobów metalowych, jak i ich skład chemiczny.

Warsztat nie był budynkiem zamkniętym - raczej była to konstrukcja z niskimi ścianami, które umożliwiały samoczynne odprowadzanie szkodliwych par i gazów. Wewnątrz i w jego otoczeniu archeolodzy znaleźli 150 zabytków z brązu. Były to gotowe wyroby: groty, pręty, szpile i inne ozdoby stroju oraz półprodukty, bryłki brązu, również żużel, tygle i łyżki odlewnicze czy narzędzia cyzelerskie. Gotowe wyroby noszą ślady obróbki z zastosowaniem różnych technik - na odlewach widoczne są efekty klepania, szlifowania, polerowania, które miały na celu usunięcie wad wyrobów powstałych w czasie topienia. Miały też podnieść ich walory dekoracyjne.

Brąz topiono w otwartych paleniskach - uważa prof. Makarowicz. Te były obudowane ściankami z gliny i kamieni. Aby temperatura topnienia była wyższa, stosowano też miechy kowalskie do wtlaczania powietrza, po których pozostały gliniane dysze. Zdaniem naukowców wynosiła ona ok. 900-1000 st. C.

Archeolodzy zwracają uwagę, że znaczna część z odkrytych zabytków z brązu to wyroby nieudane, wadliwe z powodu nieudanej serii odlewów, bądź uszkodzone mechanicznie i porzucone w trakcie obróbki - odłożono je zapewne do ponownego przetopu. Dzięki analizom chemicznym wiadomo, że w warsztacie odlewano przedmioty z tzw. brązu wysokocynowego z dodatkiem ołowiu. Brąz jest stopem miedzi z cyną. Zawsze jednak znajdują się w nim jeszcze inne pierwiastki śladowe. To dzięki nim naukowcy mogą poznać pochodzenie rud miedzi.

Dzięki licznym analizom specjalistycznym badacze uzyskali wgląd w życie ówczesnych mieszkańców osady. Wiadomo, że zamieszkiwało ją przez kilkaset lat. W swoim apogeum zajmowała powierzchnię ok. 3 ha. Jej

układ był przemyślany, a rozstawienie budowli - zaplanowane - przekonują naukowcy. Archeolodzy uważają, że w jednym czasie na terenie osady funkcjonowało od kilku do kilkunastu zagród. W osadzie mieszkać mogło jednocześnie maksymalnie 50-70 osób.

Głównym zajęciem tej społeczności była produkcja wyrobów z brązu, którymi zapewne wymieniano się na inne dobra - uważa prof. Makarowicz. Jednak mieszkańcy osady uprawiali również rolę i hodowali zwierzęta - zauważa archeolog.

Publikacja „Szczepidło. Osada metalurgów kultury mogiłowej nad Wartą”, podsumowująca wieloletnie badania w miejscowości Szczepidło, ukazała się dzięki dofinansowaniu Narodowego Instytutu Dziedzictwa.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl



Monety Księstwo Poznańskie



Grosz 1816 A, Berlin, Kop. 9297, Plage 55, Gum. 2479



3 grosze 1816 A, Berlin, Kop. 9300 R8, Plage 59, wybita polerowanym stemplem, próbna emisja znana tylko ze zbiorów malborskiego, berlińskiego i E.H.Czapskiego

Monety w oblężeniu Zamościa



2 złote 1813, Zamość, Kop. 8450, Gum. 2478, Plage 123, odmiana z dużymi napisami, justowana



2 złote 1813, Zamość, drugi egzemplarz, odmiana z małymi literami



6 groszy 1813, Zamość, Kop. 8447 R5, Plage 120

Monety Księstwa Warszawskiego



1/3 talara 1814, Warszawa, Kop. 3699, Gum. 2471, Plage 113, justowana



Trojak 1811 IS, Warszawa, Kop. 3677, Gum. 2462, Plage 81



Talar 1811, Warszawa, Kop. 3700, Gum. 2472, Plage 114

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.
www.pgnum.pl

Denominacja złotego



Początek lat dziewięćdziesiątych charakteryzował się wysoką stopą inflacji. W niektórych latach złotówka traciła na wartości po kilkadziesiąt procent miesięcznie. W rezultacie w obiegu pojawiały się coraz wyższe nominały oraz rosły ceny, do których stopniowo dopisywano kolejne zera.

Skarb Państwa coraz dotkliwiej odczuwał koszt produkcji i przechowywania nowych banknotów. Narodowy Bank Polski zaczął więc przygotowania do denominacji złotówki. Ostateczną decyzję podjął Sejm 7 lipca 1994 roku, przyjmując ustawę o denominacji złotego.

Narodowy Bank Polski rozpoczął operację 1 stycznia 1995 roku. Tego dnia wprowadzono do obiegu nowego złotego, wartego 10 tys. starych. Funkcjonujące do tej pory nominały zostały zastąpione przez pięć nowych. W obiegu pojawiły się wydrukowane w Anglii i zabezpieczone przed fałszerstwem banknoty dziesięcio-, dwudziesto-, pięćdziesięcio-, stu- i dwustuzłotowe. Stare i nowe pieniądze funkcjonowały w obiegu równolegle przez dwa lata. Wycofane

banknoty można wymieniać w wyznaczonych placówkach bankowych do końca 2010 roku. Koszty całej operacji oszacowano na 3 biliony starych złotych.

AU

Z mgr. **Bartoszem Stefańczykiem** rozmawia Adam Tycner

Co to jest denominacja i po co się ją przeprowadza?

Denominacja jest to reforma pieniężna, która polega na anulowaniu dotychczasowej jednostki pieniężnej i ustaleniu nowej, która ma większą siłę nabywczą, co oznacza, że za jedną nową jednostkę można kupić więcej niż za starą. Stare jednostki są przeliczane na nowe według określonej proporcji, nazywanej stopą denominacji.

Denominacja może być ekwiwalentna lub nieekwiwalentna. Ekwiwalentna denominacja oznacza, że poziom zasobów i dochodów pozostaje w takiej samej proporcji do poziomu cen przed denominacją i po niej. W denominacji nieekwiwalentnej poziom dochodów zmienia się w sposób nieproporcjonalny do poziomu cen, co może spowodować ogromne straty oszczędności i dochodów ludności. Taka właśnie była denominacja przeprowadzona w Polsce w październiku 1950 roku. Denominację wprowadza się w gospodarkach, w których przez dłuższy czas utrzymuje się wysoka inflacja. Dzięki denominacji łatwiej jest obliczać ceny, pieniądź zwiększa swoją siłę nabywczą oraz staje się prawdziwym miernikiem wartości towarów. Denominacja może jednak być z powodzeniem przeprowadzona jedynie po uprzednim zreformowaniu gospodarki.

Dlaczego w Polsce przeprowadzono denominację?

O denominacji myślano już od dawna, chociaż było to oczywiście ściśle tajne, aby

nie niepokoić czy raczej nie denerwować społeczeństwa. Pierwsze projekty opracowano w Narodowym Banku Polskim już w roku 1969, przede wszystkim ze względu na złe funkcjonowanie obiegu gotówki. Potem zajmowano się tym problemem w latach osiemdziesiątych, ale tym razem już ze względu na stale rosnącą inflację. Ceny najbardziej wzrosły w latach osiemdziesiątych, na przykład w 1982 roku o 100,8% w stosunku do roku poprzedniego, w 1987 o 25,2%, rok później o 60,2%, zaś w 1989 roku aż o 250,1%. Najwyższą inflację zanotowano w roku 1990, kiedy to ceny wzrosły o ponad 585% w stosunku do roku poprzedniego. To właśnie ogromna inflacja przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stała się głównym powodem rozpoczęcia prac nad denominacją w NBP. Wymiana pieniędzy była niezbędna, gdyż złotówka wciąż traciła siłę nabywczą. Trudno było przeliczać pieniądze, gdy nominały sięgały milionów złotych. Ponadto tak wysokie ceny praktycznie wyeliminowały z obiegu monety.

Jak długo trwały przygotowania do denominacji?

Już w 1989 roku gotowa była ogólna koncepcja oraz ważniejsze ustalenia dotyczące denominacji. Jednak dopiero 17 lipca 1990, na konferencji prasowej, prezes NBP po raz pierwszy poinformował opinię publiczną o planowanej wymianie pieniędzy. Trzeba bowiem podkreślić, iż samo przeliczenie pieniędzy polegające na obcięciu kilku zer, chociaż znakomicie ułatwia płacenie, oczywiście wcale nie jest lekarstwem na inflację. Bez koniecznych reform gospodarczych obcięte zera bardzo szybko wracają do cen, a inflacja znowu

rośnie. Dlatego aby denominacja mogła się udać i na trwałe zwiększyć siłę nabywczą pieniądza, najpierw trzeba ustabilizować gospodarkę, opanować i zasadniczo zmniejszyć inflację. Dopiero na koniec, jako swoiste ukoronowanie tego procesu, można przeprowadzić denominację.

Problem, przed którym stał NBP, był naprawdę fascynujący. Otóż proszę sobie wyobrazić, iż musiano podjąć decyzję o tym, jaki pieniądz wyprodukować, jakie mają być nominały, jaki ma być nakład, gdzie to zrobić. A przecież wciąż nie było wiadomo, kiedy ma się odbyć denominacja ani jaka ma być jej stopa, czyli ile starych złotych ma przypadać na nową jednostkę. Skoro wciąż nie było ustawowych regulacji, NBP musiał sam ustalić sobie wewnętrzny termin, kiedy ma być gotowy do przeprowadzenia całej operacji. Ponieważ ze względu na ówczesną inflację monety praktycznie już nie były używane, Mennica Państwowa w Warszawie nie była zajęta ich bieżącą produkcją i od razu mogła zacząć pracę nad nowymi. Większy problem był z Państwową Wytwórnią Papierów Wartościowych - dzisiaj Polską Wytwórnią Papierów Wartościowych, w skrócie PWPW. W czasie galopującej inflacji z trudem mogła nadążyć z bieżącą produkcją banknotów. Trzeba było wynająć firmę zagraniczną. Wynajęto niemiecką.

Mimo że odpowiednia ustawa nie została jeszcze przyjęta i nie ustalono jeszcze relacji wymiany, w 1989 roku były już gotowe ogólne założenia reformy i można było zacząć produkcję nowych pieniędzy. Tłoczenie monet w Mennicy warszawskiej rozpoczęto w grudniu 1990 i kontynuowano w latach następnych. Wystarczy zajrzeć do portfela, aby się o tym przekonać - nadal używamy bardzo wielu monet z datą 1990, 1991 itd., chociaż denominacja odbyła się w roku 1995! Dopiero w 1991 roku zdecydowano, że relacja wymienna będzie wynosić 10 000:1, co oznaczało, że już wybite monety

1 i 2 gr będą potrzebne i nie trzeba będzie ich przetopić. Banknoty drukowano od końca 1990 do lutego 1992.

W trakcie przygotowań do operacji wymiany pieniądza zorganizowano wiele szkoleń oraz przeprowadzono kampanię informacyjną. Ponadto odpowiednio rozlokowano zasoby nowych pieniędzy, tak by banki mogły je wprowadzić do obiegu od razu 1 stycznia 1995 roku.

Dlaczego denominację przeprowadzono dopiero w 1995 roku?

Między innymi właśnie dlatego, że dopiero wtedy gospodarka była na tyle zreformowana i ustabilizowana - co między innymi oznaczało, że inflacja stała się wystarczająco niska - aby przeprowadzenie denominacji miało sens.

Z każdym rokiem wskaźniki gospodarcze systematycznie się poprawiały. O ile w 1990 roku ceny wzrosły o 585,8% w stosunku do roku wcześniejszego, to w 1991 już jedynie o 70%, zaś w kolejnych latach o 43, 35, 32 i 27,8% w 1995. Oznaczało to, że zbliżał się moment, w którym można będzie przeprowadzić denominację.

W międzyczasie pojawiły się jednak nieprzewidziane utrudnienia. Po pierwsze, okazało się, że w wyniku otwarcia gospodarki i niekontrolowanego napływu sprzętu poligraficznego zwiększyły się możliwości fałszowania banknotów. W latach 1992-1993 pojawiła się ogromna masa fałszywych pieniędzy i w związku z tym trzeba było zmienić projekt i ulepszyć zabezpieczenia nowych banknotów. Konkurs na wykonanie tego zadania wygrała brytyjska firma Thomas De La Rue & Company, która rozpoczęła druk na początku 1994 roku. Wydrukowane już wcześniej banknoty, z wizerunkami miast polskich, wycofano. Na nowych umieszczono podobizny królów. To właśnie tych banknotów używamy teraz na

co dzień. Ze względu na wspomniane fałszerstwa PWPW była zmuszona również ulepszyć zabezpieczenia wówczas produkowanych i używanych pieniędzy.

Dodatkowym utrudnieniem były zawirowania polityczne w 1993 roku, wynikające z rozwiązania sejmu przez prezydenta Lecha Wałęsę w maju tego roku. Uniemożliwiły one przyjęcie ustawy o denominacji w takim czasie, by operację tę przeprowadzić już na początku roku 1994.

Kiedy przyjęto ustawę o denominacji i jakie były jej założenia?

Ustawę uchwalono 7 lipca 1994 roku. Przede wszystkim podkreślono w niej, że denominacja będzie ekwiwalentna. W ten sposób starano się zmniejszyć obawy społeczeństwa przed wymianą pieniędzy, wciąż bowiem pamiętano reformę sprzed 45 lat, na której ludność bardzo wiele straciła. Ustalono, że Narodowy Bank Polski rozpocznie stopniową wymianę pieniędzy 1 stycznia 1995. Stare banknoty miały pozostać w obiegu jeszcze przez dwa lata. Od 1 stycznia 1997 roku jedynym prawnym środkiem płatniczym w Polsce miał być już tylko nowy złoty. Ustalono, że stare złote będzie można wymieniać w wybranych bankach do 31 grudnia 2010 roku. Na mocy ustawy wszystkie zobowiązania, należności oraz prawa majątkowe miały zostać przeliczone w relacji 10 000:1, co oznaczało, że nowa złotówka będzie stanowić równowartość dawnych 10 000 złotych, a nowy grosz równy będzie starym 100 złotym.

Bartosz Stefańczyk - doktorant w Szkole Głównej Handlowej, pisze pracę magisterską w Instytucie Historycznym UW. Interesuje się historią gospodarczą oraz numizmatyką.

Ilustracja: wzór banknotu o nominale 200 zł., [Narodowy Bank Polski](#), CC-BY-NC.

Warto jeszcze przypomnieć zasadę zaokrąglania cen. Wprowadzono obowiązek podawania przy towarach cen w starych i w nowych złotych. Ceny w starych złotych zaokrąglano do pełnego grosza, ale tylko powyżej 50 starych złotych, czyli końcówki poniżej starych 50 złotych obcinano.

Ustalono ponadto, że dwa najwyższe nominały banknotów, 100 i 200 złotych, zostaną wprowadzone do obiegu dopiero przed końcem pierwszego półrocza 1995 roku. Chodziło przede wszystkim o uniknięcie pomylenia starych i nowych 100 czy 200 złotych - byłaby to bardzo bolesna pomyłka. Dodatkowo NBP chciał wykorzystać banknoty o nominałach 1 i 2 miliony złotych z ulepszonymi niedługo wcześniej zabezpieczeniami.

Czy denominacja się udała i jakie przyniosła korzyści?

Denominacja rzeczywiście była w pełni udana i przyniosła wymierne korzyści. Przede wszystkim wzrosła wartość złotówki, czyli jej siła nabywcza, a nowy pieniądz stał się lepszym miernikiem wartości dóbr. Ponadto po obcięciu czterech zer łatwiej dokonywać wszelkich obliczeń. Ponownie do obiegu zostały wprowadzone monety. Jest to o tyle ważne, że choć koszt produkcji monety jest wyższy od kosztu druku banknotu, to jednak monety zużywają się znacznie wolniej. Dzięki denominacji można też było wprowadzić pieniądze znacznie lepiej zabezpieczone przed fałszerstwami.

Stworzenie Legionów Polskich we Włoszech



9 stycznia 1797 Jan Henryk Dąbrowski podpisał z rządem Republiki Lombardzkiej umowę dotyczącą utworzenia polskich oddziałów w służbie i na żołdzie tejże Republiki. Oddziały otrzymały nazwę "Legiony Polskie Posiłkujące Lombardię", mundury i sztandary były zbliżone do polskich, język komend i stopnie wojskowe również były polskie. Na szlifach widniał włoski napis "Ludzie wolni są braćmi". Kokardy przypięte do mundurów były trójkolorowe w nawiązaniu do rewolucji francuskiej, symbolizując sojusz i protekcję Republiki. Oficerom i żołnierzom nadano obywatelstwo lombardzkie wraz z prawem powrotu do kraju, jeśli Lombardia nie będzie ich już potrzebować.

Utworzenie legionów było wynikiem splotu specyficznych okoliczności. W XVIII wieku prowadzenie wojny wymagało już odpowiedniego przygotowania teoretycznego, lecz wciąż było domeną szlachty i arystokracji - w

większości państw pozbawionej już dominującej roli politycznej i ekonomicznej. Spowodowało to wyłonienie się grupy zawodowych wojskowych - oficerów. Ich głównym źródłem utrzymania była służba w armii i

związane z tym dodatkowe "korzyści", a nie, jak wcześniej - majątki ziemskie. Ludzie Ci, często przymuszeni sytuacją finansową, szukali zatrudnienia tam, gdzie się dało, nie ograniczając się do państwa z którego pochodzili. Nie wywoływało to niesmaku w kręgach towarzyskich, gdyż szlachta rzadko ginęła na wojnie i postrzegala ją raczej w kategoriach konkurencji niż walki na śmierć i życie.

Rozwój sztuki wojennej polegał wówczas głównie na doskonaleniu taktyki, strategii, logistyki oraz wystawianiu jak największych armii. Postęp techniczny miał mniejsze znaczenie. Sprawni oficerowie byli na wagę złota. Z drugiej strony od szeregowych żołnierzy nie wymagano zbyt wielu umiejętności - niczego, czego energiczny oficer nie mógłby im wbić kijem do głowy. Dopiero rewolucyjna Francja zmieniła podejście do żołnierza - w innych państwach niewiele się zmieniło pod tym względem do końca wieku.

I Rzeczpospolita nie była państwem z silną armią, jednak miała swój korpus oficerski, który po uchwaleniu Konstytucji 3 maja (powołującej do istnienia 100 tys. armię) zaczął się gwałtownie rozrastać. Rozbiory położyły kres istnienia Rzeczypospolitej i jej korpusu oficerskiego. Kompletnie zlikwidowanie państwa było aktem wówczas niesłychanym. Na to nałożyły się idee szerzone przez rewolucję francuską i później insurekcję kościuszkowską - obalenia władzy despotów na rzecz wolności, równości i braterstwa. Polska szlachta, w tym wojskowi, nie mogli się pogodzić z utratą państwa. Oficerowie nie potrafili i nie chcieli zmieniać zajęcia, a wizja walki w którejś z armii zaborczych była nie do zniesienia - nawet jeśli wielu z nich służyło już wcześniej w armiach państw ościennych, jak np. sam twórca Legionów Jan Henryk Dąbrowski, oficer armii saskiej.

Była jednak nadzieja, że rozbiory są tylko

nieszczęściem tymczasowym. Sytuacja w Europie była napięta, a sojusze chwiejne. Rewolucyjna Francja walczyła zaciekle z Prusami (do maja 1795) i Austrią. Obydwa te państwa prowadziły rekrutację na ziemiach polskich. Stąd zrodził się pomysł, by odtworzyć polską armię przy boku Francji. Oficerów-emigrantów nie brakowało, zaś żołnierzy planowano pozyskać z obozów jenieckich spośród dezertersów. Tych nie brakowało, gdyż chłopcy polscy służyli w armii przymusowo, więc też i ochoczo szli do niewoli. Hasła narodowe w połączeniu z dużo bardziej ludzkim podejściem do żołnierza - na wzór armii francuskiej - miały ich zachęcić do nowej polskiej siły zbrojnej.

Rząd francuski nie był przekonany o użyteczności Polaków i nade wszystko nie miał zamiaru im płacić. Wpadł jednak na pomysł, jak wybrnąć z tej sytuacji - odesłał polskich oficerów do północnych Włoch, gdzie walczący z Austrią konsul francuski Napoleon Bonaparte utworzył satelickie państewko Republiki Lombardzkiej. Z jego polecenia rząd Republiki wziął na żołąd Polaków.

W maju 1797 w szeregach Legionów było już około 7 tys. żołnierzy, głównie Polaków przebywających na emigracji oraz polskich jeńców i dezertersów z armii austriackiej generała Dagoberta Wurmsera w Mantui, wcielonych do niej uprzednio i zmuszanych do walki z Francuzami. Utworzone zostały dwie legie po 3 bataliony każda. Dowódcą pierwszej legii był gen. Józef Wielhorski, drugiej gen. Franciszek Rymkiewicz. Dąbrowski wprowadził w legionach nowoczesny system dowodzenia na wzór francuski, zniósł kary cielesne, dał możliwość awansu również żołnierzom niemającym pochodzenia szlacheckiego, nakazał naukę czytania, pisania oraz podkreślenie polskości formacji. Choć legioniści nie mieli okazji do przysłużenia się Polsce, to ich historia (wspomnijmy choćby o skomponowaniu Mazurka Dąbrowskiego!)

przyczyniła się walcie do rozbudzenia polskiej świadomości narodowej, zarówno

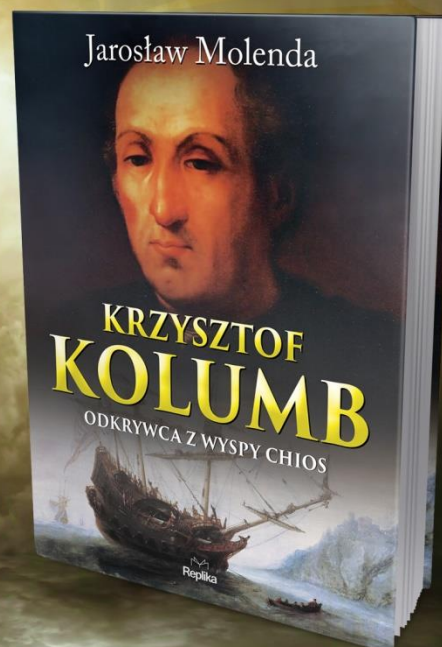
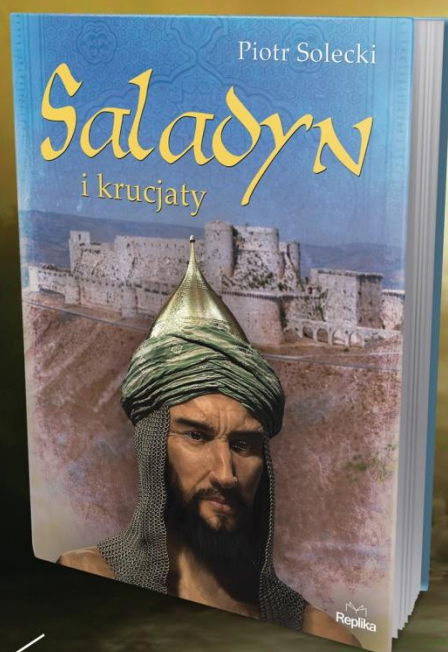
wśród polskiej szlachty, jak i zwykłych obywateli.

ŁW

Ilustracja: portret Jana Henryka Dąbrowskiego z ok. 1805 r., [Polona](#), CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Węgry 8x56 R Mannlicher



Producent: Allami Hadianyaggyar,
Budapeszt-Csepel. Wyprodukowano w 1934
roku.



Producent: Allami Hadianyaggyar,
Budapeszt-Csepel. Wyprodukowano w 1939
roku.



Producent: Magyar Loszermuvek RT..
Wyprodukowano w 1940 roku.



Producent: Magyar Loszermuvek RT;
wyprodukowano w 1943 roku

Węgry

8x50 R Mannlicher



Producent: Manfred Weiss, Budapeszt;
wyprodukowano w maju 1920 roku



Producent: Manfred Weiss, Budapeszt



Producent: Allami Hadianyaggyar,
Budapeszt- Csepel; wyprodukowano w 1929
roku

JARO

Marszałek Mannerheim w Polsce – historia nieopowiedziana

Dzieje Polski i Finlandii w XIX stuleciu noszą w sobie nieco podobieństw i wiele różnic. Świadczy o tym zestawienie dwóch postaci kojarzonych z niepodległością obu krajów i jej obroną przed nowym wcieleniem rosyjskiego imperializmu: Józefa Piłsudskiego i Carla Gustafa Mannerhima. Cóż jednak poza tym – i jeszcze rokiem urodzenia (1867) – może łączyć lojalnego poddanego Mikołaja II z zawodowym rewolucjonistą?



Ponieważ Mannerheim, w wieku 14 lat osierocony przez matkę i porzucony przez ojca, sprawiał kłopoty wychowawcze, krewni oddali go do Fińskiego Korpusu Kadetów w Hamina. Relegowano go stamtąd w 1886 r. za „oddalenie się z jednostki bez pozwolenia przełożonych”. Nie bez protekcji rodziny w roku 1887 wstąpił do Mikołajowskiej Szkoły Kawalerii w Petersburgu. Ukończył ją dwa lata później z dziesiątą lokatą. Spadek o osiem pozycji był efektem pijackiego sporu z przełożonym, który kwestionował sens autonomii Finlandii w obrębie Imperium.

W latach 1889-1890 Mannerheim służył w Kaliszu w szeregach Aleksandrowskiego Pułku Dragonów. W pamiętniku jedynie wspomina o tym przydziale. Nic dziwnego – to miasto liczyło wówczas zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców, a Mannerheim jeszcze w szkole mikołajowskiej postanowił, że nie będzie już nigdy pić ponad miarę...

Raz jeszcze pomogła rodzina, ułatwiając przeniesienie do prestiżowego petersburskiego Kawaler-gwardyjskiego Pułku Jej Wysokości Marii Fiodorownej,

cesarzowej-wdowy po Aleksandrze III. Żołd młodszego oficera był tam jednak – jak w całej armii – marny, a trzeba było na własny koszt sprawić sobie paradne mundury i żyć na odpowiedniej stopie. Szczęśliwie udało się Mannerheimowi w 1892 r. zawrzeć korzystne małżeństwo, które na jakiś czas ustabilizowało jego finansową pozycję.

Służbę w kawalergardach i w administracji cesarskich stajni przerwał ochotniczy udział w wojnie z Japonią w Niżyńskim Pułku Ułanów. Kolejne lata to podróż przez Azję Środkową i Mongolię do Chin – zadanie bardziej wywiadowczo-dyplomatyczne niż globtroterskie.

W styczniu roku 1909, po prawie dwudziestu latach, Mannerheim powrócił do Priwislńskiego Kraju. Objął dowództwo 13. Włodzimierskiego Pułku Ułanów w Mińsku Mazowieckim, zwanym wówczas Nowomińskiem, dwa lata później – Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości, stacjonującego przy warszawskich Łazienkach, a po kolejnych dwóch latach – Samodzielnej Brygady Kawalerii Gwardii.

Warszawa w dobie Mannerheima

Warszawa była pod względem zaludnienia trzecim miastem Imperium, po Moskwie i Petersburgu. W roku 1882 liczyła 382 tys. mieszkańców, w roku 1914 było ich już blisko 900 tys., nie licząc wojsk rosyjskich, których liczebność rosła z 17 tys. w 1892 do 50 tys. po 1905 r. W całym Przywiślu obowiązywał stan wojenny. Rewolucja 1905-1907 zaowocowała starciami z policją i terrorem, za czym stał Józef Piłsudski i jego PPS-Frakcja Rewolucyjna. Rozprężenie władz rosyjskich dobiegło kresu wraz z mianowaniem generała gubernatorem Georigija Scalona de Coligny, powinowatego Mannerheima, który wsławił się represjami tylż

energicznymi, co brutalnymi. Nic więc dziwnego, że i Scalon znalazł się na celowniku PPS-Frakcji Rewolucyjnej, ale przeprowadzony nań w sierpniu 1906 r. zamach się nie powiódł.

Mannerheim przybył do Warszawy już po opadnięciu nastrojów rewolucyjnych, co jednak nie zmieniło wzajemnej niechęci pomiędzy rdzennymi mieszkańcami miasta a przybyszami ze wschodu. Był to efekt rusyfikacji, która wyrażała się także w architekturze, pomnikach, nazwach ulic.

Punkty styczności

Uwzględniając żołnierzy, u progu I wojny światowej Polacy stanowili nieco ponad 50% mieszkańców Warszawy, Żydzi – 1/3, a Rosjanie – około 9%. Wśród tych ostatnich było 50 tys. żołnierzy i 35 tys. innych osób, od urzędników, nauczycieli i kupców, po tragarzy i ulicznych sprzedawców mrożennego. Mannerheim daje we „Wspomnieniach” obraz podobny do innych pamiętnikarzy: Osobiste kontakty między Polakami i Rosjanami były nieliczne, nawet moje obcowanie z Polakami było traktowane podejrzliwie. Dało między innymi dowództwu żandarmerii powód do wysłania raportu do generała-gubernatora, gdzie jednak trafił do kosza. Potwierdzeniem braku kontaktów jest statystyka małżeństw między katolikami i prawosławnymi – 2045 na 70 tys. zawartych w Warszawie w latach 1902-1911.

Jednak mimo trwającej od 1866 r. depolonizacji, spis powszechny z 1897 r. wykazał, że w administracji, sądownictwie i policji zatrudniano 57% Polaków, 37% Rosjan i 3% Niemców. Rzecz jasna, wyższe i średnie stanowiska rezerwowano dla Rosjan. Okazało się jednak, że Rosji brakuje rezerw. Ponadto okresy ostrego kursu rusyfikacyjnego przetykane były

rządami bardziej liberalnymi, obliczonymi na pozyskanie polskich poddanych.

Nawet po powstaniu styczniowym niemało Polaków podejmowało służbę w armii rosyjskiej, chociaż możliwości awansu nie były najlepsze. W 1912 r. 5% młodszych oficerów armii rosyjskiej było Polakami, a wśród generałów ich udział wynosił tylko 3%. Wśród protestantów (Niemcy, Finowie) odsetki te wynosiły odpowiednio 2,8% na niższych stanowiskach i 6,5% wśród generałów. Służba w armii rosyjskiej, podobnie jak pełnienie urzędu, były w niechętnie widziane przez polską opinię, choć ze względów praktycznych starano się stopniować „winę”.

Sfery, w których obracał się Mannerheim, również miały kilka przestrzeni styku: Klub Myśliwski, wyścigi konne i teatry. Od czasu do czasu dochodziło do zetknięcia polskiej elity arystokratycznej z Rosjanami na balach w Pałacu Namiestnikowskim, ale strona polska okazji takich unikała. Mannerheim uczestniczył zarówno w życiu rosyjskim w Warszawie, jak i w życiu polskiej elity. Jednoczesne funkcjonowanie w dwóch kręgach ułatwiał mu arystokratyczny status, narodowość oraz zamiłowanie do koni i polowań.

Naturalnym miejscem spotkań był Klub Myśliwski na ulicy Erywańskiej, dziś Kredytowej 7, gdzie bywała polska elita arystokratyczna, rosyjscy wyżsi wojskowi i dygnitarze cywilni. Pretekstem było zamiłowanie do polowań. Rozmawiano, jedzono, pito i grano w karty. Drugim miejscem spotkań był tor wyścigów konnych na Polu Mokotowskim, w 1887 r. ostatecznie umieszczonym na osi dzisiejszej ulicy Polnej, tuż obok kamienicy, w której mieszkał Mannerheim (Marszałkowska 2).

Nie wiemy nic na temat zainteresowań przyszłego marszałka Finlandii teatrem, ale teatr, operetka i balet cieszyły się w owych

czasach dużym powodzeniem. Teatr był miejscem, gdzie swobodnie rozbrzmiewać mogło słowo polskie (choć oczywiście cenzurowane), ale rosyjscy wojskowi chodzili tam raczej dla aktorek. Bardziej kosmopolityczne były opera, operetka i szczególnie ulubiony przez Rosjan balet.

Nić porozumienia

Wspominając służbę w Warszawie, Mannerheim pisał: Polacy przyjmowali mnie, mimo mojego stanowiska służbowego, bez uprzedzeń. Jako Fin i zdeklarowany przeciwnik rusyfikacji w moim własnym kraju, ze zrozumieniem myślałem o uczuciach Polaków i ich poglądach na sprawy, które uznać można by za drażliwe. Nigdy więc nie rozmawiałem z nimi o polityce. Oni także nie łamali tego niepisanego prawa...

Mannerheim nie był pierwszym Finem w szeregach armii rosyjskiej na ziemiach polskich, ale jego stosunek do Polaków i ich narodowych aspiracji różnił od tego, co myśleli jego rodacy służący tu wcześniej.

Jeśli pominąć wyczyny fińskich hakapelitów podczas wojen Rzeczypospolitej ze Szwecją w XVII wieku, do pierwszego spotkania polsko-fińskiego na polu bitwy doszło w czasie powstania listopadowego. Fiński Batalion Strzelców Gwardii, którym dowodził pułkownik Anders Edvard Ramsay, uczestniczył w walkach nad Narwią, bitwie pod Ostrołęką i w szturmie Warszawy. Jeden z polskich pamiętnikarzy, Stanisław Jabłonowski, opisuje wymianę zdań z dwoma oficerami wziętymi do niewoli pod Długosiodłem. Nasza ojczyzna jest mała i odległa, a Moskwa – wielka i tak bliska, że czujemy jej oddech na naszych plecach, wobec czego, czy nam się podoba czy nie, musimy wypełniać nasze rozkazy co do joty – tłumaczyli, uzasadniając odrzucenie propozycji wstąpienia w szeregi

powstańcze. Polacy brali swych rozmówców za Szwedów, dając tym samym dowód niezrozumienia różnicy pomiędzy dziejami polskimi i fińskimi. Dziwili się też, dlaczego służyli temu samemu reżimowi, który niegdyś wypowiedział wojnę ich własnemu krajowi.

O ile rozbiory Rzeczypospolitej oznaczały likwidację niedawnego mocarstwa i podporządkowanie jego dużej części odwiecznemu wrogowi, o tyle rok 1809 miał dla Finów, w tym dla mówiącej po szwedzku elity, inne znaczenie. Choć Finowie uważali swych wschodnich sąsiadów za barbarzyńców i odwiecznego wroga, to przejście pod ich skrzydła wydawało się racjonalne, gdy Szwecja nie była w stanie obronić swej wschodniej prowincji. Szwecja od czasów Jana III Wazy traktowała Finlandię jako swą część integralną, źródło dochodów dla skarbu i teatr powtarzających się w XVIII stuleciu wojen ze wschodnim sąsiadem. Tymczasem Aleksander I zaoferował nowym poddanym autonomię – niezbyt precyzyjnie określoną, ale realną.

Ten sam pragmatyzm przyświecał pułkownikowi, a potem generałowi Ramsayowi, obrońcy Ekenäs (Tammisaari) przed angielskim desantem w 1854 r. oraz Sewastopola. W 1862 r. Ramsay znów zawitał do Królestwa Polskiego, tym razem jako naczelny dowódca wojsk rosyjskich. Pełnił swą funkcję tylko do marca 1863, a powodem ustąpienia były kłopoty zdrowotne. Jego miejsce zajął Fiodor Berg, wprawdzie Inflantczyk, ale pełniący wcześniej funkcję namiestnika Finlandii, obrońca Sweaborga w 1854 r. Udział w tłumieniu powstania styczniowego wzięło więcej Finów. Wszyscy oni powtórzyliby z przekonaniem słowa oficerów wziętych do niewoli nad Narwią. Byliby zapewne jeszcze bardziej przekonani do swych racji, w roku 1863 autonomia Wielkiego Księstwa została bowiem rozszerzona. Zapowiedź

periodycznego zwoływania sejmu w przyszłości czyniła z Finlandii monarchię konstytucyjną w unii personalnej z Rosją. Nic dziwnego, że na centralnym placu Helsinek stanął – i stoi do dziś – monument Aleksandra II.

Polityka pragmatyzmu świeciła tryumfy.

Sytuacja uległa zmianie w czasach, w których Mannerheim zawitał ponownie do Przywiślańskiego Kraju, i to właśnie spowodowało, że był on traktowany przez polską socjetę inaczej niż Rosjanie. Sam też miał większe zrozumienie dla polskich dylematów politycznych.

Po śmierci Aleksandra II w 1881 r., rządy jego syna Aleksandra III upłynęły pod znakiem rosnącego znaczenia konserwatystów i szowinistów wielkorosyjskich. Aleksander III odrzucił projekt wprowadzenia w Rosji konstytucji, uznając za niedorzeczność, by car samowładny „przysięgał jakiemuś bydłu”. Mikołaj II był podobny, choć brakło mu ojcowskiej konsekwencji.

W Rosji rozpoczęła się dyskusja o konieczności silniejszego związania z nią Finlandii. Wyrazicielem tego poglądu był generał-gubernator Finlandii w latach 1898-1904 Michaił Bobrikow. Zmiany zapowiadał manifest lutowy z 1899 r., mówiący o ograniczeniu autonomii. Protest podpisany przez ponad 500 tys. obywateli miała przedstawić carowi delegacja 500 mieszkańców Finlandii, nie dopuszczono jej jednak przed oblicze władcy. Choć reformy nie były konsekwentnie wprowadzane w życie, to już same zapowiedzi spowodowały, że 6 czerwca 1904 r. generał gubernator Bobrikow został zastrzelony przez urzędnika Senatu Eugena Schaumana, syna generała-lejtnanta armii rosyjskiej.

Polityka kompromisu osiągnęła kres.

Drugi okres ucisku rosyjskiego przypadł na lata 1907-1917, a więc w czasie pobytu Mannerheima w Warszawie.

1919 – znowu w Warszawie

Mannerheim do końca dochował wierności carskiej Rosji. Odszedł z wojska w roku 1917. Stał na czele samorzutnie tworzących się oddziałów białych, które po krwawej wojnie domowej ostatecznie ugruntowały niepodległość Finlandii, ogłoszoną 4 grudnia 1917 r. Od grudnia 1918 r. do czerwca 1919 pełnił urząd regenta i odegrał kluczową rolę w procesie uznania nowego państwa przez mocarstwa zwycięskiej Ententy. Złożywszy urząd po przegraniu wyborów prezydenckich, Mannerheim udał się w podróż zagraniczną, w trakcie której załatwiał ważne dla Finlandii sprawy oraz usiłował wpłynąć na politykę mocarstw względem rosyjskiej wojny domowej.

Jesienią 1919 r. przybył do Warszawy. Spotkania z dawnymi znajomymi z Klubu Myśliwskiego nie wyczerpały programu wizyty. W Belwederze jego rozmówcą był Józef Piłsudski zachowujący się bez pompy, prosto i naturalnie [...]. Prawie natychmiast zaczęliśmy rozmawiać o najbardziej aktualnym dla nas obu problemie rosyjskim. Tak jak Finlandia nie zamierzała wspierać planującego ofensywę na Piotrogród generała Judenicza, tak i Polska nie miała interesu w pomaganiu Armii Ochotniczej generała Denikina. Uznawany przez nich za regenta admirał Kołczak stał twardo na stanowisku niepodzielności terytorium Rosji, obejmującego zarówno Wielkie Księstwo Finlandii, jak i dawny Kraj Przywiślański.

Historia zatoczyła koło, a drogi fińskiego kompromisu i polskiej irredenty zbiegły się jednym punkcie.

Michał Kopczyński

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



wykrywacze metali
PENELEKTRONIK
GWARANCJA SUKCESU
SOLFERNUS

dzwoń już teraz
504 458 599
58 551 42 98

www.wykrywacze.com.pl
wykrywacze@wykrywacze.com.pl

Wyzwolenie obozów zagłady Auschwitz



Z dr. Jackiem Lachendro

rozmawia Łukasz Wojtach

W jakich okolicznościach zostały wyzwolone obozy zagłady Auschwitz-Birkenau? Co i kogo zastali rosyjscy żołnierze w 1945 roku?

27 stycznia 1945 roku przed południem

żołnierze sowieccy z 60. Armii I Frontu Ukraińskiego zajęli część kompleksu obozowego Auschwitz znajdującą się na wschód od Oświęcimia, na terenie wsi Monowice - tzw. Auschwitz III-Monowitz. Po południu wkroczyli na teren obozu macierzystego, tzw. Auschwitz I, oraz części ulokowanej na zachód od Oświęcimia, we wsi Brzezinka - Auschwitz II-Birkenau. W walkach z

oddziałami niemieckimi zginęło wówczas ponad 230 żołnierzy sowieckich.

W trzech częściach obozu czerwonoarmiści wyzwolili około siedmiu tysięcy więźniów. Około pięciuset kolejnych oswobodzili przed 27 stycznia i krótko po tym dniu w podobozach: Althammer w Starej Kuźni, Blechhammer w Blachowni Śląskiej, Eintrachthütte w Świętochłowicach, Fürstengrube w Wesolej, Janinagrube w Libiążu, Jawischowitz w Jawiszowicach i Neu-Dachs w Jaworznie. Wśród wyzwolonych znaleźli się obywatele dwudziestu kilku państw, w większości Żydzi. Prócz nich byli również Polacy, Jugosłowianie, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy.

W momencie wejścia żołnierzy sowieckich na teren kompleksu obozowego większość budynków była we względnie dobrym stanie. Jedynie na terenie Birkenau czerwonoarmiści zastali ruiny komór gazowych i krematoriów II, III i V oraz płonące baraki magazyny tzw. Kanady z mieniem zagrabionym zamordowanym Żydom. Esesmani w ostatniej chwili wysadzili bowiem w powietrze komory i krematoria oraz podpalili magazyny, chcąc zatrzeć ślady zbrodni dokonanych w obozie. Z kolei na terenie obozu macierzystego zniszczenia były niewielkie. Spaleniu uległy tylko dachy dwóch budynków, jednego z nich częściowo. Natomiast w różnych miejscach znajdowały się rozrzucone w nieładzie dokumenty, między innymi Centralnego Zarządu Budowlanego. Inne akta, na przykład kartoteki i rejestry więźniów, w zdecydowanej w większości zostały wcześniej spalone.

Sytuacja wyzwolonych więźniów przedstawiała się dramatycznie. Większość z nich była skrajnie wyczerpana fizycznie, a także cierpiała z powodu różnych chorób, głównie biegunki głodowej, często

połączonej z gruźlicą. Pierwszej zorganizowanej pomocy udzielili im sowieccy lekarze i sanitariusze wojskowi w zainstalowanych kilka dni po wyzwoleniu dwóch szpitalach polowych. W tym samym czasie z pomocą pospieszyli również polscy ochotnicy z Oświęcimia i okolic, a także innych rejonów Polski, głównie członkowie Polskiego Czerwonego Krzyża. Na początku lutego zorganizowali oni tzw. Szpital Obozowy PCK. We wspomnianych szpitalach znalazło pomoc ponad 4,5 tysiąca chorych byłych więźniów, wśród nich ponad czterysta dzieci. W tej grupie znalazły się również bliźnięta żydowskie, na których wcześniej przeprowadzał eksperymenty lekarz SS Josef Mengele.

Ochotnicy PCK zajmowali się również usuwaniem i pochówkiem zwłok, których w obozie macierzystym i dawnym Birkenau odnaleziono około sześciuset. 28 lutego 1945 roku zostały one uroczystie pochowane wraz z ciałami więźniów, którzy zmarli już po wyzwoleniu. We wspólnej mogile znajdującej się w pobliżu byłego obozu macierzystego spoczywa około siedmiuset ofiar KL Auschwitz.

Jak przebiegała likwidacja obozów? Czy Niemcy próbowali ukryć swoje zbrodnie?

W lecie 1944 roku w związku z sukcesami Armii Czerwonej władze niemieckie zdecydowały o częściowej ewakuacji więźniów KL Auschwitz. W drugiej połowie 1944 roku i na początku stycznia 1945 wywiezionych zostało do obozów w Rzeszy łącznie około 65 tysięcy więźniów i więźniarek, których zmuszono do pracy w różnych zakładach przemysłowych. Wśród nich wywieziono zdecydowaną większość przebywających w obozie Polaków, Rosjan i Czechów - w sumie około 15 tysięcy. Władze niemieckie nie zdecydowały się jednak wówczas na całkowitą likwidację obozu. Pozostawiły w nim ponad 65 tysięcy więźniów, którzy w większości musieli pracować w

kopalniach, hutach i fabrykach na Górnym Śląsku i w zachodniej Małopolsce.

Kiedy w połowie stycznia 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła tzw. operację wiślańsko-odrzańską, władze niemieckie zdecydowały o ostatecznej ewakuacji więźniów i likwidacji obozu. Od 17 do 21 stycznia esesmani wyprowadzili w pieszych kolumnach z KL Auschwitz i jego podobozów około 56 tysięcy więźniów. Ponadto w transportach kolejowych ewakuowali 2 tysiące więźniów z podobozów w Świętochłowicach i Siemianowicach. Główne pieszce trasy ewakuacyjne wiodły do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic, skąd więźniowie byli dalej transportowani koleją, w odkrytych wagonach. Jedną z najdłuższych tras, liczącą 250 km, przebyło około 3,2 tysiące więźniów z podobozu w Jaworznie do KL Gross-Rosen na Dolnym Śląsku. Na terenie KL Auschwitz i w kilku jego podobozach pozostało około dziewięciu tysięcy więźniów, w większości chorych i niezdolnych do marszu, z których część później zmarła. W trakcie ewakuacji esesmani strzelali zarówno do więźniów usiłujących zbiec, jak i do tych, którzy z powodu wyczerpania fizycznego nie byli w stanie wytrzymać tempa marszu. W efekcie po ewakuacji wzdłuż tras pieszych i kolejowych leżały tysiące zwłok więźniów zastrzelonych lub zmarłych z wycieńczenia lub przemarznięcia. Szacuje się, że zginęło wówczas co najmniej 9 tysięcy, prawdopodobnie do 15 tysięcy więźniów. Nic więc dziwnego, że przemarsze ewakuowanych z obozu nazwano po wojnie "marszami śmierci".

Władze SS przez cały okres istnienia obozu starały się ukryć to, co tam się działo. Już w 1940 i 1941 roku wysiedliły mieszkańców Zasola - zachodniej dzielnicy Oświęcimia - oraz kilku wiosek na zachód od tego miasta, wśród nich Brzezinki. Na ich terenie stworzyły tzw. strefę interesów obozowych, do której

Polacy mieszkający w okolicy nie mieli dostępu. Został również stworzony system tzw. łańcuchów straży, uniemożliwiających podejście w pobliże obozów. Władze KL Auschwitz starały się również ukryć popełniane w nim zbrodnie, na przykład poprzez wpisywanie do dokumentacji rozstrzelanych więźniów jako przyczyn śmierci chorób lub przez stosowanie różnych eufemizmów, na przykład *Sonderbehandlung* - specjalne potraktowanie - w przypadku zabijania Żydów w komorach gazowych.

W ostatnim okresie istnienia obozu jego władze zdecydowały o zniszczeniu obiektów i przedmiotów, które w przyszłości mogłyby posłużyć jako dowody popełnionych zbrodni. Do końca 1944 roku zostało rozebrane krematorium IV, zniszczone podczas buntu więźniów Sonderkommando w październiku tego roku. W listopadzie i grudniu zdemontowano urządzenia techniczne komór gazowych i krematoriów II i III, które w większości wywieziono w głąb Rzeszy, a 20 stycznia 1945 roku zostały one wysadzone w powietrze. Krematorium V wraz z komorami zostało wysadzone sześć dni później.

W końcu 1944 roku likwidowane były w Auschwitz II-Birkenau doły z prochami ofiar. Niszczono dokumenty więźniów, między innymi ich kartoteki, rejestry, a także imienne wykazy Żydów deportowanych do Auschwitz. Wywożono również rzeczy zagrabione ofiarom Zagłady. Do wykonywania tych wszystkich działań esesmani zmuszali więźniów, którym czasami udało się sabotować tę pracę. Dzięki temu nie zniszczyli oni wszystkich dokumentów ani nie usunęli całości prochów.

Co wiedzieli Rosjanie i zachodni alianci o niemieckich obozach zagłady przed wyzwoleniem Auschwitz?

Rosyjski historyk Lew Biezymiński

ustalił, że pierwsza wzmianka o Auschwitz i innych niemieckich obozach pojawiła się w sowieckiej prasie w kwietniu 1943 roku, gdy "Prawda" zamieściła krótką notatkę TASS na ich temat. Nie zawierała ona jednak szczegółów. W późniejszym okresie informacji na ten temat było niewiele, tak że wiedza przeciętnego mieszkańca Związku Sowieckiego była znikoma lub żadna. Na pewno sporo wiedziały centralne władze sowieckie, które zwłaszcza od 1944 roku otrzymywały informacje od wywiadu, a także drogą dyplomatyczną od aliantów. Wiedziały one już wówczas o masowej zagładzie Żydów w Auschwitz. Jednak informacje te nie trafiały do prasy. Nie zostały też przekazane - jak ustalił Biezymiński - dowództwu i żołnierzom jednostek I Frontu Ukraińskiego przed rozpoczęciem ofensywy w połowie stycznia 1945 roku. Dużą wiedzę o niemieckich obozach koncentracyjnych i ośrodkach zagłady miały rządy zachodnich państw alianckich i neutralnych, a także zachodnia opinia publiczna. Ważną rolę w przekazywaniu informacji na ten temat odegrał Rząd RP w Londynie, który różnymi drogami zdobywał je w okupowanym kraju. Rząd ten w publikacjach i artykułach prasowych informował o Auschwitz i innych obozach, a także o prowadzonej eksterminacji Polaków i Zagładzie Żydów. Podejmował również działania dyplomatyczne mające skłonić aliantów do wywarcia presji na nazistów. Przypomnieć tu należy przede wszystkim misję Jana Karskiego i jego rozmowy z brytyjskimi i amerykańskimi politykami, między innymi z prezydentem Rooseveltem.

Na podstawie danych przekazywanych z okupowanej Polski rozgłośnię alianckie podawały wiadomości o KL Auschwitz i innych obozach. Największą rolę odegrało tu BBC. Informacje na ten temat podawała również prasa brytyjska i amerykańska oraz szwajcarska. Trzeba jednak podkreślić, że początkowo przekazywane

one były sporadycznie, a w gazetach drukowano je najczęściej w formie krótkich notek na odległych stronach. Powodem tego było niedowierzanie, z jakim je przyjmowano, podobnie jak dane przekazywane przez Karskiego. Przełom nastąpił w drugiej połowie 1944 roku po ujawnieniu sprawozdań uciekinierów z obozu: Jerzego Tabeau, Rudolfa Vrby, Alfreda Wetzlera oraz Czesława Mordowicza i Arnošta Rosina. Wówczas tematyka Auschwitz oraz Zagłady Żydów była często podejmowana i nagłaśniana przez media, a publikowane wiadomości stały się bardziej obszerne. W związku z tym również wiedza na temat stała się bardziej powszechna.

Czy wcześniej próbowano coś zrobić, by zapobiec zagładzie Żydów?

Jak wspomniałem, rząd RP podejmował działania mające na celu skłonienie aliantów do interwencji. Z podobnymi apelami występowały też organizacje żydowskie. Choć alianci posiadali wiedzę na temat Zagłady również z przechwytywanych radiogramów niemieckich, które były rozszyfrowane dzięki urzędzeniu Ultra Secret, czyli Enigma, nie dowierzali im i nie podejmowali działań. Dopiero w lipcu 1944 roku pod presją prezydenta Stanów Zjednoczonych, Watykanu oraz kilku rządów państw neutralnych regent Węgier Miklós Horthy wstrzymał deportacje Żydów z Węgier, które jednak po jego obaleniu zostały wznowione.

Działaniom dyplomatycznym towarzyszyły kierowane głównie do władz Stanów Zjednoczonych apele o zbombardowanie komór gazowych i krematoriów w Auschwitz oraz prowadzących do obozu linii kolejowych. Występowały z nimi różne osoby i organizacje, głównie żydowskie. Najwięcej tych apeli wystosowano w drugiej połowie roku 1944. Nie zostały one jednak wysłuchane, pracownicy amerykańskiego

Departamentu Wojny uważali bowiem, że siły i środki wojskowe nie powinny być użyte do celów innych niż militarne. Ponadto wyrażali pogląd, że najbardziej skuteczną pomocą dla ofiar będzie jak najszybsze zwycięstwo aliantów w wojnie. Podobne stanowisko zajmowało brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa.

Czy w Auschwitz doszło do jakichś buntów?

Członkowie działającego w obozie ruchu oporu rozważali możliwość przeprowadzenia w sprzyjającej sytuacji zbrojnego powstania, które miało być wsparte przez działające w pobliżu obozu polskie oddziały partyzanckie. Mimo zaawansowanych przygotowań kierownictwo obozowej konspiracji nie zdecydowało się na rozpoczęcie powstania. Zdawało sobie bowiem sprawę z dużej przewagi Niemców i ogromu strat, jakie mogliby ponieść więźniowie w czasie zbrojnego buntu. Poza tym, nawet gdyby masowa ucieczka zakończyła się powodzeniem, nie było możliwości ukrycia dziesiątków tysięcy więźniów i więźniarek.

Niemniej sporadycznie dochodziło do buntów więźniów. 10 czerwca 1942 roku więźniowie polscy osadzeni w karnej kompanii, pracując przy kopaniu rowu melioracyjnego w Birkenau, wszczęli bunt i zaczęli uciekać. Niestety, tylko kilku z nich zdołało zbiec, pozostałych esesmani pojмали lub zastrzelili w trakcie pościgu. Następnego dnia rozstrzelali dwudziestu więźniów z karnej kompanii oraz zabili w komorze gazowej kolejnych około 320. Inny bunt, połączony z ucieczką, nastąpił 6 listopada 1942, również w Birkenau. W tym dniu kilkudziesięciu jeńców radzieckich, wykorzystując zapadające ciemności i mgłę, przedarło się przez posterunki SS na nieogrodzonej jeszcze, będącej w budowie części obozu. Również w tym przypadku tylko kilku uciekinierom udało się zbiec, natomiast pozostałych

esesmani ujęli lub zastrzelili w czasie pościgu.

Najbardziej znany jest bunt więźniów żydowskich z Sonderkommando, który ze względu na liczbę uczestniczących w nim więźniów i skalę działań nazywany jest nawet powstaniem. 7 października 1944 roku Żydzi ze wspomnianego komanda, obawiając się, że zostaną zamordowani, podpalili i poważnie uszkodzili budynek krematorium IV oraz zaatakowali esesmanów, którzy po nich przybyli. Części więźniów udało się przedostać do pobliskiego lasu. W tym czasie więźniowie zatrudnieni w krematorium II, widząc z daleka płomienie i słysząc strzały, uznali to za sygnał do ogólnego powstania. Zabili oberkapo oraz dwóch esesmanów i po przecięciu drutów rzucili się do ucieczki. Niestety, podczas pościgu wszyscy zbiegowie zostali otoczeni przez esesmanów i zamordowani. Ogółem zginęło wówczas około 250 Żydów. Wieczorem esesmani rozstrzelali kolejnych około dwustu z pozostałych komand, które wszczęły bunt. Na początku stycznia zostały powieszona w ostatniej publicznej egzekucji w obozie cztery Żydówki, które z zakładów zbrojeniowych Union-Werke wykradły materiał wybuchowy i dostarczyły go więźniom Sonderkommando.

Przypadki buntu zdarzały się również wśród Żydów prowadzonych do komór gazowych. Do jednego z najbardziej znanych doszło w październiku 1943 roku. W rozbieralni krematorium II jedna z kobiet, uświadomiwszy sobie sytuację, w której się znalazła, wykorzystwała nieuwagę esesmana, Josefa Schillingera, i wyrwała mu pistolet. Następnie oddała kilka strzałów do niego oraz znajdującego się w pobliżu drugiego esesmana, Wilhelma Emmericha. Inne kobiety rzuciły się wówczas na pozostałych członków załogi, którzy jednak stłumili bunt. Schillinger zmarł w drodze do szpitala, Emmerich

przeżył, ale do końca życia pozostał kaleką.

Z czym się teraz kojarzy nazwa Auschwitz w Polsce i na świecie? Jak powszechna jest wiedza o tym, co się działo w tym miejscu?

Nazwa Auschwitz kojarzona jest w świecie przede wszystkim z *Szoa*. W tym miejscu zostało zamordowanych ponad milion Żydów, najwięcej spośród wszystkich innych miejsc Zagłady. Dlatego Auschwitz stał się symbolem *Szoa*. Również niektóre obiekty dawnego obozu stały się symbolami, swoistymi ikonami Zagłady. Wymienić tu przede wszystkim należy bramę w byłym obozie macierzystym z napisem *Arbeit Macht Frei* oraz tzw. Bramę Śmierci w dawnym Birkenau. Poza żydowskimi ofiarami Zagłady, dziś już coraz więcej ludzi pamięta również o zamordowanych Polakach, Romach lub jeńcach Armii Czerwonej, lecz wymowa Zagłady ma oczywiście inne znaczenie cywilizacyjne i kulturowe. To Zagłada stała się bardzo poważną częścią fundamentu powojennych zmian w prawie, w stosunkach międzynarodowych, w postrzeganiu etyki, historii czy nawet w teologii.

Natomiast w Polsce Auschwitz, obok Zagłady, kojarzone jest nadal mocno z eksterminacją Polaków prowadzoną przez Niemców. Dla Polaków Auschwitz, będące również największym polskim

cmentarzem, ma bowiem to podwójne znaczenie - miejsca Zagłady i miejsca polskiej martyrologii. Stąd nie dziwi nikogo, że to uczniowie polskich szkół są zdecydowanie największą grupą odwiedzających to Miejsce Pamięci. Z samą pamięcią jednak było różnie, w zależności od propagandy komunistycznej w epoce powojennej. Od końca lat czterdziestych do połowy następnej dekady Auschwitz - czy, jak wówczas mówiono, "obóz w Oświęcimiu" - wykorzystywany był przez komunistów jako instrument "walki o pokój" z "anglosaskim imperializmem". W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ponownie stał się symbolem polskiej i międzynarodowej martyrologii. Natomiast od roku 1968, od momentu rozpoczęcia "walki z syjonizmem", pamięć o *Szoa* została zepchnięta na margines i trwało to do przemian politycznych, które nastąpiły w Polsce w końcu lat osiemdziesiątych. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w oficjalnych tekstach mówiono o ofiarach wielu narodowości, nie wskazując, że 90% z nich to byli Żydzi i że to z tego względu byli tu mordowani. Dopiero od początku następnej dekady skala popełnionych zbrodni, liczba ofiar i ich skład narodowościowy prezentowany jest we właściwych proporcjach. Nic więc dziwnego, że dla części Polaków Zagłada Żydów w Auschwitz była w pewnych okresach mniej znana niż eksponowana przez dziesięciolecia martyrologia Polaków.

dr Jacek Lachendro - pracownik Działu Naukowego Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Ilustracja w tle: dzieci-więźniowie obozu po wyzwoleniu, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Bić się czy nie bić? wywiad z prof. Jerzym Zdradą o powstaniu styczniowym

Od wybuchu powstania styczniowego minęło ponad 150 lat, ale „rok 1863” wciąż budzi dyskusje. O sytuacji politycznej przed wybuchem tego zrywu niepodległościowego i o tym, czy można było go uniknąć – mówi prof. Jerzy Zdrada.

Ewelina Szpak: Klęska Rosji w wojnie krymskiej i wiosna posewastopolska obudziły nadzieje Polaków na korzystne dla nich zmiany polityczne, kulturalne i gospodarcze. Jednak przebywający w 1856 w Warszawie car Aleksander II jasno stwierdził: „Żadnych marzeń, panowie”. Jak te słowa zostały przyjęte przez różne ugrupowania polskie? Jakie postawy wówczas przeważały?

Prof. Jerzy Zdrada: Mikołaj I był do tego stopnia zniechęcony, iż już samo objęcie tronu przez Aleksandra II w lutym 1855 powitane zostało w Rosji jako zapowiedź lepszych czasów. Polacy także liczyli na zelżenie systemu, ale bezpośrednio śmierć Mikołaja I, poza zrozumiałymi wówczas reakcjami radości (okazywanymi jednak tylko w najbardziej zaufanych gronach rodzinnych i przyjacielskich), żadnych zmian w Królestwie Polskim nie przyniosła. Nadal rządził namiestnik Paskiewicz, który uosabiał istotę systemu mikołajowskiego wobec Polaków. Dopiero śmierć „Księcia Warszawskiego” (1 II 1856), jak tytułowano Paskiewicza, symbolicznie kończyła epokę Mikołaja I w Królestwie Polskim, ale to jeszcze nie oznaczało zapowiedzi zmian.

Jednakże, jak to bywa w takich okolicznościach, rosły nadzieje, że wkrótce nastąpi oczekiwana zmiana polityki wobec Polaków. Składały się na to dwie okoliczności. Z jednej strony odczuwalny już w 1856 powiew liberalizmu idący z Petersburga i Moskwy, któremu nadano nazwę „wiosny” lub też „odwilży” poswastopolskiej (notabene, właśnie wtedy zrodziło się pojęcie, które do naszych czasów jest używane do opisywania kolejnych fal zmiany polityki władz w Rosji, a do niedawna również w Europie Środkowo-Wschodniej). Z drugiej – nowy układ sił na arenie międzynarodowej: w 1856 zawarty został sojusz Cesarza Napoleona III z Aleksandrem II, który miał służyć realizacji ich mocarstwowych interesów. Francja posługując się hasłem praw narodowości przygotowywała się już do usunięcia Austrii z Włoch i dążyła do oparcia granic na Renie a Rosja pragnęła odzyskać dominującą pozycję w rejonie Morza Czarnego i na Bałkanach, którą utraciła po przegraniu wojny krymskiej.

Do realizacji tych planów Francja i Rosja potrzebowały i udzielały sobie wzajemnego poparcia. I tu pojawiła się kwestia polityki Rosji wobec Polaków.

Można nawet powiedzieć, iż była to jej „pięta Achillesa”. Oto w czasie rokowań pokojowych w Paryżu w 1856, kończących wojnę krymską, Anglia i Francja przymuszając Rosję do przyjęcia narzucanych jej warunków, zaszantażowały Aleksandra II groźbą poruszenia sprawy polskiej, na co car natychmiast odpowiedział poufnym zapewnieniem wprowadzenia w Królestwie Polskim „ulepszeń”. Ta obietnica zadowoliła zwłaszcza Napoleona III. Wiedział o niej także książę Adam Czartoryski, a pewne informacje musiały przeniknąć do Warszawy. Dlatego, kiedy - 22 maja 1856, niespełna dwa miesiące po zawarciu pokoju paryskiego – Aleksander II po raz pierwszy przyjechał do Warszawy, witany zresztą entuzjastycznie, w kręgach ziemiańskich postanowiono to wykorzystać dla przedłożenia carowi petycji („adresu”) wyrażającego nadzieje na koncesje polityczne przywracające niektóre instytucje sprzed 1831, odebrane po klęsce powstania listopadowego. Wtedy okazało się, że car samodzierzca nie tylko nie miał zamiaru wysłuchać, a tym bardziej przyjąć owego polskiego „adresu”, ale uprzedzając polską inicjatywę, dwukrotnie rzucił znamienne ostrzeżenie „Żadnych marzeń panowie” (Messieurs, point de rêveries), bo nie mieściło się w jego wyobraźni, aby poddani bez zezwolenia ośmielali się zwracać do cara z prośbami i to natury par excellence politycznymi...

Od 1860 w Warszawie mamy do czynienia ze zjawiskiem określanym niekiedy „rewolucją moralną”, w której odrodziła się idea niepodległościowa. Na czym owa rewolucja polegała i w jakim stopniu przyczyniła się do wybuchu powstania?

Pojęcia historyczne związane są najściślej ze stanem świadomości, z emocjami epoki, w której powstały, choć w latach późniejszych bardzo często zmieniają

znaczenie, gdyż zawsze istniała pokusa „aktualizacji” do konkretnych potrzeb. Otóż epoka powstania styczniowego dostarczyła chyba najwięcej przykładów żywotności pojęć i symboli, które wpływały na kształtowanie się wiedzy potocznej (nawet emocjonalnego stosunku do powstania), rodziły czarno-białe stereotypy, inspirowały twórców sztuki (zwłaszcza malarstwa), ale także używane były (np. przed 1914) do bieżącej walki politycznej.

Jednym z nich było pojęcie „rewolucji moralnej”, którym w 1861 określano postawę mieszkańców Warszawy, a wkrótce tej części społeczeństwa polskiego na ziemiach zaboru rosyjskiego, które czynnie manifestowało dążenia do niezależności, o zdecydowanie antyrosyjskim charakterze, w istocie niepodległościowe, choć jeszcze nie powstańcze. Istotnym zjawiskiem był fakt, iż kiedy władze rosyjskie użyły wojska i na Pl. Zamkowym oraz Krakowskim Przedmieściu w Warszawie padło kilkudziesięciu zabitych oraz kilkuset rannych, manifestujący w uniesieniu gotowi byli na największe ofiary w myśl hasła „gińmy za Ojczyznę”. Wrażenie tych wydarzeń w kraju oraz zagranicą było olbrzymie, a obserwowana pewna ustępliwość władz carskich, zrodziła przekonanie, iż manifestacje to nie tylko sposób mobilizacji społeczeństwa polskiego, ale także dobry instrument nacisku na Rosję. Zwłaszcza, że opinia europejska potępiała władze rosyjskie za brutalne traktowanie pokojowych manifestacji polskich.

Bez wątpienia ruch polski określany jako „rewolucja moralna” miał znaczny wpływ na rozwój dążeń powstańczych, choćby z tego względu, że dawał oparcie tym, którzy tworzyli pierwsze konspiracyjne organizacje, już z programem powstańczym. W październiku 1861, kiedy na patriotyczne manifestacje Rosjanie odpowiedzieli atakiem na kościoły i

szerokimi aresztowaniami w Warszawie, utworzono Komitet Ruchu, z którego w czerwcu 1862 powstał Komitet Centralny Narodowy przygotowujący powstanie.

Czy powstania styczniowego można było uniknąć?

Toczy się o to spór właściwie od 1863 roku! I od tego czasu pod pozorem dyskusji historycznej przekształcał się w debatę ideowo-polityczną z bardzo silnymi wątkami „aktualizującymi”, mającymi służyć jakimś celom całkiem współczesnym. Ale też odpowiedź nie jest ani prosta, ani łatwa. Pewne sprawy, które determinowały wybuch powstania, poruszyłem już wcześniej. Tu wspomnieć należy o powszechnym przekonaniu, że Rosja osłabiona po wojnie krymskiej będzie musiała cofnąć się pod naciskiem opinii europejskiej, a w końcu groźbą wojny ze strony mocarstw i że w samej Rosji dojdzie do buntu chłopskiego.

Wiadomo było również, że sprawie polskiej sprzyja europejski ruch rewolucyjny i narodowy, że wreszcie – czas najwyższy, aby przez odbudowę polskiej niepodległości naprawić zbrodnie rozbiorów. Był to bardzo silny splot aspiracji, obowiązku walki o wolność tak, jak go wówczas rozumiano oraz kalkulacji opartych na analogiach, zwłaszcza zwycięstwa ruchu włoskiego, który w latach 1859-1861 przyniósł utworzenie zjednoczonych Włoch. Moim zdaniem powstania jako takiego uniknąć się nie dało, ale co więcej – nie dało się także uniknąć jego wybuchu w chwili, kiedy przygotowania były dopiero w początkowej fazie. Wiadomo, że Komitet Centralny Narodowy zakładał możliwość podjęcia walki zbrojnej na wiosnę 1863, ale była to ogólna dyrektywa, bez wyznaczania daty. Wiedział o tym także Wielopolski i postanowił sprowokować głównego wroga, jakim dla jego koncepcji

politycznej ugody z Rosją była Organizacja Narodowa, do podjęcia walki w narzuconym przez siebie terminie, słowem: nie czekać biernie na wybuch, ale przejąć inicjatywę polityczną. To jest geneza i istota „branki”.

Wielopolski dobrze wiedział, że taka prowokacja zmusi KCN do akcji, a tym, którzy go ostrzegali przed ryzykiem takiego kroku mówił: „Wrzód zebrał i rozciąć go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić”. Ruch, Organizacja Narodowa kierowana przez KCN, cofnąć się nie mógł, prowokacja się udała. Tyle, że uruchomiony został bieg wydarzeń, nad którymi Margrabia w żadnym przypadku nie mógł zapanować.



Reformy margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i jego stanowisko wobec Rosji do dziś oceniane są niejednoznacznie, a niekiedy skrajnie. Czy Wielopolski był narodowym zdrajcą czy może skutecznym politykiem,

wyprzedzającym swą epokę? Dlaczego jego ocena nie jest taka prosta?

W jakiejś części odpowiedziałem na to pytanie mówiąc o „prowokacji przez brankę”. Trudno mówić o wielkości politycznej Wielopolskiego, który z premedytacją użył prowokacji jako narzędzia taktyki rządzenia społeczeństwem dążącym do niepodległości, nawet jeśli dwa główne stronnictwa – biali i czerwoni – różnili się co do drogi na jakiej tą niepodległość można będzie odzyskać. Przywykło się podkreślać „ciężar gatunkowy” tych koncesji i reform, jakie dzięki ugodowemu programowi Wielopolskiego wprowadzono w latach 1861-1862 w Królestwie Polskim: polskie szkolnictwo ze Szkołą Główną Warszawską na czele, spolszczenie administracji, zaczątki samorządu, równouprawnienie Żydów, a nawet program przymusowego oczyszczania, choć to ostatnie było rozwiązaniem społeczno-gospodarczym gorszym od uwłaszczenia, za którym opowiadał się obóz niepodległościowy.

Tyle, że były to koncesje z łaski cara, niegwarantowane konstytucyjnie, czego żądali biali. Petersburg w istocie traktował Margrabiego jako bardzo przydatnego

realizatora swojej polityki wobec Polaków. Intencje cara Aleksandra II dobrze oddawał list do brata, wks Konstantego wysłanego do Warszawy w charakterze namiestnika: „Królestwo Polskie w jego obecnych granicach powinno na zawsze pozostać własnością Rosji”. Polska „nie powinna być ciężarem dla Rosji, lecz przynosić jej pożytek”, głównie „służąc jej jako więź z resztą Europy”. Ustępstwa są ostateczne. To jest rosyjska „rękojmia pojednania”. O dalszych ulgach „nawet mowy być nie może, a w szczególności ani o konstytucji ani o armii narodowej. [...] Zgodzić się na to oznaczałoby wyrzeczenie się Polski i uznanie jej niepodległości ze wszystkimi jej zgubnymi konsekwencjami dla Rosji, tj. oderwanie się od niej tego wszystkiego, co kiedyś było podbite przez Polskę i co do dziś polscy patrioci uważają za swoją własność”.

Car uważał, że należy utrzymać stan wojenny i zalecał Konstantemu, by Wielopolskiemu nie ustępował w niczym „co nie będzie w zgodzie z ogólnym interesem rządu i monarchii”. Margrabia właściwie nie rozumiał, że uzyskane koncesje zawdzięczał polskiemu ruchowi niepodległościowemu, który w Petersburgu uznano za groźny dla Rosji i zdecydowano się na taktyczne „primirenie” by zażegnać niebezpieczeństwo, ale także dokonać podziału w społeczeństwie polskim.

Rozmawiała Ewelina Szpak

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Fotograficzny portret powstańców styczniowych

Partyzancki i konspiracyjny charakter powstania styczniowego, rozpoczętego 22 stycznia 1863 r., wyjątkowo nie sprzyjał tworzeniu dokumentacji fotograficznej. Pomijając bitwy, których fotografowanie nie było wówczas w ogóle możliwe, nie mamy zdjęć krajobrazów pól bitewnych, scen z życia obozowego, ani nawet portretów wykonanych w warunkach obozowych, porównywalnych do fotografii z wojny krymskiej (1853-1856), czy wojny secesyjnej (1861-1865).

W latach 60. XIX w. fotograf, aby wykonać zdjęcie musiał dysponować sprzętem i laboratorium na tyle dużym, że trudno byłoby się z nim bezpiecznie przemieszczać w warunkach wojny partyzanckiej. Mimo to powstanie styczniowe miało swoich fotografów i pozostała związana z nim oryginalna ikonografia fotograficzna. Zalicza się do niej zdjęcia z okresu od początku ruchu patriotycznego w 1860 r. do XX w., kiedy żyli jeszcze weterani powstania.



Young de Blankeheim Leon (ok. 1837-1863) - ochotnik z armii francuskiej



To samo zdjęcie, na którym mundur przerobiony został na ubiór powstańczy z pozostawieniem orderu

Według wielu historyków fotografii, powstanie, a ściślej dwuletni okres politycznego wrzenia poprzedzający jego wybuch, to przełom w dziejach polskiej fotografii - narodziła się wówczas fotografia polityczna, używana jako instrument oddziaływania na opinię publiczną. Jej twórcą był wybitny warszawski fotograf Karol Beyer, a zdjęciem o największej sile oddziaływania, uznanym nawet przez część historyków i fotografów za najważniejsze zdjęcie polskie powstałe w ciągu 150 lat od wynalezienia fotografii (umowna data 1839 r.), jest tableau pięciu poległych.



Tableau z pośmiertnymi fotografiami pięciu poległych podczas manifestacji
27 II 1861 r. w Warszawie

Jest to kompozycja ze zdjęć pięciu ofiar manifestacji patriotycznej, jaka miała miejsce na pl. Zamkowym w Warszawie 27 lutego 1861 r. O prawdopodobnych okolicznościach powstania czterech z tych zdjęć pisał na pocz. XX w. rosyjski historyk N. Berg: Był tam [w Hotelu Europejskim, gdzie złożono ciała] także ze swym aparatem narodowy fotograf Bayer i zdytał wizerunki z zabitych w całej grozie i wspaniałości, z ziejącymi ranami. Choć trudno mieć pewność co do prawdziwości opinii, że było to zdjęcie rozpowszechnione w największej liczbie egzemplarzy we wszystkich zaborach, a tym bardziej jednoznacznie wypowiedać się o sile jego wpływu na rozbudzanie uczuć patriotycznych, jak się niekiedy pisze, pozostaje faktem, że Beyer świadomie dokumentował wydarzenia, w których zresztą sam brał czynny udział (był członkiem Delegacji Miejskiej). Doskonale zdawał sobie sprawę z możliwości nowego medium, o czym świadczy nie tylko fotografowanie bohaterów ówczesnych wydarzeń, ale tworzenie fotografii na użytek publiczny (na przykład zrobił i rozpowszechnił fotomontażowe zdjęcie zbiorowe Delegacji Miejskiej). Mimo że powstanie spędził ostatecznie na Syberii zasłużenie może uchodzić za jego fotografa (jest autorem m.in. zdjęć członków Delegacji, członków Straży Bezpieczeństwa, procesji, pogrzebów w okresie manifestacji patriotycznych).

Również w czasie powstania rozpowszechniano (sprzedawano, rozdawano), wykonane w różnym czasie i w różnych zakładach fotograficznych, zdjęcia (oryginały lub refotografie) wielu sławnych powstańców. Dużym zainteresowaniem cieszyły się na przykład fotografie Mariana Langiewicza, czy adiutantki Heleny Pustowójtówny, zwłaszcza te w mundurze powstańczym i z bronią, zrobione w zakładzie fotograficznym w Pradze czeskiej,

już po opuszczeniu powstania. Zdjęciami wielu bohaterów powstania handlowano jeszcze wiele lat po jego upadku.

Jednak największą liczbę fotografii z 1863 r. stanowią portrety szeregowych powstańców, robione najczęściej przed wyjazdem do oddziału.



Grupa zuawów śmierci

Miejsce w historii fotografii powstańczej zyskał dzięki takim właśnie zdjęciom Walery Rzewuski z Krakowa. Fotografował w swoim zakładzie, na tle odpowiedniej kotary imitującej krajobraz, ubranych w powstańczy strój (często była to czamara, rogatywka, szerokie spodnie

wpuszczone w buty z długimi cholewami i oczywiście broń), szykujących się do walki mężczyzn. Można powiedzieć, że swoją powstańczą przygodę zaczęli od krawca i fotografa. Ich zdjęcia, dawane na pamiątkę, nabrały szczególnego znaczenia po upadku powstania, zwłaszcza dla tych rodzin, którym musiały zastąpić bliskich - poległych lub straconych w powstaniu, czy zesłanych na długie lata na Sybir.

Historycy fotografii skrupulatnie zbadali powstańcze atrybuty portretowanych osób i wydaje się, że część z nich, zwłaszcza broń stanowiła wyposażenie atelier Rzewuskiego. Niekiedy dokonywano retuszu zdjęcia, jak to zrobił niezidentyfikowany autor fotografii młodego francuskiego ochotnika Leona de Blankenheima Younga (poległego pod Brdowem w kwietniu 1863 r.); przerobił na zdjęciu obcy mundur na ubiór powstańczy i domalował buty, tak aby spodnie były wpuszczone w cholewy.



Weterani u Marszałka Józefa Piłsudskiego w 70. rocznicę powstania, 1933 r.
(w specjalnie dla nich zaprojektowanych mundurach)

Walery Rzewuski z nieznanymi nam bliżej powodów stracił szansę na miano fotografa wojennego. Wiadomo, że był krótko w obozie Langiewiczza w Sosnowcu, dokąd przywiózł brata, ale żadne ewentualne zdjęcia z tej eskapady nie są znane. Nie mamy też wątpliwości, że zdjęcie grupy żuawów przygotowujących posiłek nie powstało w obozowych warunkach, jak by się można spodziewać, a na podwórku domu, gdzie fotograf miał swój zakład: Około Wielkanocy, przyszła któremuś z kolegów myśl, abyśmy my żuawi dali się fotografować w grupie. Tak też się stało. Walery Rzewuski, ówczesny krakowski fotograf, artysta i zacięty patriota, przyjął myśl przychylnie i odfotografował nas, zdaje mi się cztery razy, na swym podwórku, ustawionych w grupach niby po obozowemu – wspominał jeden z uczestników tej sesji zdjęciowej, Stanisław Grzegorzewski (na zdjęciu skubie gęś, jak zidentyfikowała Wanda Mossakowska, za której książką - Walery Rzewuski (1837-1888) fotograf. Studium warsztatu i twórczości – ten cytat powtarzam).

Do przybliżenia scen bitewnych i scen z życia powstańców wykorzystywano natomiast fotografię jako technikę powielania. Rysunki, obrazy, liczne ilustracje (drzeworyty) ukazujące się w prasie zagranicznej fotografowano i odbitki rozpowszechniano. Również w technice fotograficznej rozpowszechniano słynne cykle rysunków Artura Grottgera.

Warto na koniec wspomnieć, że fotografią powstańców interesowali się także Rosjanie, którym służyła do identyfikowania uczestników powstania. Znawczyni powstańczej fotografii Krystyna Lejko cytuje wspomnienie Feliksa Riedla z przesłuchiwania go jako naocznego świadka śmierci Marcina Borelowskiego ps. Lelewel: Żądali ode mnie dokładnego tegoż odmalowania, aby porównując ten opis z jego fotografią poznali, czy są zgodne między sobą. Moskale bowiem, jak Lelewela, tak prawie wszystkich naszych dowódców mieli fotografie.

Jolanta Sikorska-Kulesza

Fotografie:

- Leon de Blankenheim Young [z: Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy. Katalog fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, cz. 1 Powstanie styczniowe, oprac. Krystyna Lejko, Warszawa 2004]
- Tableau z pośmiertnymi fotografiami pięciu poległych podczas manifestacji 27 II 1861 r. w Warszawie (internet)
- Grupa żuawów śmierci (internet)
- Weterani u Marszałka Józefa Piłsudskiego w 70. rocznicę powstania, 1933 r. (weterani w specjalnie dla nich zaprojektowanych mundurach) [z: Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy. Katalog fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, cz. 1 Powstanie styczniowe, oprac. Krystyna Lejko, Warszawa 2004]

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Miejsce pamiętników i wspomnień w badaniach nad powstaniem styczniowym

Wspomnienia i pamiętniki są niezwykle ważnym źródłem do badań nad dziejami powstania styczniowego. Wynika to z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że w niewielkim stopniu zachowały się druki i rozporządzenia Rządu Narodowego działającego nielegalnie. Po drugie zaś dlatego, że autorzy wspomnień uwzględniali zarówno sprawy wojskowe, jak i społeczne, a obydwie te zagadnienia w dalszym ciągu interesują historyków powstania styczniowego.

Autorami pamiętników byli z jednej strony ludzie, którzy przeszli kampanię zbrojną, a czasami i Syberię, z drugiej zaś osoby pracujące w organizacji cywilnej powstania. Relacje pierwszych dają możliwość odtworzenia przebiegu części bitew i potyczek spośród ponad 1200 stoczonych w czasie powstańczego zrywu. Ponadto umożliwiają odtworzenie atmosfery panującej w poszczególnych oddziałach partyzanckich i w ogóle codziennego życia obozowego. Trudno byłoby odtworzyć atmosferę tzw. republiki wachockiej powstałej w wyniku działań zbrojnych Mariana Langiewicza na przełomie stycznia i lutego 1863 roku, gdyby historyk nie dysponował pamiętnikami Jadwigi Prendowskiej, kurierki Langiewicza. Trudno też byłoby odtworzyć kampanię Langiewicza, gdyby nie szereg wspomnień opublikowanych w wydawnictwie *W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego 1863-1903* (Lwów 1903).

Niektóre pamiętniki pozwalają z dużą dokładnością odtworzyć przebieg działań zbrojnych oddziału, w którym służyli. Tak się rzecz ma chociażby w przypadku oddziału Dionizego Czachowskiego w województwie sandomierskim, Zygmunta Chmieleńskiego w województwie krakowskim czy Józefa Oxińskiego w województwie kaliskim.



Pamiętniki i wspomnienia są przydatne w badaniu postaw wszystkich warstw i grup społeczeństwa wobec toczącej się walki. Trudno byłoby oceniać postawę ziemiaństwa, mieszczaństwa, chłopów czy księży, gdyby historyk nie dysponował pamiętnikami z tamtych lat. Oceny postaw wyrażone przez niektórych autorów pamiętników czasami bywają przejawiskrawione w jedną czy drugą stronę i o tym historyk musi pamiętać. Niemniej jednak dostarczają one wiele cennych informacji o zachowaniu się wybranych przedstawicieli poszczególnych warstw społecznych wobec toczącej się walki.

Wspominano, że pewna grupa uczestników walki 1863 roku znalazła się później na Syberii. Pamiętniki tych osób mają szczególną wartość, bo z jednej strony ukazują cierpienie, jakiego doznali za to, że upomnieli się o niepodległą ojczyznę, a z drugiej stanowią ważne źródło do określenia wkładu zesłańców postyczniowych w rozwój gospodarczy i kulturalny Syberii.

Powstanie Styczniowe jest żywe nie tylko w badaniach historycznych, ale w pamięci Polaków. Od początku lat 90. XX wieku obserwujemy intensyfikację działań organizacji regionalnych, które starają się pielęgnować mogiły, kopce i krzyże z czasów walki 1863 roku. I w ten oto sposób wokół wydarzeń sprzed 150 laty kształtują się tzw. małe ojczyzny, mające istotny wpływ na utrwalanie się tkanki narodowej. Wszyscy ci, którzy starają się pielęgnować tradycje 1863 roku sięgają do zachowanych relacji pamiętnikarskich. Pamiętniki i wspomnienia są dla nich niejednokrotnie podstawowym źródłem do odtworzenia wydarzeń, jakie miały miejsce w 1863 roku w ich małej ojczyźnie.

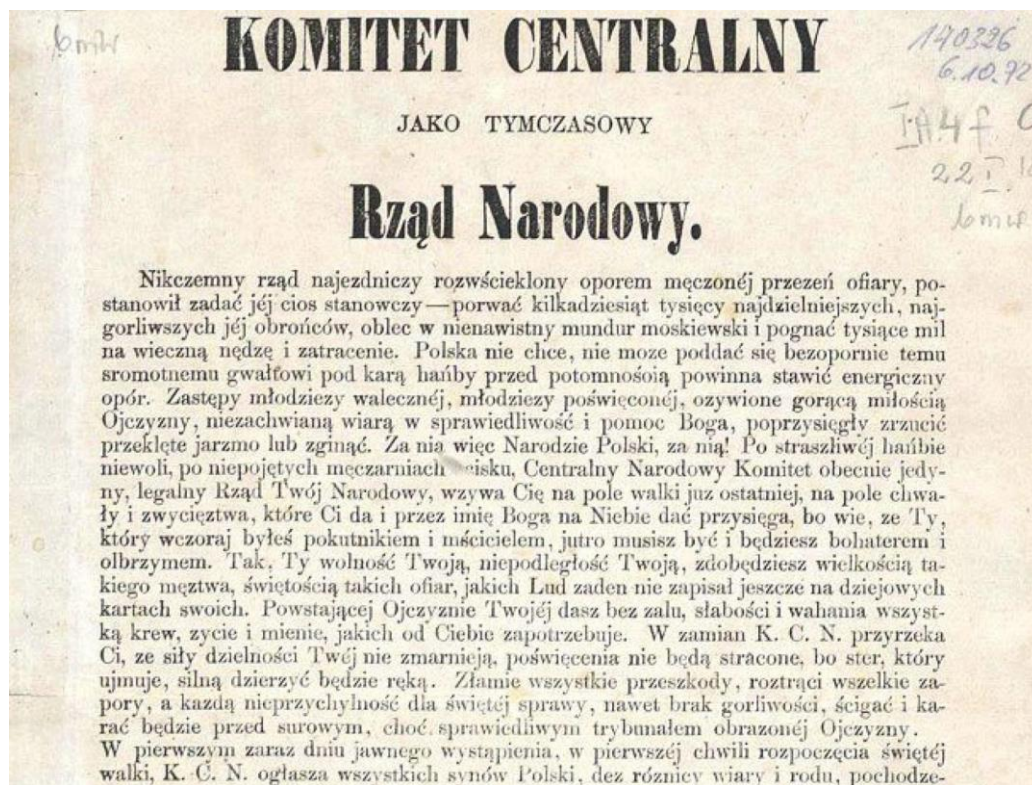
Liczba opublikowanych pamiętników i wspomnień odnoszących się do Powstania Styczniowego jest naprawdę duża, ale nie oznacza to, że wszystkie z nich zostały opublikowane. Wiele rękopisów wspomnień do dziś przechowywanych jest w archiwach rosyjskich, zwłaszcza syberyjskich. Autorami tych pamiętników byli powstańcy, którzy po odbyciu 10, czy 20 letniej kary, zdecydowali się na pozostanie na Syberii, bo czasami zwyczajnie założyli rodziny. Pamiętniki te odkrywają historycy rosyjscy podejmujący tematykę wkładu zesłańców postyczniowych w rozwój cywilizacyjny Syberii. Pewna grupa tych historyków to potomkowie postyczniowych zesłańców. Mam nadzieję, że niektóre z tych rękopisów zostaną opublikowane w Polsce.

Prezentowana kolekcja wspomnień uczestników Powstania oraz oparte w dużej mierze na właśnie na wspomnieniach dzieła Walerego Przyborowskiego ukazały się wiele dziesięcioleci temu i są już dziś trudno dostępne szczególnie dla amatorów historii chcących poznać dzieje swoich małych ojczyzn. Mam nadzieję, że prezentowana tu kolekcja ułatwi miłośnikom historii dotarcie do wielu zapomnianych już dziś epizodów Powstania Styczniowego.

prof. dr hab. Wiesław Caban

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Powstanie styczniowe



Powstanie 1863-1864 było najdłuższym zrywem niepodległościowym w epoce porozbiorowej. Do walki wciągnęło wszystkie warstwy społeczeństwa, odcisnęło się silnie na ówczesnych stosunkach międzynarodowych, a wreszcie spowodowało ogromny przełom społeczny i ideowy w dziejach narodowych, co wywarło decydujący wpływ na rozwój nowoczesnego społeczeństwa polskiego.

Oslabienie Rosji po klęsce w wojnie krymskiej doprowadziło do liberalizacji jej polityki wewnętrznej. Nadzieje na szersze koncesje car Aleksander II w 1856 r. przeciął słowami „żadnych marzeń”. Patriotyczne kręgi liberalno-konserwatywne, głównie ziemiańskie, skupione wokół Andrzeja Zamoyskiego, liczyły na przywrócenie w Królestwie Polskim statusu konstytucyjnego sprzed 1830 r., natomiast demokratyzujące

środowiska młodzieży i części mieszczaństwa, ośmielone osłabieniem Rosji i zwycięstwem włoskiego ruchu narodowego, wysuwały hasła niepodległościowe. Pierwsi jako umiarkowani zyskali nazwę „białych”, drudzy „czerwonych”. Najważniejszym problemem była „kwestia włościańska”, czyli likwidacja pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów. Koła ziemiańskie godziły się na uwłaszczenie za

odszkodowaniem, zaś ruch demokratyczny żądał uwłaszczenia bezwarunkowego, widząc w tym warunek zwycięskiego powstania przeciw Rosji.

Namioty żołnierzy rosyjskich na Placu Zamkowym w Warszawie po wprowadzeniu stanu wojennego w Królestwie Polskim w 1861 roku

W 1860 r. czerwoni zainicjowali manifestacje religijno-patriotyczne. Jednocześnie konsolidowały się młodzieżowe kółka konspiracyjne. Zaatakowanie przez wojsko rosyjskie 27 lutego 1861 manifestacji w rocznicę bitwy grochowskiej przyniosło pierwsze krwawe ofiary: na pl. Zamkowym padło pięciu zabitych. Władze w obawie przed spontanicznym wybuchem walk zgodziły się na przyjęcie petycji z żądaniem zmiany systemu rządów, którą Aleksander II określił jako zuchwalstwo, ale ostatecznie zgodził się na desygnowanie Aleksandra Wielopolskiego na stanowisko dyrektora Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i zapowiedział utworzenie Rady Stanu oraz samorządu miejskiego i powiatowego. Te ustępstwa nie powstrzymały manifestacji. 8 kwietnia 1861 r. od kul Rosjan padło 200 zabitych i około 500 rannych. W Warszawie wprowadzono stan wojenny, rozpoczęły się brutalne represje, organizatorów manifestacji w Warszawie i Wilnie deportowano w głąb Rosji. Przyspieszyło to konsolidację konspiracji: 17 października 1861 utworzony został Komitet Ruchu (Miejski), a w czerwcu 1862 Komitet Centralny Narodowy.

KCN kierował Organizacją Narodową, która tworzyła struktury tajnego państwa polskiego. W planach KCN było powstanie nie wcześniej niż na wiosnę 1863 r. Jednakże „branka” do armii rosyjskiej w połowie stycznia 1863, którą prowokacyjnie zaplanował Wielopolski, zmusiła KCN do wezwania do powstania

w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. Manifest oraz dekrety Rządu Narodowego ogłaszały bezwarunkowe uwłaszczenie chłopów oraz walkę z Rosją o niepodległą, demokratyczną Polskę w granicach przedrozbiorowych.

W styczniu 1863 powstanie obejmowało Królestwo Polskie, w lutym rozszerzyło się na Litwę, w kwietniu i maju sięgnęło okolic Dynaburga i Witebska oraz guberni kijowskiej i wołyńskiej. Z Galicji i zaboru pruskiego napływali ochotnicy, broń i zaopatrzenie. Przybyli też ochotnicy z Włoch, Węgier, Francji, a także Rosji. Najpoważniejszym zawodem była bierna postawa chłopów. Dekret uwłaszczeniowy bez wcześniejszej ideowej agitacji nie odegrał roli mobilizacyjnej, jednakże w rejonach opanowanych przez polskie oddziały udział chłopów stopniowo wzrastał. Ochotnicy pochodzili z ludu miejskiego, szlachty zaściankowej, robotników, inteligencji, młodzieży gimnazjalnej i studenckiej. Późną wiosną i latem 1863 walczyło do 35 tys. powstańców, mając przeciwko sobie w samym tylko Królestwie 145 tys. Rosjan. Tajemnym państwem polskim kierował RN. Podlegała mu cywilna i wojskowa organizacja terenowa. Powstańcą dyplomacją z centralą w Paryżu kierował Władysław Czartoryski.

Wybuch walk, a zwłaszcza to, iż Rosjanie już w pierwszych dniach nie stłumili „ruchawki poborowych”, zaskoczył stolicę zachodnie, a opinia publiczna zareagowała sympatią dla Polaków. W Paryżu, Londynie i Wiedniu, a także w Petersburgu wiedziano, że kryzys może przekształcić się w nową wojnę z Rosją. Dyplomacja rosyjska twierdziła, iż powstanie to jej sprawa wewnętrzna, a ruch polski wymierzony jest w porządek europejski. Jednakże ujawnienie rosyjsko-pruskiej konwencji z 8 II 1863 o solidarnej walce z Polakami umiędzynarodowiło powstanie i umożliwiło mocarstwom zachodnim przejęcie inicjatywy dyplomatycznej –

przede wszystkim dla własnych celów. Napoleon III, owładnięty ideą oparcia granic na Renie, skierował atak polityczny przeciw Prusom, dążąc do sprowokowania wojny, i zabiegał o sojusz z Austrią. Wielka Brytania nie zamierzała dopuścić do wojny Francji z Prusami, blokowała możliwość sojuszu francusko-austriackiego i dążyła do rozbicia porozumienia francusko-rosyjskiego. Austria rywalizowała z Prusami o prymat w Niemczech, ale odrzuciła francuskie oferty sojuszu, by nie wspierać Napoleona III kosztem interesów niemieckich. O militarnej pomocy, na którą liczyli Polacy, nie mówiono, choć Napoleon III zachęcał do kontynuowania powstania.

Francja, Anglia i Austria uzgodniły koncepcję dyplomatycznej interwencji w obronie praw Polaków i w kwietniu wystosowały noty utrzymane jednak tylko w tonie perswazji. RN spodziewał się, że rozwój powstania będzie popychał mocarstwa do konfliktu zbrojnego. Toteż polskie akcje dyplomatyczne zmierzały do skłonienia Francji, Anglii i Austrii do militarnego wsparcia Polski. Podkreślano zwłaszcza, że odbudowa niepodległej Polski jest warunkiem zbudowania trwałego pokoju w Europie.

Petersburg widząc, że nie grozi nowa wojna, pozostawiał drzwi otwarte do negocjacji, ale zdecydowanie negował prawo mocarstw do interwencji. W czerwcu 1863 mocarstwa zachodnie sformułowały warunki: amnestii dla powstańców, utworzenia przedstawicielstwa narodowego i rozszerzenia koncesji autonomicznych w Królestwie, konferencji sygnatariuszy traktatu 1815 r., a na czas jej trwania zawieszenie broni. I tym razem było to dalekie od polskich oczekiwań. Liczono jednak, że odrzucenie tych żądań skłoni Francję, Anglię i Austrię do stanowczych kroków, w tym do uznania Polaków za stronę walczącą. Aleksander II i jego ministrowie, świadomi ryzyka wojny, ale

pewni poparcia społeczeństwa, odrzucili noty mocarstw. Francja i Anglia uznały to za obelgę, jednak nie odważyły się na podjęcie wyzwania. Ten brak stanowczości pozwolił Rosji na przeciąganie negocjacji do sierpnia, a następnie ich zerwanie we wrześniu, kiedy groźba wojny z Zachodem minęła.

„Walka powstańcza” obraz Michała Elwiro Andriolli

Fiasko interwencji przesądzało o politycznej klęsce powstania. Polacy mogli ze zmiennym szczęściem walczyć z wojskami rosyjskim, ale nie mieli szans na ostateczny sukces. Klęską zakończyła się kampania gen. Zygmunta Sierakowskiego na Litwie (IV-V 1863), a on sam został stracony w Wilnie. Powstanie na ziemiach litewskich i białoruskich trwało wprawdzie do 1864 r., ale były to tylko działania partyzantki leśnej. Katastrofę przyniosła próba powstania na Kijowszczyźnie w maju 1863: chłopcy wymordowali oddział młodzieży uniwersyteckiej. Jedynie na Wołyniu płk Edmund Różycki odniósł kilka zwycięstw, ale musiał wycofać się do Galicji, co kończyło walki powstańcze na Ukrainie.

Objęcie władzy przez Romualda Traugutta 17 X 1863 podtrzymało walkę, a reorganizacja powstańczych zmierzała do ofensywy wiosną 1864 w oczekiwaniu na wojnę europejską. Zimą 1864 działania trwały głównie w południowej części Królestwa, graniczącej z Galicją, skąd docierała pomoc. W końcu grudnia 1863 na Lubelszczyźnie rozbity został oddział gen. Kruka-Heydenreicha. Najsilniejszym ośrodkiem powstańczym pozostał rejon Gór Świętokrzyskich, gdzie dowodził gen. Bosak, lecz jego zgrupowanie poniosło 21 lutego klęskę, co zapowiadało już kres powstania zbrojnego. Austria wprowadziła 29 lutego stan wojenny w Galicji, a 2 marca władze carskie ogłosiły uwłaszczenie chłopów w Królestwie

Polskim: te dwa fakty przekreśliły koncepcję Traugutta rozwinięcia powstania z wykorzystaniem pospolitego ruszenia w zaborze rosyjskim i pomocy z Galicji. W kwietniu 1864 Napoleon III wycofał się z wspierania sprawy polskiej, a W. Czartoryski pisał do Traugutta: „Jesteśmy sami, pozostaniemy sami.”

Aresztowania szczybiły ogniwa tajemnego państwa polskiego, inni zagrożeni ujęciem uchodzili za granicę. Traugutt pozostał do końca: został aresztowany w nocy z 10 na 11 kwietnia. Stracenie 5 sierpnia 1864 na stokach Cytadeli członków ostatniego RN: Traugutta, Antoniego Jeziorańskiego, Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego i Romana Żulińskiego, symbolicznie zamykało powstanie. Do grudnia 1864 wymykał się policji Aleksander Waszkowski, powstańczy Naczelnik Warszawy, a ujęty podzielił w lutym 1865 los setek straconych. „Kryjaki”, jak ks. Stanisław Brzózka na Podlasiu, trwali do wiosny 1865.

W czasie powstania wojska rosyjskie stosowały odpowiedzialność zbiorową wobec mieszkańców wspierających polskie oddziały. Szczególnie krwawymi represjami na Litwie zapisał się gen.-gub. M. Murawiew, który zasłużył na przydomek „Wieszatiel”. Przez polskie szeregi przeszło ponad 50 tys. ludzi. Na obszarze objętym powstaniem od Proсны po Dźwinę i Dniepr stoczono nie mniej niż

1200 bitew i potyczek, zginęło blisko 20 tys. powstańców, Rosjanie wykonali przynajmniej 669 wyroków śmierci, na zesłanie, nie licząc tysięcy karnie wcielonych do wojska, wywieziono 38 tys., z czego ok. 20 tys. na Syberię, w tym 4 tys. na katorgę. Na emigracji znalazło się około 10 tys. powstańców, których część po kilku latach osiadła w Galicji. Konfiskaty majątków i wysokie kontrybucje dotknęły ziemiaństwo, zwłaszcza na Litwie. Powstanie styczniowe wywołało falę antypolskiego szowinizmu w społeczeństwie rosyjskim. Umocniło to kurs reakcji i represji, unifikacji administracyjnej Królestwa z Cesarstwem, rusyfikacji ziem polskich, tłumienia życia politycznego i społecznego. Konflikty między mocarstwami w okresie interwencji dyplomatycznej zaciążyły na układzie sił na arenie międzynarodowej. Sprawa polska na 50 lat zepchnięta została ze sceny międzynarodowej.

Kłęska i represje w zaborze rosyjskim wywołały ostrą krytykę powstania ze strony kół konserwatywno-ugodowych, z drugiej zaś strony do tradycji roku 1863 nawiązywał odradzający się ruch niepodległościowy. Powstanie styczniowe wywarło wielki wpływ na kształtowanie się świadomości narodowej mas ludowych oraz postaw i programów politycznych przed 1918 r.

prof. Jerzy Zdrada

Pełna wersja niniejszego tekstu dostępna jest w książce „[Węzły pamięci niepodległej Polski](#)”, którą wydało Muzeum Historii Polski.

Ilustracja w tle: Artur Grottger, Bitwa, grafika z cyklu Polonia, 1863, [domena publiczna](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Powstanie styczniowe na żelaznych drogach

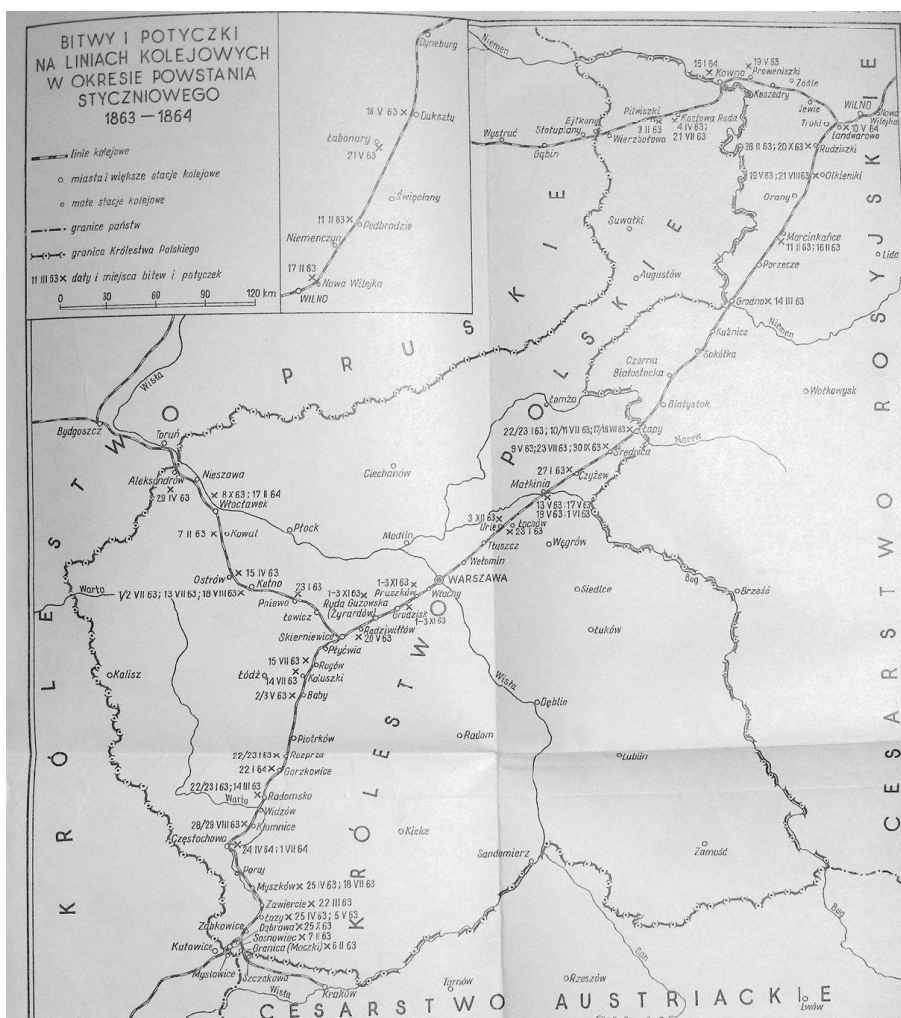
ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW OSOBOWYCH NA DRODZE ŻELAZNÉJ WARSZAWSKO-WIEDEŃSKIÉJ od dnia 15 września 1850 roku.					
W kierunku od Warszawy.		POCIĄGI ODCHODZĄ:		W kierunku do Warszawy.	
1. Do Granicy i Łowicza.	2. Do Granicy.	3. Do Łowicza.	4. Do Warszawy i Łow.	5. Do Warszawy.	6. Do Warszawy.
z Warszawy o g. 7 30 rano	z Warszawy o g. 1 po poł.	z Warszawy o g. 4 po „	Osoby jadące z Wrocławia, Berlina, Hamburga i t. d. po przedpieniu nocy w Mysłowicach przybywają na ten pociąg do stacji Granica.	Osoby jadące z Wiednia lub z Wrocławia, toż wyjeżdżające z Krakowa o godzinie 10 rano, przybywają na ten pociąg do stacji Granica.	z Łowicza . . o g. 7 15 rano
z Pruszkowa . . . 7 55	z Pruszkowa . . . 1 30	z Pruszkowa . . . 4 25 „	Osoby wyjeżdżające z Krakowa o godzinie 3 1/2 po południu przybywają do stacji Granica o godzinie 6 wieczór i następnie tym pociągiem w dalszą udają się podróż.	z Granicy . . o g. 5 po poł.	ze Skierniewic „ 8 5 „
z Grodziska . . . 8 25	z Grodziska . . . 1 55	z Brwinowa . . . 4 40 „	z Granicy . . o g. 9 rano	z Żółkowiec . . . 5 30 „	z Radziwiłłowa „ 9 20 „
z Rudy 8 55	z Rudy 2 25	z Grodziska . . . 5 „	ze Strzem: „ 9 10 „	z Łazów 5 50 „	z Rudy 8 50 „
z Radziwiłło: . . 9 15	z Radziwiłło . . . 2 45	z Rudy 5 25 „	z Żółkowiec . . . 9 30 „	z Zawiercia . . . 6 5 „	z Grodziska . . . 9 15 „
Do Łowic. } ze „ 9 45	ze Skierniewic . . . 3 25	z Radziwiłłowa „ 5 45 „	z Łazów 9 55 „	z Myszkowa . . . 6 30 „	z Brwinowa . . . 9 30 „
o Gran. {Skier. „ 9 50	z Rogowa 4 20	z Skierniewic „ 6 25 „	z Zawiercia „ 10 5 „	z Poraja 6 55 „	z Pruszkowa . . . 9 45 „
z Płyćwi 10 15	z Rokicin 4 55	z Brwinowa . . . 6 40 „	z Myszkowa . . . 10 30 „	Przych. do Częst. „ 7 30 „	
z Rogowa 10 50	z Bab (Małach) „ 5 20	z Grodziska . . . 5 „	z Poraja 10 55 „	nocuje.	
z Rokicin 11 20	z Piotrkowa . . . 6 20	z Rudy 5 25 „	z Częstoch. „ 11 40 „	z Częstoch. . o g. 6 30	
z Bab (Małach) „ 11 50	z Rozprz. 6 40	z Grodziska . . . 5 „	z Kłomnicy . . . 12 15 po po.	z Kłomnicy . . . 7 5 „	
z Piotrkowa . . . 12 50 po po.	z Gorzkowic . . . 7	z Rudy 5 25 „	z Myszkowa . . . 12 30 po.	z Radomska . . . 7 40 „	
z Gorzkowic . . . 1 30	z Kamieńs . . . 7 15	z Radziwiłłowa „ 5 45 „	z Poraja 10 55 „	z Kawieńska . . . 8 5 „	
z Radomska . . . 2 10	z Radomska . . . 7 45	z Grodziska . . . 5 „	z Częstoch. „ 11 40 „	z Gorzkowic . . . 8 20 „	
z Kłomnicy . . . 2 45	z Kłomnicy . . . 8 15	z Rudy 5 25 „	z Kłomnicy . . . 12 15 po po.	z Rozprz. 8 40 „	
z Częstochowy „ 3 35	Przych. do Częst. „ 8 50	z Radziwiłłowa „ 5 45 „	z Radomska . . . 12 55 „	z Piotrkowa . . . 9 12 „	
z Poraja 4 5	nocuje.	z Grodziska . . . 5 „	z Gorzkowic . . . 1 35 „	z Bab (Małach) . . . 9 35 „	
z Myszkowa . . . 4 35	z Częstoch. o g. 8 15 rano	z Rudy 5 25 „	z Piotrkowa . . . 2 45 „	z Rogowa 10 10 „	
z Zawiercia . . . 4 50	z Poraja 8 40	z Radziwiłłowa „ 5 45 „	z Bab (Małach) „ 3 10 „	z Płyćwi 11 10 „	
z Łazów 5 10	z Myszkowa . . . 9 15	z Grodziska . . . 5 „	z Rokicin 3 40 „	ze Skierniewic „ 11 50 „	
z Żółkowiec . . . 5 35	z Zawiercia . . . 9 30	z Rudy 5 25 „	z Rogowa 4 15 „	z Radziwiłło . . . 12 10 po p.	
z ze Strzemio. „ 5 45	z Łazów 9 50	z Grodziska . . . 5 „	z Płyćwi 4 45 „	z Rudy 12 40 „	
Przych. do Gran. „ 6	z Żółkowiec . . . 10 10	z Rudy 5 25 „	(z Łowicza) . . . 4 30 „	z Grodziska . . . 1 5 „	
Z granicy odchodzi pociąg o godzinie 7 wieczór do stacji pruskiej Mysłowice z kąd odchodzi pociąg dnia następnego o godzinie 9 1/2 rano, zabiera osoby udające się do Wrocławia, Berlina, Hamburga i t. d.	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	Do Łowic. } ze „ 6 25 „	z Pruszkowa . . . 1 35 „	
Osoby udające się do Krakowa nocują na stacji Granica, a nazajutrz zabierane są pociągiem odchozącym ze stacji tej o godzinie 7 rano do stacji przychozącym do Krakowa o godzinie 9 rano.	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	Do War. {Skier. „ 5 25 „	Przych. do War. „ 2 „	
	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	z Radziwiłł. . . . 5 45 „	Przych. do War. „ 10 10 „	
	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	z Rudy 6 10 „		
	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	z Grodziska . . . 6 35 „		
	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	z Pruszkowa . . . 7 5 „		
	Przych. do Gran. „ 10 25	z Skierniewic „ 6 25 „	Przych. do War. „ 7 30 „		

Dla przewozu towarów i wszelkich ciężarów, toż bydła, koni i innych zwierząt, urządzone są oddzielne towarowe pociągi. Powozy mogą być pociągami osobowemi przewożone, toż kćnie umieszczone w wagonach krytych.

Kolej zrewolucjonizowała transport w Królestwie Polskim. Pierwsze parowozy z lat czterdziestych osiągały ok 50 km/h, najnowocześniejsze w owym czasie ośmiokołowe maszyny rozpędały się już do 80 km/h (choć maksymalna dozwolona prędkość dla pociągów pośpiesznych wynosiła i tak 50 km/h).

Czas przejazdu z Warszawy do Krakowa w latach sześćdziesiątych wynosił 11 godzin 27 minut; do Wiednia i Berlina ok. 23 godzin. Było to niewyobrażalne przyspieszenie w porównaniu z czasami sprzed powstania dróg żelaznych, gdy na jazdę do Krakowa trzeba było przeznaczyć ponad tydzień.

Przed powstaniem styczniowym przez ziemie Królestwa Polskiego biegły 3 linie kolejowe. Ukończona w grudniu 1862 r. linia petersbursko-warszawska wbiegała na terytorium Królestwa w Łapach nad Bugiem i prowadziła do Warszawy. Odnoga tej linii przecinała polskie terytorium na północ od Suwałk, docierając do pruskiej granicy w Wierzbołowie. Najstarsza – kolej warszawsko-wiedeńska – biegła od Warszawy do Krakowa przecinając granicę austriacką w miejscowości Granica. W Warszawie nie było w owym czasie mostu kolejowego, który łączyłby kolej warszawsko-wiedeńską i petersbursko-warszawską, różniły się one zresztą rozstawem torów. Linia warszawsko-wiedeńska posiadała odnogę, która wiodła do pruskiej granicy i dalej, do Katowic. Wreszcie trzecia – linia warszawsko-bydgoska – w Skierniewicach odłączała się od trasy warszawsko-wiedeńskiej i prowadziła do Bydgoszczy, która leżała już po pruskiej stronie granicy.



Mapka z: Stanisław Łaniec, *Partyzanci dróg żelaznych*, Warszawa 1974

W planach polskich konspiratorów sprzed wybuchu powstania brakowało konkretnej koncepcji wykorzystania lub zniszczenia linii kolejowych na terenie Królestwa. Plan

Jarosława Dąbrowskiego (przewidujący wybuch na 1862 r.) zakładał zdobycie twierdzy Modlin przy pomocy rosyjskiej tajnej organizacji wojskowej, z którą Polacy weszli w kontakt. W Modlinie Dąbrowski liczył na zdobycie 70 tysięcy karabinów, które miały się stać uzbrojeniem regularnej armii powstańczej. Armia ta efektem kuli śniegowej miała przyrastać o kolejne zdobyte karabiny i zachęconych sukcesem Polaków. Plan Dąbrowskiego zupełnie pomijał kwestię wykorzystania kolei przez którąkolwiek ze stron. Dla sprawiedliwości należy dodać, że linia petersbursko-warszawska była dopiero w budowie. Ponadto przechodził do porządku dziennego ponad faktem, iż nie da się stworzyć ad-hoc wojska zdolnego stawić czoła Rosjanom dając po prostu ludziom do rąk karabiny.

Późniejszy plan opracowany przez Zygmunta Padlewskiego zakładał utworzenie dwóch głównych zgrupowań powstańczych – jednego w okolicach Częstochowy i Olkusza, na końcowym odcinku kolei warszawsko-wiedeńskiej i drugiego między Ostrołęką a Łomżą. W obydwu wypadkach chodziło o bliskość granicy, zza której powstańcy zamierzali przemycać broń. Dodatkowo zgrupowanie północne miało blokować drogi oraz kolej petersbursko-warszawską, uniemożliwiając szybkie sprowadzenie posiłków wojskowych Rosjanom. Plan ten został jednak zmodyfikowany na krótko przed wybuchem powstania, już w styczniu. Na skutek zapewnień Dąbrowskiego, że rosyjscy oficerowie w Modlinie są gotowi wpuścić do twierdzy Polaków, skierowano w te okolice sporą grupę warszawskiej młodzieży i powrócono do koncepcji uderzeń na siedziby większych garnizonów – Modlin i Płock.

Ostatecznie Padlewski zdecydował się na koncepcję kompromisową – na północy zdobycie Płocka, zaś na południu na utworzenie zgrupowania u zbiegu granic Królestwa Polskiego, Austrii i Prus. W pozostałych rejonach miano atakować Rosjan wedle lokalnych możliwości. Padlewski zalecał niszczenie linii kolejowych i telegraficznych, lecz nie pozostawił żadnych wytycznych co do konkretnych działań. To uczyniwszy, główny powstańczy "sztabowiec" wyruszył na czele młodzieży warszawskiej pod Płock, tracąc tym samym wpływ na możliwość koordynacji całości sił zbrojnych. Choć możliwość dowodzenia całością sił powstańczych była iluzoryczna wobec konieczności działania w konspiracji, kierownictwo powstania jest powszechnie krytykowane za bardzo słabe jego przygotowanie od strony militarnej.

Warto również wspomnieć o koncepcjach Zygmunta Sierakowskiego. Ten wykształcony w Petersburgu generał armii carskiej, krótko przed wybuchem powstania złożył wniosek o dymisję i został wyznaczony przez Komitet Centralny Narodowy na głównego dowódcę w obrębie historycznej Litwy. Opracował on plan zakładający w pierwszym etapie wystąpienie zbrojne na Żmudzi, opanowanie wybrzeża, aby tam móc przyjąć napływające z Zachodu transporty broni. W drugim etapie zakładano zajęcie Dyneburga i tym samym zablokowanie kolei petersbursko-warszawskiej na terenie dzisiejszej Łotwy. Plan ten jednak, jak większość bardziej dalekosiężnych wojskowych przedsięwzięć powstańczych, nie został zrealizowany. Jeszcze na terenie Litwy, pod Birżami, oddział Sierakowskiego został rozproszony przez Rosjan, zaś generał dostał się do niewoli.

W pierwszych dniach powstania największe sukcesy spośród oddziałów powstańczych zanotowała kolejarska "grupa uderzeniowa" operująca na linii petersbursko-warszawskiej. 23 stycznia pracownicy kolei zajęli niebronioną przez Rosjan stację Łapy na granicy Królestwa i Rosji. Komunikacja kolejowa i telegraficzna Rosji z Królestwem została przerwana. Tego samego dnia z Warszawy wyruszył powstańczy pociąg. Po drodze do Łap polscy kolejarze niszczyli tory, przewody telegraficzne oraz mosty. W Łochowie zatrzymali pociąg jadący z Petersburga i rozbroili jadących nim rosyjskich oficerów. Obawiając się spodziewanej

odsiecz rosyjskiej, powstańcy po dojechaniu do stacji Średnica wysiedli i ukryli się w lasach. Opuszczono również Łapy. W pierwszej dekadzie lutego Rosjanie odzyskali kontrolę nad linią kolejową i naprawili zniszczenia. W tym samym czasie Polakom udało się na krótko opanować południowy odcinek kolei warszawsko-wiedeńskiej, lecz nie zdecydowali się na zniszczenie torów. Powstańcy liczyli na dostawy broni z Zachodu, lecz były one nikłe. W drugiej połowie lutego Rosjanie opanowali sytuację również i na tym terenie.



Warszawa, dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej.

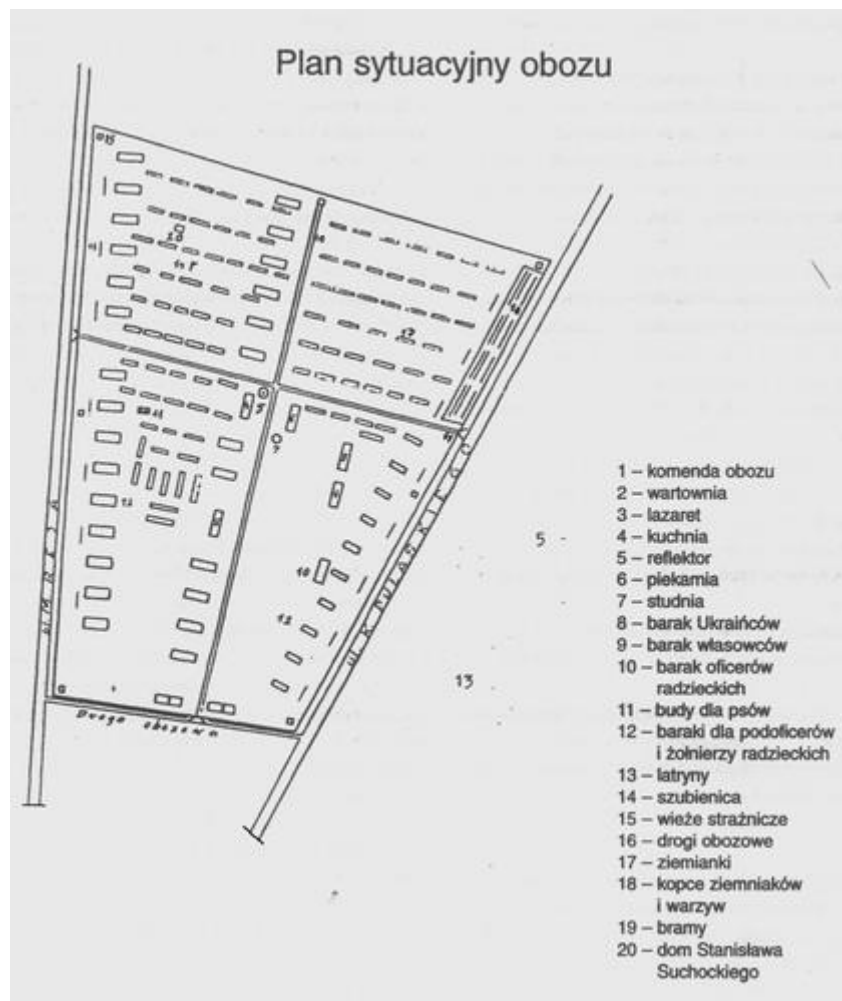
Dla strony rosyjskiej funkcjonowanie kolei, zwłaszcza linii petersbursko-warszawskiej, miało kluczowe znaczenie i rosyjskie dowództwo zdawało sobie z tego sprawę. W drugiej połowie lutego 1863 r. przywrócono funkcjonowanie linii petersbursko-warszawskiej i warszawsko-wiedeńskiej. Kolei warszawsko-bydgoska kursowała cały czas bez zakłóceń. Dzięki temu posiłki wojskowe zaczęły napływać do Królestwa w szybkim tempie. W styczniu 1863 r. na terenach dawnej Rzeczypospolitej stacjonowało ok. 160 tys. carskich żołnierzy. W kwietniu liczba ta zwiększyła się do 264 tys. Co więcej, siły rosyjskie nie miały kłopotów z zaopatrzeniem w żywność i sprzęt wojskowy, co podczas powstania listopadowego znacząco utrudniało im działania. Małe grupki powstańców nie były w stanie zagrozić rosyjskim garnizonom rozlokowanym wzdłuż linii kolejowych. Gdy w okolicy pojawiła się większa grupa powstańców, Rosjanie błyskawicznie sprowadzali posiłki i rozbijali takie oddziały.

Z wyłączeniem pierwszego miesiąca walk, kolej funkcjonowała, choć z utrudnieniami, przez cały okres powstania. Mimo, że wielu pracowników kolei popierało powstanie i brało udział w akcjach sabotażowych, można stwierdzić, że infrastruktura kolejowa wydatnie ułatwiła zaborcom radzenie sobie z siłami polskimi. Mimo, iż od powstania listopadowego minęły zaledwie 33 lata, działania wojenne przybrały zupełnie inny kształt. Istnienie kolei (i telegrafu) znacząco zmieniło realia działań wojennych.

Łukasz Wojtach

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Stalag IF Sudauen



W czasie II wojny światowej, na ziemiach Polskich powstało wiele obozów jenieckich. Jednym z nich był Stalag IF Sudauen, wcześniej Oflag 68 powstały na terenie wsi Krzywólka w kwietniu 1941 roku. Popularnie zwany jest on obozem jeńców radzieckich, ze względu na to, iż to właśnie ich przebywało tam najwięcej. Działał on aż do 1944 roku, kiedy to Armia Czerwona zbliżała się ku terenom Suwalszczyzny. Sprawę tego obozu obszernie opisał pan Edmund Soboń w swoim opracowaniu pt. „Stalag IF Sudauen piekło pod niebem suwalskim”.

Teren obozu o kształcie trapezoidu zajmował ok. 50 ha i rozpościerał się między suwalskimi ulicami Wiżajeńską (obecnie ulica ta nosi nazwę Mikołaja Reja) oraz Kalwaryjską (obecnie Kazimierza Pułaskiego). Do roku 1941 tereny te stanowiły własność okolicznych rolników i były regularnie obsiewane. Według relacji świadków, wiosną, bądź na początku lata tegoż roku (dokładnie nie dało się ustalić, gdyż w relacjach świadków występuje rozbieżność co do dokładnego czasu), jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, do właścicieli

wyżej opisanych gruntów, przybyło uzbrojone wojsko niemieckie i nakazało skosić niedojrzałe, zielone zboże i nie wchodzić na pole. Rolnicy, obawiając się o własne życie, posłusznie wykonali polecenie Niemców, co przyniosło dla nich duże straty, gdyż nie otrzymali żadnego odszkodowania. Ogółem w ten sposób ucierpiało 39 właścicieli ziemskich z Krzywólki, Szwajcarii oraz Suwałk. Największą stratę poniósł krawiec Stanisław Suchocki, gdyż jego dom znajdował się na terenie przyszłego obozu i został zajęty razem z gruntami.

Pierwszym etapem powstawania obozu było przybycie jeńców francuskich, którzy dokonali pomiarów terenu. Piszą o tym Zbigniew Biskupski i Zygmunt Halicki w artykule pt. „Bezimienni” opublikowanym w „Krajobrazach” (1981 nr 44). Następnie postawiono dwa kolczaste płoty o długości około 3250 metrów każdy (najpierw zbudowano jeden, lecz ze względu na liczne ucieczki jeńców nocą, szybko zbudowano drugą linię ogrodzeń), pięć bram, cztery wieże strażnicze, siedem baraków, kuchnię, piekarnię (budynek, w którym się mieściła znajdował się poza terenem obozu, po drugiej stronie ulicy Wiżajeńskiej), latryny, a na środku obozu ustawiono reflektor. Wszystkie te prace wykonano w okresie od czerwca do końca lipca 1941 roku. W kolejnym etapie tworzenia obozu, który obejmował okres od sierpnia do końca 1941 roku wykopano dwie studnie, uruchomiono drugą piekarnię na terenie obozu, między płotami umieszczono zasieki z drutu kolczastego, a po zewnętrznej stronie płotu umieszczono tablice ostrzegawcze dla ludności cywilnej, ponadto postawiono budy dla psów, jeńcy wykopali około stu ziemianek oraz zakopcowano ziemniaki i inne warzywa na zimę. Warto wspomnieć, iż ziemianki kopane przez jeńców były to dziury w ziemi „wydrapane” często gołymi rękami, gdyż Niemcy nie dostarczyli im żadnych narzędzi, a noce stawały się coraz chłodniejsze, toteż miały stanowić one schronienie przed mrozem. Trzeci etap obejmujący okres od wiosny 1942 do jesieni 1943 roku był czasem kolejnych urozmaiceń- pobudowano łaźnię, która tak jak piekarnia znajdowała się po drugiej stronie ulicy Wiżajeńskiej, na terenie obozu postawiono szubienicę, na której wieszano w późniejszym okresie więźniów, którzy dopuścili się aktu kanibalizmu, wzniesiono dodatkowe trzy wieże strażnicze, a w 1943 roku postawiono około 37 baraków dla więźniów, którzy przeszli do nich z ziemianek.

Ogrodzenie obozu był to już wyżej wspomniany podwójny płot z drutu kolczastego, przybijanego do niekorowanych słupów z drewna iglastego, ustawianych w odległości od czterech do sześciu metrów od siebie, wkopywanych w ziemię na głębokość od 50 do 100 centymetrów. Drut był przybijany pasmami w odstępach około 15 centymetrów od siebie. Ogrodzenie wewnętrzne, które było zbudowane jako pierwsze, posiadało drewniane łąki (z podpórkami) o długości około 50 centymetrów, do których zostały przybite trzy rzędy drutów kolczastych. Natomiast ogrodzenie zewnętrzne, które zostało ustawione około dwóch i pół metra od pierwszego, było niższe o około pół metra i nie miało łąków. Odległość zewnętrznego płotu od ulicy wynosiła blisko dwadzieścia metrów.

Równocześnie z zakończeniem prac związanych z grodzeniem terenu, sprowadzono siedem składanych baraków, wykonanych z elementów drewnopochodnych. Przeznaczono je dla komendanta obozu (niestety jego dane personalne nie są oficjalnie znane), wartowników, Ukraińców, własowców, oficerów sowieckich oraz na lazaret, piekarnię i kuchnię. Barak kuchenny miał wymiary około 40 na 15 metrów, zaś pozostałe około 30 na 10 metrów. W 1943 roku przywieziono kolejną z Niemiec dodatkowe baraki dla więźniów. Zostały one przetransportowane ze stacji kolejowej przez suwalskich rolników w ramach szarwarku-przymusowej pracy, zaś bezpośrednim ich montażem i ustawianiem na kołkach zajęli się sami więźniowie. Było ich 37 sztuk, z czego 27 o wymiarach 30 na 10 metrów i 10 o wymiarach około 20 na 6 metrów. Posiadały one jedno lub dwuspadowe dachy kryte papą oraz po trzy

lub cztery okna o wymiarach około 65 na 25 centymetrów. Okna także były montowane przez jeńców.

Wieże strażnicze miały kształt kwadratów o wymiarach po około cztery metry u podstawy i po około dwóch i pół metra w górze. Miały wysokość po około osiem metrów. Ustawiono je w każdym narożniku około dwa metry od ogrodzenia. Wchodziło się na nie po drabinie. Służbę na nich pełnili niemieccy wachmani i własowcy- mieli tam do dyspozycji rkm, lornetkę i bardzo silny reflektor. Po ucieczce części jeńców latem 1942 roku, Niemcy postawili dodatkowe trzy, niższe o około metr od narożnych wieże, usadowione w połowie długości obozu od ulicy Wiżajeńskiej, drugą tak samo od ulicy Kalwaryjskiej oraz trzecią w połowie długości północnego ogrodzenia od lasu.

Gdy we wrześniu 1941 roku zaczęło się znacznie ochładzać, w październiku więźniowie rozpoczęli kopanie ziemianek. Były to prostopadłe do ulic Wiżajeńskiej i Kalwaryjskiej rowy, po obu stronach głównej drogi obozowej, o długości od dwudziestu do pięćdziesięciu metrów, szerokości od dwóch i pół do czterech metrów i głębokości od metra do półtora. Wykopano ich łącznie około 100 sztuk. Część z nich miała daszki zbudowane z przepiłowanych wzdłuż żerdzi, na które kładło się deski, a na nie papę lub słomę. Na końcu daszek okładało się darnią. Daszki były dwuspadowe. Ziemianki bez daszków różniły się tym, iż deski były układane płasko na glebie w poprzek rowu. Ziemianki z daszkami wystawały około pół metra nad ziemią i były dostrzegalne, natomiast te, które ich nie posiadały, często, zwłaszcza w okresie jesienno zimowym ulegały zawaleniu. Wewnątrz ziemianek nie było podłóg, ani ławek, leżała tylko stęchła słoma, na której w dwóch rzędach spali jeńcy. Były zbyt niskie, by można było się wyprostować będąc wewnątrz. Ziemianki dla wielu więźniów stały się także miejscem śmierci, nie tylko poprzez zasypanie. W końcu 1941 roku Niemcy nakazali Ukraińcom polanie benzyną i podpalenie śpiących jeńców chorych na tyfus plamisty, gdyż w okresie od listopada 1941 do maja 1942 na terenie obozu panowała epidemia tej choroby.

Ze względu na koszty i sprzeczność z doktryną o eksterminacji jeńców sowieckich, wybudowanie ubikacji dla jeńców na terenie obozu nie było rozważane. Dlatego też jeńcy byli zmuszeni do kopania latryn- rowów głębokich na dwa metry, długich na dziesięć do dwudziestu i szerokich na metr do półtora. Ich wewnętrzne ściany zostały wybetonowane, a na ich krawędzi, około 40 do 50 centymetrów nad ziemią wkopano drągi, na które siadali niewolnicy. Łącznie wykopano około piętnastu latryn w odległości 10 do 15 metrów od ulic Wiżajeńskiej i Kalwaryjskiej. Od strony ulic latryny zamaskowano gałęziami. Czasami także latryny stawały się dla więźniów stalagu miejscem śmierci. Zdarzało się to zwłaszcza w okresie zimowym, gdy było ślisko, że osłabieni jeńcy wpadali do latryn i topili się.

Na wiosnę 1942 jeńcy sowieccy pobudowali łaźnię i ogrodzili ją wysokim płotem z drutu kolczastego. Jak już wcześniej wspomniano, znajdowała się ona poza terenem obozu. Jest to jedyny budynek poobozowy, który zachował się do dnia dzisiejszego (obecnie znajduje się przy ulicy Mikołaja Reja 51 w Suwałkach). Ma on kształt odwróconej litery T w stosunku do ulicy Reja- dawnej Wiżajeńskiej. Jeńcy idący do łaźni pokonywali około 400 metrów licząc od bramy głównej. Budynek ma powierzchnię około 396,37 mkw, w tym powierzchni użytkowej 308,16. W łaźni odzież jeńców była dezynfekowana, a oni sami zażywali kąpieli przy urządzeniach do wytwarzania pary i natryskach. Wewnątrz budynku została wykopana studnia, skąd czerpano wodę. Budowa łaźni nie wynikała z troski o więźniów, lecz z obawy ponownego wybuchu epidemii tyfusu plamistego. Budynek posiadał dwadzieścia dwa okna normalne i pięć małych, w tym dwa luki na rogach od strony frontowej. Z luków tych –jak

wynika z relacji naocznych świadków- wystawały lufy ręcznych karabinów maszynowych. Obecnie jest to dom mieszkalny, zamieszkały przez 5 rodzin, 24 osoby.

Dla jeńców najpotrzebniejsza była woda i chleb. W pierwszych tygodniach istnienia obozu woda była pompowana z pobliskiej rzeki- Czarnej Hańczy, a także była transportowana i przywożona w beczkowszach. W późniejszym okresie, tak jak już wspomniano, na terenie obozu wykopano studnie. Pierwszy chleb natomiast, który otrzymali jeńcy, pochodził najprawdopodobniej z piekarni 41. pułku piechoty przy ulicy Augustowskiej (obecnie Wojska Polskiego). W lipcu 1941 roku, na terenie 1 ha, przy ulicy Wiżajeńskiej, po przeciwnej stronie obozu zbudowano piekarnię obozową. Na jej terenie znajdowały się: wartownia, barak z ośmioma piecami do wypieku chleba, barak dla jeńców piekarzy, ubikacja (wybudowana ze względów higienicznych), barak magazyn oraz ogrodzenie z drutu kolczastego, około trzymetrowej wysokości, z łękami skierowanymi na zewnątrz oraz z prostokątną bramą wjazdową, obitą drutem kolczastym po przekątnej. Mimo, iż nadzór nad jeńcami piekarzami sprawowało dwóch wachmanów na raz, pewnego razu uciekło ich aż sześćdziesięciu, po czym Niemcy wybudowali drugi, zewnętrzny, kolczasty płot o wysokości około dwóch i pół metra, bez łęków. Między płotami umieścili zwoje drutu kolczastego. W październiku 1941, po wykopaniu studni artezyjskiej na terenie obozu, utworzono drugą piekarnię w typowym baraku o wymiarach 30 na 10 metrów. Chleb pieczony w obozowych piekarniach zawierał trociny i kamienie, przez co był mało zjadliwy, lecz nie przeszkadzało to wygłodniałym jeńcom, którym dziennie przysługiwało 270 gram chleba na osobę.



Piekarnia 41. pułku piechoty w Suwałkach

Każdy z więźniów obozu posiadał nieśmiertelnik z nazwą obozu i numerem.



Nieśmiertelnik więźnia Stalagu IF Sudauen

Oficjalnie obóz przestał istnieć 1 października 1944 roku. Po wojnie teren obozu został ograbiony z wszelkich dóbr przez okoliczną ludność. Druty z płotów niejednokrotnie posłużyły do ogradzania pastwisk. Obecnie na jego terenie znajduje się suwalskie osiedle Północ II. O dawnej obecności obozu jenieckiego na tym terenie świadczy jedynie cmentarz jeńców radzieckich znajdujący się nieco na północ od terenu obozu. Łącznie w Oflagu 68 i Stalagu IF Sudauen zginęło około 51680 osób, przede wszystkim Rosjan, Białorusinów i Azjatów pochodzących ze wschodnich krańców ZSRR. Pomocy więźniom udzieliło około 2500 Polaków, z których czworo zapłaciło życiem- A.Bazylewicz z Żubrówki, M.Dorochowicz z Żywej Wody, A.Makowski z Prudzišk oraz J.Stopka z Pawłówki. Jeńcy radzieccy, którzy przeżyli katorgę obozu i powrócili do kraju, zostali posądzeni o zdradę kraju i zesłani do gułagów na Syberię lub rozstrzelani przez NKWD.

Marcin Grzędziński

Źródła:

Edmund Soboń „Stalag IF Sudauen piekło pod niebem suwalskim”

www.dawna-suwalszczyzna.com.pl

www.szukamypolski.com

Sfałszowane wybory do Sejmu

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE DO WYBORCÓW Polacy, Bracia Chłopi, Ludowcy!

Od wielu lat naród polski nie miał możliwości wyrazić swojej woli w czystych, wolnych, nieskrępowanych wyborach. Przed wojną uniemożliwiła mu to dyktatura sanacyjna. A następnie krwawa barbarzyńska okupacja niemiecka wyzwała cały naród polski z wszelkich praw. Po wojnie przedłużał się wbrew naszej woli okres rządów tymczasowych.

Zarządzone zostały wreszcie wybory na dzień 19 stycznia 1947 r. W myśl decyzji jaltaskich trzech zwycięskich mocarstw oraz umów w Moskwie i Poczdamie, i zobowiązań Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wybory, zgodnie z żądaniem narodu winny być wolne, czyste i nieskrępowane.

Każde stronnictwo demokratyczne ma nieodwołalne prawo zgłoszenia własnej listy kandydatów i prowadzenia nieskrępowanej działalności wyborczej.

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE STAJE DO WYBORÓW SAMODZIELNIE, MIMO TRUDNOŚCI I PRZESZKÓD, STAWIANYCH MU NA KAŻDYM KROKU, A NIEZGODNYCH Z POWYŻSZYMI UMOWAMI I ZOBOWIĄZANIAMI. NIE ZGODZILIŚMY SIĘ NA BLOK WYBORCZY WSZYSTKICH STRONNICTW, NIE DAŁ BY ON BOWIEM SWOBODY WYPOWIE-

dać i wagi swej odpowiedzialności przed narodem. W trosce o rozwój i bezpieczeństwo Państwa i utrwalenie jego potęgi, PSL wysuwa na plan pierwszy następujące zadania do spełnienia:

1) Utrwalenie pokoju i pogłębienie przyjaźni z ZSRR, narodami słowiańskimi i demokratycznymi Zachodu, jak i najbardziej wydatna współpraca z Organizacją Zjednoczonych Narodów.

2) Utrwalenie naszych granic zachodnich na Odrze, Nisie Łużyckiej i Bałtyku oraz wszechstronne i umiejętne zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, bo to jest podstawowym warunkiem naszego bytu i bezpieczeństwa. Nie możemy też w dalszym ciągu pozwolić na rozpraszenie swych rodaków po świecie i na ich wynaradawianie.

3) Dla podniesienia gospodarczego wsi winniśmy jak najszybciej dokonać reformy rolnej, opartą o zakładowe, samodzielne, wystarczające na utrzymanie rodzin gospodarstwa rolne, podjętą energiczną pracę scalenia i zmniejszenia gospodarstw, przypisać odbudowę wsi, ułatwić nabycie inwentarza i narzędzi rolniczych, rozwinąć przemysł rolniczy, zapewnić rolnictwu opłacalne ceny za produkty rolne.

4) W imię rychłego rozwoju gospodarczego i podniesienia stopy życiowej wszystkich obywateli kraju domagamy się:

cały naród w powszechnym głosowaniu ludowym. Źródłem władzy jest naród. Sprawuje ją przez swobodnie wybranych swoich przedstawicieli.

Musi być zagwarantowana obywatelom wolność osobista, wolność przekonań, słowa, druku, stowarzyszeń i zgromadzeń.

Prawidłowy wymiar sprawiedliwości przez niezależne w wyrokowaniu sądy jest warunkiem praworządności.

Konieczny jest szeroki samorząd terytorialny i gospodarczy.

Bez konstytucyjnego ustalenia tych podstawowych gwarancji i przestrzegania ich w życiu — nie ma demokracji.

11) Do wykonywania zadań państwowych powołana administracja państwowa winna być podporządkowana Radzie odpowiedzialnemu przed Sejmem. Kontrolowana przez społeczeństwo, celowo zorganizowana, sprawnie działająca administracja winna mieć li tylko dobro całego społeczeństwa, a nie poszczególnej partii, czy grup, na celu. Dlatego domagamy się reorganizacji i usprawnienia administracji przez zaniecie zbytecznych urzędów, a nawet niektórych ministerstw, odpowiedniego podziału zadań i celowego podporządkowania urzędów, zwłasz-

Z prof. Czesławem Oseńskim
rozmawia Ewa Zientara

Jak wyglądała sytuacja polityczna w Polsce po referendum z 30 czerwca 1946 roku?

Referendum z 30 czerwca 1946 roku zakończyło się klęską partii tzw. bloku demokratycznego: PPR, PPS, SL i SD. Społeczeństwo Polski odpowiedziało twierdząco jedynie na trzecie pytanie głosowania - o akceptację nowej granicy na zachodzie, wyraźnie odrzucając dwa

pierwsze - o zniesienie senatu oraz reformę rolną i nacjonalizację przemysłu. Władze sfałszowały jednak wyniki referendum i w oficjalnych komunikatach podawano, że Polacy głosowali "tak" na wszystkie trzy pytania, aprobując tym samym kierunki przemian ustrojowych w powojennej Polsce.

Od pierwszych dni lipca 1946, bezpośrednio po głosowaniu, władze starały się odwrócić uwagę społeczeństwa kraju od przegranego referendum. Stwarzano psychozę zewnętrznego i

wewnętrznego zagrożenia, inspirując szereg spektakularnych przedsięwzięć dotyczących kwestii socjalnych, z których znaczna część - co trzeba dodać - spotkała się z poparciem ludzi. Najpowszechniej akceptowane przez społeczeństwo hasła i dokonania dotyczyły walki ze spekulacją, niwelowania różnic majątkowych oraz poprawy codziennych warunków życia.

PPR podejmowała działania polityczne i propagandowe, mające kształtować powszechne przekonanie o pozytywnej odpowiedzi obywateli na wszystkie pytania referendum. Sfałszowane wyniki głosowania interpretowano jako społeczną zgodę na przekształcenia ustrojowe w powojennej Polsce, realizowane według koncepcji i pod kierunkiem PPR. Za dobry sposób odwrócenia uwagi społeczeństwa od referendum uznano podsycanie wśród Polaków nastrojów nacjonalistycznych. W ówczesnych warunkach były one stosunkowo łatwe do wywołania; zwrócono je zwłaszcza przeciwko Żydom i Niemcom. Jednocześnie starano się kształtować pozytywny wizerunek narodów ZSRR, co zwłaszcza w odniesieniu do Rosjan i Ukraińców nie było sprawą prostą i często przynosiło skutek wręcz odwrotny do zamierzonego.

Po referendum znacznie skomplikowała się sytuacja polityczna w kraju. Dotyczyło to zarówno relacji wewnątrz tzw. bloku demokratycznego, jak też jego stosunków z opozycją. Największe niezadowolenie wykazywała PPS. Kierownictwo tej partii nie ukrywało pretensji do PPR za zdominowanie struktur państwa i nieliczenie się z realiami sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej w Polsce. Krytykowano ewidentne przykłady fałszowania referendum i odsunięcie socjalistów od większego wpływu na bieg wydarzeń w kraju. Opinie takie pojawiły się zarówno w kierownictwie PPS, jak też wśród szeregowych członków partii. Co więcej, właśnie "na dołach" miały bardziej wyrazisty kształt, formułowano je bowiem

na podstawie konkretnych nadużyć dokonywanych przez członków i organizacje PPR w najbliższym otoczeniu. Podobne pretensje pod adresem komunistów, chociaż nie tak jednoznaczne jak ze strony socjalistów, wysuwały również SL i SD.

PPS po referendum dążyła do zmiany stosunków z PPR. Kierownictwo partii ostatecznie uświadomiło sobie, że komuniści zmierzają najpierw do wyeliminowania PSL i SP, a następnie to samo będą chcieli uczynić z PPS. Nie oznaczało to wcale, że socjaliści kwestionowali sojusz z PPR, chcieli jednak ułożenia wzajemnych stosunków na zasadach partnerskich i nie za wszelką cenę.

Znacznie mniejsze problemy niż z PPS mieli komuniści z pozostałymi dwoma koalicjantami. Kierownictwo SD, zdominowane przez kryptokomunistów, nie stanowiło większego zagrożenia dla interesów PPR. Po referendum ponownie podporządkowało się linii programowej narzuconej przez komunistów i nie wykazywało większej samodzielności politycznej. Podobnie było z SL, jeszcze bardziej uwikłanym w zależność od PPR.

Największe rozterki polityczne po referendum wystąpiły w szeregach PSL. Ludowcy, choć wiedzieli, że odnieśli sukces wyborczy, nie mogli zdyskontować porażki komunistów. Członkowie partii zostali poddani permanentnej inwigilacji ze strony władz bezpieczeństwa, które skupiły się na rozbijaniu kół stronnictwa w terenie. Sytuację komplikowało dodatkowo funkcjonowanie dwóch innych partii chłopskich: SL i PSL "Nowe Wyzwolenie". Choć nie miały one dużej liczby członków ani szerokiego zaplecza społecznego, były wspierane przez PPR i władze bezpieczeństwa. W wyniku represji część członków partii Stanisława Mikołajczyka bezpośrednio po referendum i w znacznie większym zakresie jesienią

1946 decydowała się na zawieszenie przynależności do PSL lub przejście do SL, PPR lub PPS, w znikomym odsetku do PSL "Nowe Wyzwolenie".

Jaki był stosunek państw zachodnich do ówczesnej sytuacji w Polsce?

Rozwojem sytuacji politycznej w Polsce po referendum żywo interesowały się mocarstwa zachodnie i ZSRR. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania wyrażały opinie o potrzebie prędkiego przeprowadzenia w Polsce demokratycznych wyborów, tak by wypełnić wcześniejsze ustalenia międzynarodowe. Z rezerwą odniosły się jednak do zgłaszanych przez Mikołajczyka propozycji nadzoru przez mocarstwa zachodnie wyborów w Polsce.

A jak reagował ZSRR?

Stalin już pod koniec lipca 1946 roku podczas pobytu w Moskwie Gomułka, Bieruta i Hilarego Minca potwierdził swoje gwarancje dla dominacji PPR w polskim systemie politycznym. Później ZSRR konsekwentnie wspierał polskich komunistów na drodze do przeprowadzenia kontrolowanych wyborów i sfałszowania ich wyników.

W jaki sposób ukształtowały się koalicje wyborcze?

Przyszłe koalicje były podstawowym zagadnieniem w międzypartyjnych rozmowach po referendum. PPR nie była przeciwna temu, aby do bloku wyborczego ukształtowanego pod jej kierownictwem przed referendum weszło także PSL. Komuniści widzieli jednak udział partii Mikołajczyka we wspólnym bloku na swoich zasadach, sprowadzających się w gruncie rzeczy do ubezwłasnowolnienia PSL. Stąd ludowcy, znając te dążenia, wszelkie sygnały i rozważania o ewentualnej koalicji z PPR traktowali z rezerwą i nieufnością.

Oficjalne rozmowy pomiędzy przedstawicielami PPR i PSL na temat koalicji wyborczej odbyły się w lipcu 1946. Spotykano się dwukrotnie. Ludowcy podczas rozmów wysunęli dziesięciopunktowy program, który miał stanowić podstawę wzajemnych negocjacji i ewentualnie przyszłego porozumienia. Domagali się między innymi ustalenia zasad przyszłej konstytucji, przyjęcia ordynacji wyborczej zapewniającej demokratyczne wybory, przeprowadzenia wyborów samorządowych, amnestii dla więźniów politycznych, udziału w sprawowaniu władzy i reorganizacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W zamian za wejście do wspólnej koalicji PPR proponowała dla PSL 25% mandatów poselskich, godziła się na dyskusję nad zgłoszonymi przez ludowców postulatami, z wyjątkiem kwestii MBP i odbycia wyborów samorządowych przed parlamentarnymi. Władze naczelne PSL odrzuciły propozycje kierownictwa PPR w sprawie wspólnej koalicji i zdecydowały o samodzielnym udziale w wyborach. Oficjalne negocjacje pomiędzy PSL a PPR nie były już kontynuowane, chociaż odbywały się rozmowy nieoficjalne, które nie zakończyły się jednak żadnymi ustaleniami.

Poważne spory na temat koalicji wyborczych toczyły się jesienią 1946 roku w Stronnictwie Pracy. Ta druga obok PSL opozycyjna partia targana była wewnętrznymi sprzecznościami politycznymi i organizacyjnymi, co uniemożliwiało wypracowanie jednolitego stanowiska wobec wyborów. Na początku września 1946 Feliks Widy-Wirski, opowiadający się dotąd za samodzielnym pójściem stronnictwa do wyborów, zmienił zdanie i zaczął działać na rzecz przystąpienia SP do wspólnego bloku z PPR, PPS, SL i SD. Nie zdołał jednak przeforsować odpowiedniej uchwały w gremiach kierowniczych partii. Stosunek do koalicji wyborczej jeszcze bardziej

podzielił i tak już skłóconych członków stronnictwa. Ostatecznie, po poważnych sporach wewnętrznych, w połowie października przyjęto kompromisowe rozwiązanie, zgodnie z którym na tzw. Ziemiach Odzyskanych SP miało przystąpić do tzw. bloku demokratycznego, zaś na pozostałym obszarze kraju pójść do wyborów z samodzielną listą.

Umowa o jedności działania pomiędzy PPR i PPS w kampanii wyborczej do sejmu podpisana została 28 listopada 1946 roku. Dokument składał się z ośmiu punktów i poufnego załącznika, dotyczącego spraw polityczno-organizacyjnych. Choć obie strony uważały podpisanie umowy za sukces, większe znaczenie miała ona dla PPR, komuniści narzucili bowiem socjalistom własną koncepcję rozwiązywania spraw w państwie. PPS zgodziła się na organizacyjne współdziałanie z PPR, utrzymywanie w tajemnicy międzypartyjnych dysonansów i zwalczanie PSL oraz oddała w ręce komunistów kontrolę nad aparatem wyborczym. Dokonano także podziału mandatów w bloku, zgodnie z którym PPR i PPS miały otrzymać po 31% miejsc w przyszłym parlamencie, SL - 27%, a SD - 11%. Następnego dnia, 29 listopada, umowę o jedności działania w kampanii wyborczej do sejmu zaakceptowały SL i SD. W ten sposób kończył się proces formowania tzw. demokratycznego bloku wyborczego.

Jak do wyborów odnosiło się społeczeństwo?

To bardzo szerokie zagadnienie. Stosunek społeczeństwa Polski do wyborów nie był jednakowy, zależał od wielu czynników. Zasadnicze różnice wynikały z przynależności partyjnej i sympatii politycznych. Inne wiązały się z miejscem zamieszkania, przynależnością społeczną, zawodową, wiekiem itp. Odmienne były

opinie ludzi na temat wyborów bezpośrednio po referendum, odmienne w czasie kampanii wyborczej, a jeszcze inne po wyborach. Reakcje społeczne zmieniały się z upływem czasu, stosowanych metod propagandowych oraz represji ze strony władz. Spore różnice w ocenie wyborów występowały również pomiędzy wsią a miastem, Polską centralną a tzw. Ziemią Odzyskanymi. Nieco inaczej odnosili się do wyborów rolnicy niż robotnicy, inteligencja, młodzież. Swoją postawę do wyborów miało także duchowieństwo. Nie zawsze pokrywał się on ze zdaniem episkopatu.

Większość ludzi przed wyborami pogodziła się z panującą w kraju sytuacją, podporządkowała się władzy i dała się zastraszyć, jednak wewnętrznie takiej sytuacji nie akceptowali. Nie identyfikowali się z działaniami władzy, lecz dla swojego i najbliższych dobra oraz bezpieczeństwa nie zwracali się przeciwko niej otwarcie. Udział ludzi w przedsięwzięciach politycznych organizowanych przez władze nie był naturalny i nie wynikał z ich przekonań oraz oczekiwań. Wypracowany w powojennym okresie układ stosunków pomiędzy władzą a społeczeństwem, choć nienaturalny i szkodliwy, funkcjonował w Polsce przez następne dziesięciolecia.

W jaki sposób władze wpływały na wynik wyborów?

Władze dopuściły się jeszcze większej liczby nadużyć wyborczych. Na około 48 tysięcy członków obwodowych komisji wyborczych blisko 15% powołanych zostało niezgodnie z prawem. Prawa głosu pozbawiono 520 tysięcy osób. Spośród 364 członków okręgowych komisji wyborczych w kraju członkowie PPR stanowili 38%, PPS - 24%, wśród 48 tysięcy członków komisji obwodowych odsetek członków PPR wynosił 65, a PPS - 15. Na masową skalę - 60-65% głosujących - zmuszono ludzi do

głosowania jawnego i grupowego. UB zwerbował 44% członków komisji okręgowych i 48% obwodowych, unieważniono listy PSL w 10 okręgach wyborczych, nie dopuszczono do rejestracji 131 tzw. list dzikich - kandydatów niezależnych, zgłaszanych zazwyczaj przez organizacje społeczne i środowiskowe. W ramach tzw. aresztów prewencyjnych w całym kraju uwięziono 13 670 osób, najwięcej w województwie krakowskim - 2262 - i rzeszowskim - 1843. W toku kampanii wyborczej w całym kraju krótkotrwałe zatrzymania, do 48 godzin, zastosowano wobec ponad stu tysięcy osób, najwięcej w województwie pomorskim - 27 tysięcy. Rozwiązano 43 zarządy powiatowe PSL, zmuszono do wystąpienia ze stronnictwa 140 tysięcy osób.

Jakie były oficjalne, ogłoszone przez władze wyniki wyborów?

Państwowa Komisja Wyborcza podała 3 lutego 1947, że w wyborach do Sejmu Ustawodawczego głosowało 11 244 837 osób spośród 12 701 058 uprawnionych do głosowania, czyli 89,9%. Na listę bloku miało głosować 9 003 692 osoby - 80,1% głosujących, na PSL 1 154 947 - 10,3%, PSL "Nowe Wyzwolenie" 397 754 - 3,5%. Na inne listy miało oddać głos 157 611 osób, czyli 1,4%. Na ogólną liczbę 444 miejsc w sejmie 114 przypadło PPR, 116 - PPS, 109 - SL, 27 - PSL, 7 - PSL "Nowe Wyzwolenie", 41 - SD, 15 - SP, 5 - osobom z prorządowych grup katolickich i 10 - bezpartyjnym.

Jak można skomentować te wyniki?

Jest wiele przesłanek, dowodów i źródeł pozwalających twierdzić, że wybory do Sejmu Ustawodawczego zostały sfalszowane, podobnie jak referendum. Niejednokrotnie potwierdzały to osoby związane w tamtych czasach z obozem komunistów, i to z najwyższych kręgów ówczesnej władzy. Nieznana jest jak dotąd

skala fałszerstw i ich sposoby. Znamy niewiele materiałów dokumentujących manipulację w obliczaniu wyników głosowania. Brakuje innych niż przedstawione przez władze, potwierdzonych podpisami członków komisji wyników wyborów. Być może, iż nadal kryją je archiwa, w tym zwłaszcza Instytutu Pamięci Narodowej, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne. W takiej sytuacji pozostaje jedynie konfrontowanie częściowych czy też lokalnych wyników wyborów z różnych źródeł z wynikami oficjalnymi.

Ważna przesłanka fałszerstwa związana jest z wynikami referendum. Zakończyło się ono porażką partii bloku i jest nieprawdopodobne, aby społeczeństwo polskie w tak krótkim czasie zmieniło orientację polityczną i poparło w wyborach PPR oraz jej sojuszników. Jest to niemożliwe tym bardziej, że prowadzone przez UB w powiatach i obwodach wyborczych w grudniu 1946 i pierwszej połowie 1947 szacunki preferencji wyborczych ludności wcale nie wskazywały na pewny sukces partii bloku. Najgorszych wyników władze spodziewały się w województwach, w których największe wpływy miało PSL: poznańskim, krakowskim, rzeszowskim, lubelskim, białostockim i warszawskim.

Dowody sfalszowania wyników wyborczych przedłożyło PSL, które złożyło protest generalny oraz protesty we wszystkich okręgach wyborczych. Zgromadzone dokumenty przedstawiały nadużycia wyborcze w całym kraju i wyniki wyborów dla części obwodów. Różniły się one znacznie od wyników rządowych i wskazywały na sukces wyborczy stronnictwa. PSL udało się ustalić wyniki dla blisko 1300 obwodów, co stanowiło około 18,9% ogółu obwodów wyborczych w Polsce. Według wyliczeń stronnictwa na jego listy padło 69% głosów.

Nie ulega wątpliwości, że do pracy nad fałszowaniem wyborów władze przystąpiły bezpośrednio po referendum. Na długo przed dniem głosowania rozstrzygnięto podstawowe kwestie prawne, organizacyjne oraz zdecydowano o wynikach wyborów. W porównaniu z referendum władze znacznie lepiej przygotowały się do sfabrykowania rezultatów wyborczych. Pozostawiono także znacznie mniej śladów dokonanego fałszerstwa.

Wybory przygotowała ściśle wyselekcjonowana i wydzielona grupa osób wywodzących się z aparatu PPR, UB i Wojska Polskiego. Dobierali oni i instruowali odpowiednich ludzi w organach głosowania do wypełnienia zadań związanych ze sfalszowaniem wyborów. Pozostałe osoby licznie zaangażowane w przygotowanie wyborów wypełniały jedynie przydzielone zadania natury organizacyjnej, informacyjnej i porządkowej i nie miały większego pojęcia o przygotowywanym fałszerstwie. W tym kontekście należy oddzielić działania oficjalne od przedsięwzięć nieoficjalnych, które zadecydowały o wynikach głosowania. Komunistom udało się jednak metodami organizacyjnymi pozyskać do współpracy po stronie bloku wcale niemałą grupę Polaków. Interpretowano to jako wyraz powszechnego poparcia przez społeczeństwo kraju PPR i jej sojuszników oraz akceptację przemian ustrojowych w powojennej Polsce.

Wyniki głosowania miały zapewnić samodzielne sprawowanie władzy w Polsce przez partie bloku. Miały także pokazać minimalne poparcie Polaków dla PSL. Także podział mandatów pomiędzy partie bloku, chociaż pozornie obiektywny, zapewniał przy ewentualnie niespodziewanym dla PPR zachowaniu się posłów PPS kontrolę parlamentu i rządu przez komunistów. Takie zabezpieczenie stanowiła łączna liczba posłów do sejmu PPR i SL, gwarantująca minimalną

większość parlamentarną.

Jakie były następstwa wyborczego fałszerstwa?

Wybory do Sejmu Ustawodawczego kończyły dwuletni okres walki o władzę w powojennej Polsce. Po sfalszowanym głosowaniu faktycznie dzierżyli ją komuniści. Tylko pozornie wpływ na losy państwa mieli ich polityczni sojusznicy. Wybory ugruntowały w Polsce władzę PPR i pogrzebały marzenia opozycji i społeczeństwa o budowie w Polsce demokratycznego systemu politycznego. Z upływem czasu komuniści rozszerzali zakres swojej władzy we wszystkich dziedzinach życia. Własną pozycję w państwie w kontaktach z Zachodem argumentowali poparciem wyborców uzyskanym podczas głosowania. Podobnie uzasadniali także społeczne i gospodarcze przemiany w kraju, których wdrażanie po wyborach zostało przyspieszone i coraz bardziej wzorowane na doświadczeniach radzieckich.

Po wyborach do Sejmu Ustawodawczego PPR dążyła do maksymalnego wzmocnienia swoich wpływów. Do rozszerzenia dominacji w państwie nadal wykorzystywano aparat bezpieczeństwa, milicję i wojsko. Sięgnięto także po prawo, tworząc dyspozycyjne wobec kierownictwa PPR struktury i organy państwa. Władza komunistów przestawała być kontrolowana. Wraz z upływem czasu PPR odsuwała od wpływu na sprawy państwa swoich politycznych sojuszników. Na przejściowe opory w tym względzie natrafiono jedynie ze strony PPS. Na drugi plan zeszły kwestie międzynarodowe, traciły znaczenie w walce o władzę. Wiązało się to z narastającą zimną wojną, a zły stan stosunków z Zachodem stawał się argumentem na rzecz dominacji w państwie, represji i narzucania komunistycznej ideologii. Wyolbrzymione zagrożenie bezpieczeństwa państwa wykorzystywano do zbliżenia z ZSRR,

zwalczania osób podtrzymujących kontakty z Zachodem i odwrócenia uwagi

społeczeństwa od piętrzących się trudności gospodarczych.

Prof. **Czesław Osękowski** - historyk, zajmuje się historią powszechną po II wojnie światowej, współczesną historią Polski, naukami politycznymi. Pełni funkcję rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego, jest członkiem Komitetu Nauk Historycznych PAN, kieruje Zakładem Historii Najnowszej UZ. Opublikował m.in.: *Społeczeństwo Polski zachodniej i północnej w latach 1945-1956. Procesy integracji i dezintegracji* (1994); *Referendum 30 czerwca 1946 r. w Polsce* (2000); *Wybory do sejmu 19 stycznia 1947 roku w Polsce* (2000).

Ilustracja: afisz wyborczy zwycięskiego w głosowaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego, [Instytut Pamięci Narodowej](#), CC-BY-NC.

DZIEJE NAJSŁYNNIEJSZEGO PILOTA I WOJNY ŚWIATOWEJ

ZŁAMANE SKRZYDŁA
Życie i sława Manfreda von Richtbofena
ALICJA SUŁKOWSKA

WOJNA I LUDZIE:

- GWIAZDA AFRYKI**
- ZRODZINE WYCHOWANE**
- ZŁAMANE IDEALE**
- ŚMIERĆ I WYRZĄCIE**

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Replika
wydawnictwo

Patroni:
KONFLIKTY.PL
Instytut Pamięi Narodowej
SAMOLOTY.PL

Wydawnictwo Replika, tel. 61 868 25 37
adres e-mail: handlowy@replika.eu
www.replika.eu

Z lotu ptaka

Zdjęcia wykonywane z balonów i latawców w czasie wykopalisk to świetne narzędzia do dokumentowania postępów prac i rejestrowania pojedynczych stanowisk archeologicznych - pisze w książce "Z lotu ptaka" archeolog dr Miron Bogacki z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego.

"Ze względu na popularność balonów i latawców w zabawach dziecięcych naukowcy często nie traktują ich poważnie" - zauważa we wstępie autor. I wyraża nadzieję, że wydany tom przyczyni się do zmiany wizerunku tych statków powietrznych na bardziej profesjonalny.

Biskupin to miejsce, gdzie po raz pierwszy polscy archeolodzy w latach 30. XX w. wykorzystali balon na uwięzi dla swoich potrzeb. Był on wypełniony wodorem. Pod czaszą umieszczono aparat fotograficzny, którego migawkę kontrolowano za pomocą poprowadzonego na ziemię przewodu. Dzięki tym fotografiom (wykonanym z wysokości 150 m) naukowcy byli w stanie przygotować spektakularną dokumentację - na zdjęciach widoczne są świetnie zachowane pozostałości słynnej biskupińskiej osady sprzed ponad dwóch tysięcy lat.

Działo się to 80 lat temu, możnaby więc przypuszczać, że dziś podobne, ale unowocześnione sposoby dokumentacji są stosowane na potrzeby archeologii na dużą skalę. Tak jednak się nie stało. Dr Bogacki odnalazł w literaturze tylko kilkadziesiąt przykładów stosowania na potrzeby archeologii balonów i latawców w ciągu ponad stu lat. Dlaczego? Według dr. Bogackiego samoloty "zepchnęły te techniki na pobocze historii".

"Wydaje się, że dzięki wprowadzeniu nowych rozwiązań technicznych, takich jak lepsze materiały konstrukcyjne balonów i latawców, bezprzewodowa łączność do kontrolowania



aparatu i fotografia cyfrowa, w końcu stało się możliwe, by techniki te zostały opanowane przez szersze grono naukowców" - wylicza archeolog.

Wskazuje on na szereg zalet wykorzystania takiego sprzętu. Za największą z nich uważa bezkonkurencyjną przenośność - zwłaszcza latawców. Ich konstrukcja jest najczęściej bardzo prosta i łatwa do naprawienia. W przeciwieństwie do dronów latawce są też bardziej bezpieczne dla otoczenia, a ich operatorzy nie potrzebują do sterowania specjalnych licencji.

Archeolodzy często zapominają w swojej pracy o działaniach z zakresu public relations. Tymczasem - jak zauważa dr Bogacki - "efektem ubocznym" wykorzystania latawca lub balonu są często efektowne zdjęcia, które można zastosować do rozpropagowania osiągnięć lub wykorzystać do zdobycia uwagi sponsorów, a przez to - pozyskania funduszy do dalszej pracy.

Autor książki opisuje też swoje bogate doświadczenia w obsłudze latawców na potrzeby archeologii. Zwraca uwagę, że transport i przekraczanie granicy z latawcem (w przeciwieństwie do np. drona) nie wzbudza u celników większego zainteresowania, co jest również istotne podczas organizacji misji badawczej.

W książce poznajemy również historię pierwszych znanych na świecie balonów i latawców, jak również ich późniejszego wykorzystania w archeologii. W tym przeglądzie nie zabrakło ważnego wątku - wkładu w tę dziedzinę społeczeństw azjatyckich. Pierwsze znane przekazy na temat latawców pochodzą bowiem z Chin. W legendach tego kraju czytamy o wykorzystaniu tych urządzeń szczególnie w związku z działalnością militarną.

Dr Miron Bogacki dzieli się również wiedzą i doświadczeniem nt. warsztatu fotografii balonowo-latawcowej. Lektura książki pomoże w doborze odpowiedniego sprzętu począwszy od aparatów fotograficznych a skończywszy na rodzaju stosowanego kołowrotka.

Książka jest bogato ilustrowana. Zdjęcia i grafiki prezentują nie tylko możliwości balonów i latawców w postaci spektakularnych fotografii wykonanych z lotu ptaka, ale i również sam sprzęt, sposoby jego przygotowania do pracy i obsługę.

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Szwadrony śmierci Hitlera. Einsatzgruppen i logika masowej zbrodni.

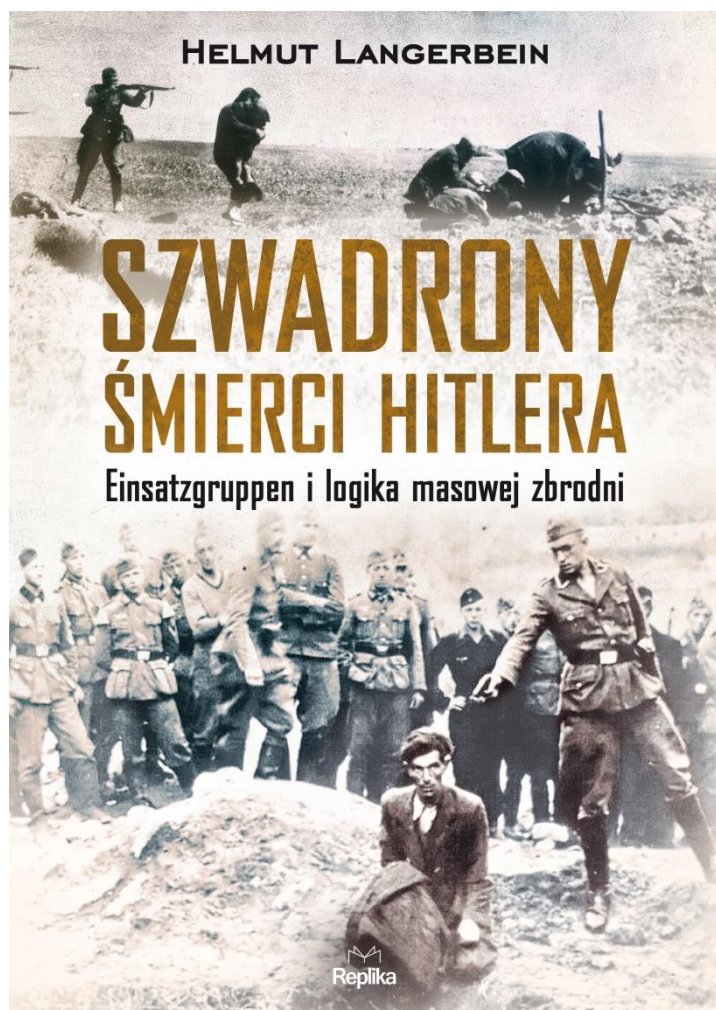
Co sprawiło, że Einsatzgruppen – szwadrony śmierci Hitlera – wymordowały setki tysięcy niewinnych ludzi?

Helmut Langerbein postawił sobie za zadanie ustalenie motywów, które sprawiły, że kadry Einsatzgruppen w latach 1941-1942 przyniosły śmierć setkom tysięcy ludzi na okupowanych terenach Związku Sowieckiego. Niemcy dokonywali aktów masowego ludobójstwa bez sprzeciwu i wątpliwości. Dlaczego tak skrupulatnie wykonywali rozkazy, często budzące w nich samych odrazę? Którym wewnątrz się sprzeciwiali? Dlaczego z własnej inicjatywy wykraczali poza już i tak zbrodnicze instrukcje? Dlaczego bezbronne ofiary doświadczały od nich przed śmiercią okrutnego, bestialskiego traktowania?

Punktem wyjścia do tych rozważań są wnioski przedstawione w pracach uznanych badaczy Holocaustu: Christophera Browninga i Daniela Goldhagen. Langerbein przeprowadza własną analizę powodów, które „zwykłych ludzi” zamieniły w ludobójców. Wychodząc od materiałów podstawowych, jakimi były akta zbrodniarzy z Einsatzgruppen, znacząco rozszerza bazę źródłową o materiały procesowe z innych okręgów sądowych Niemiec. Szczególną wagę przykładu do pochodzenia społecznego, wykształcenia i kariery zawodowej przyszłych masowych morderców.

W tym celu dzieli sprawców na kilka grup i każdą poddaje wnikliwej analizie, nierzadko dochodząc do zaskakujących wniosków.

Szczególną uwagę Langerbein poświęca analizie „patologicznych zabójców”, czyli oficerów SS. Pomimo starannego wychowania i wyższego wykształcenia, w ekstremalnych warunkach Holocaustu, ujawnili oni najnikczemniejsze strony ludzkiej natury. Znajdowali specyficzną satysfakcję w dręczeniu i upodlaniu ofiar, których los i tak był przesądzony z woli Hitlera.



Autor przeciwstawia im przypadki zbrodniarzy „sprawiedliwych”, skruszonych i uniewinnionych przez sądy.

Szwadrony śmierci Hitlera rzucają nowe światło na motywy Holocaustu. Prezentują zarazem szerokie spektrum portretów bezpośrednich sprawców zbrodni, wnikając w głąb ich indywidualnych motywacji.

Helmut Langerbein urodził się w 1962 roku w Wickede (Zagłębie Ruhry) w Nadrenii Północnej-Westfalii (Niemcy). W latach 1981–1993 był pilotem Luftwaffe, gdzie uzyskał stopień kapitana. W okresie od 1988 do 1993 roku dowodził kompanią szkoleniową w Mengen. Następnie przeniósł się do USA i poświęcił studiom historycznym. Uzyskawszy stopień doktora, został wykładowcą historii na University of California w Santa Cruz oraz w Hartnell College w Salinas. Obecnie jest dziekanem College of Liberal and Performing Arts na Southern Arkansas University w Magnolii.



Piękna bestia

Irma Grese – urocza i okrutna – zdaniem więźniarek: „piękna bestia”

Poruszająca opowieść o kobiecie, którą ideologia narodowego socjalizmu skutecznie przemieniła z naiwnej wiejskiej dziewczyny w bezwzględnego potwora.

Termin „zbrodniarze hitlerowscy” przywodzi na myśl zimne i pozbawione wyrazu twarze SS-manów. W końcu, czyż Trzecia Rzesza to nie „męska sprawa”, jak głosił jeden z nazistowskich sloganów?

Daniel Patrick Brown szybko rozprawia się z mitem, jakoby tylko mężczyźni mogli wyrządzać ekstremalne zło. Nazistowskie Niemcy to nie tylko „męska sprawa”, lecz „sprawa”, w której mężczyźni i kobiety uczestniczyli z równą gorliwością. Niemieckie zbrodniarki nie wahały się torturować i mordować niewinnych ludzi, niezależnie od płci i wieku. Jedną z nich była Irma Grese – członkini personelu pomocniczego SS i strażniczka niemieckich obozów koncentracyjnych.

W 1943 roku Irma Grese została skierowana do Auschwitz-Birkenau, gdzie awansowała do funkcji zastępczyni głównej nadzorczyńi obozu kobiecego w Brzezince. Została aresztowana w kwietniu 1945 roku, osądzona w tzw. procesie Bergen-Belsen i stracona w grudniu

1945.

Irmę Grese uznaje się za jedną z najokrutniejszych funkcjonariuszek SS. Ze względu na niezwykle urodę kontrastującą z brutalnością więźniarki Auchwitz-Birkenau nadały jej przydomek „piękna bestia”.

Daniel Patrick Brown ukończył studia historyczne na Colorado State University w Fort Collins, a następnie doktoryzował się na University of Colorado w Boulder. Obecnie jest emerytowanym profesorem historii Moorpark College w Kalifornii, gdzie pełnił m.in. funkcję dziekana Wydziału Nauk Społecznych i Behawioralnych.



Dan Brown jest uznanym autorytetem w temacie holokaustu, a szczególnie obozów koncentracyjnych. W swych badaniach koncentruje się na kwestii wcześniej przez historyków zaniedbywanej, czyli na kobietach-strażnikach obozowych.



TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI **ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH**

Zawiercie 26 II 2017

bieg na 1963m i 10km

START
12:00 Parking MOK, ul. Piastowska 1

KONIEC
13:30 Pomnik Ofiar Hitleryzmu
i Stalinizmu, al. Gen. Sikorskiego

ZAPISY:
www.datasport.pl

KONTAKT:
www.facebook.com/StowZIN
stowZIN@gmail.com



"Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba"
Danuta Siedzikówna "INKA" 3 IX 1928 - 28 VIII 1946



#wolność OtoZawiercie.pl
Zdjęcia i fakty z życia miasta



Karnawał na Maderze



Mieszkańcy Madery wiedzą jak się dobrze bawić. Karnawałowe imprezy trwają ponad tydzień, a na stołach króluje tutejszy przysmak malassadas. Najważniejszym wydarzeniem jest jednak wielka parada w Funchal, która przyciąga tysiące widzów.

Leżąca na Oceanie Atlantyckim wyspa Madera urzeka pięknymi krajobrazami, specjałami kuchni regionalnej oraz przyjazną atmosferą. Warto tego doświadczyć podczas tegorocznych obchodów *Carnaval da Madeira*.

W czasie karnawału kluby organizują tematyczne imprezy, zachęcając klientów do przebrania się zgodnie z motywem zabawy. Kto ma znajomych na Maderze, ma natomiast szansę zostać zaproszonym na prywatną imprezę, nawiązującą do dawnego zwyczaju „napadania” grupy przebierańców na domy swojej rodziny i przyjaciół w celu „ograbienia” ich z takich łakoci,

jak *sonhos* (małe, maślane pączuszki) oraz charakterystycznych dla Madery i Azorów *malassadas* (maślano - mleczne racuchy, obowiązkowe danie ostatekowe), co zawsze kończyło się imprezą. Owa tradycja uległa nieco modyfikacji i obecnie data „napadu” jest wcześniej ustalana, a „rabusie” przynoszą smakołyki ze sobą.

Od środy poprzedzającej Popielec w centrum Funchal, a zwłaszcza na głównym deptaku Avenida Arriaga, odbywają się rozmaite pokazy i występy, wypełniając miasto muzyką i śmiechem. Najważniejszymi atrakcjami karnawału na Maderze są jednak: tradycyjna *Festa dos Compadres* w Santana oraz wielka karnawałowa parada *Cortejo alegórico* i ostatekowy pochód przebierańców *Trapalhão Parade* w Funchal.

Dziad z babą, czyli *Festa dos Compadres* – Santana – 16, 18, 19 i 23 lutego 2017 r.

Tradycyjny, odbywający się już od ponad pięćdziesięciu lat festyn *Festa dos Compadres* w miejscowości Santana, stanowi jasny znak, że karnawał na Maderze rozpoczął się na dobre. Festyn trwa kilka dni, a zaczyna i kończy go pokaz ogni sztucznych. Mieszkańcy przygotowują paradę przebierańców *Cortejo Folião* oraz paradę etnograficzną *Cortejo Etnográfico*, podczas której można zobaczyć regionalne stroje ludowe oraz scenki z życia codziennego, niekiedy humorystycznie przedstawione. Częstym motywem są również kukły przedstawiające dziada („compadre”) z babą („comadre”), od których pochodzi nazwa festynu. Główną atrakcją jest jednak zainscenizowane, satyryczne przedstawienie rozprawy sądowej z udziałem tych postaci. Wyśmiewane są wówczas sytuacje z życia codziennego i politycznego, które wydarzyły się w poprzednim roku. Po wydaniu wyroku przez sąd, kukły symbolizujące dziada i babę są palone „za karę”. Ponieważ widowisko odbywa się w języku portugalskim, warto zapewnić sobie lokalnego tłumacza.

Parada karnawałowa *Cortejo alegórico* – Funchal – 25 lutego 2017 r.

Sobotnia, wieczorna parada to punkt kulminacyjny karnawału na Maderze, który przyciąga tysiące widzów. Piękne tancerki i tancerze, w kolorowych, przyciągających wzrok strojach, paradują przez centrum Funchal, podrygując w rytm muzyki. W zeszłym roku w pochodzie wzięło udział ok. 1200 tancerzy i muzyków, w tym m.in. szkoły samby. Przygotowania do *Cortejo alegórico* (m.in. budowa platform oraz próby układu choreograficznego) zaczynają się już wiele miesięcy wcześniej.

Parada błaznów *Cortejo Trapalhão* – Funchal – 28 lutego 2017 r.

O ile w przypadku dwóch poprzednich wydarzeń, turyści pozostają zazwyczaj tylko widzami, o tyle podczas *Cortejo Trapalhão* każdy może wykazać się kreatywnością i wziąć udział w pochodzie. W ostatni wtorek przed środą popielcową na Rua da Carreira w Funchal pojawiają się rozmaici przebierańcy: od postaci wyśmiewających jakąś sytuację społeczną czy polityczną, po „klasyczne” stroje karnawałowe (np. piratów).

W MRU zimuje 34,7 tys. nietoperzy



Okolo 34,7 tys. nietoperzy zimuje w największym w Polsce zimowisku tych ssaków - Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym (Lubuskie). W weekend odbyło się międzynarodowe liczenie tych zwierząt - poinformował PAP dr Tomasz Kokurewicz z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

"W tym roku nietoperzy było trochę mniej, niż w roku ubiegłym. Ta różnica wynosi ok. tysiąca osobników" - powiedział PAP Kokurewicz. Dodał, że nie ma powodów do obaw, gdyż ubytek tysiąca nie stanowi jeszcze większego problemu.

Zauważył, że od dwóch lat jest tendencja spadkowa w stosunku do rekordowego roku, kiedy to w MRU zimowało prawie 39 tys. nietoperzy.

"Jeśli za rok znowu liczebność nietoperzy spadnie o więcej niż dotychczas, to będziemy się zastanawiali, czy jest to jakaś krótkotrwała zmiana liczebności, czy coś złego się dzieje. Na razie nie powodów obaw. Musimy poczekać do przyszłego roku" - zaznaczył Kokurewicz.

Coroczne liczenia nietoperzy w MRU to jeden z elementów prowadzonego tam od 1999 roku programu ochrony tej unikatowej kolonii.

"Celem tych badań jest poznanie, w jaki sposób zachowują się populacje zimujących tu gatunków – czy ich liczebność wzrasta, spada czy też jest stabilna. Musimy to wiedzieć, żeby w porę zareagować i ewentualnie poprawić warunki zimowania tych zwierząt" - wyjaśnił Kokurewicz.

Przypomniał, że Polska ma obowiązek składania co kilka lat raportu Komisji Europejskiej nt. stanu cennych przyrodniczo siedlisk i gatunków objętych ochroną w ramach obszarów Natura 2000, a do takich należy cały kompleks MRU.

Obecnie liczenia w ramach działalności badawczej organizuje Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu. W tegorocznym liczeniu wzięło udział 70 osób z kilku krajów, oprócz 23 Polaków byli to m.in. naukowcy z Wielkiej Brytanii, Holandii, Niemiec, Szwecji czy Finlandii. Wspierali ich specjaliści z Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska (RDOŚ) w Gorzowie Wlkp.

Zasady liczenia są niezmiennie, aby wyniki były możliwe do porównania. Tradycyjnie "główne siły" zostały skierowane w sobotę do części podziemnych fortyfikacji. Z kolei w niedzielę przyrodnicy skupili się na szukaniu nietoperzy w obiektach naziemnych.



"Podczas liczenia zostało stwierdzonych dziewięć gatunków w czasie zimowania w podziemnym systemie, a w naziemnych bunkrach nie połączonych z ogromnymi podziemiami po raz pierwszy od wielu lat stwierdziliśmy zimowanie gacka szarego. Gatunek nie jest rzadki i zagrożony, ale z reguły zimuje gdzie indziej" - powiedział Kokurewicz.

Dodał, że dobrą informacją jest fakt, że po kilku latach wyraźnego spadku ustabilizowała się liczebność nocka rudego, jednego z najbardziej powszechnych gatunków w MRU.

Podziemia rezerwatu "Nietoperek" i obiekty wolnostojące na obszarze Natura 2000 Nietoperek obejmują centralną część odcinka Frontu Fortecznego Łuku Odry i Warty zwanego popularnie Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym (MRU). Znajdują tu schronienie nietoperze z województw: lubuskiego, zachodniopomorskiego i wielkopolskiego oraz ze Wschodnich Niemiec.

Na podziemną część MRU składa się system korytarzy, tunelów i komór (ok. 32 km) oraz naziemnych bunkrów, zbudowanych przez Niemców w latach 30. XX wieku i w czasie II wojny światowej. Panująca tam stała temperatura i wilgotność stwarzają nietoperzom idealne warunki do zimowej hibernacji.

Najliczniej zimują w MRU nocek duży, nocek rudy i nocek Natterera. Najrzadsze z gatunków hibernujących w tym miejscu to: mroczki późne, nocki Bechsteina i nocki łydkowłose.

W zależności od gatunku skupiska hibernujących nietoperzy liczą od kilku do nawet kilkuset osobników. Zwierzęta te potrafią wprowadzić swój organizm w stan hibernacji - spada wówczas temperatura ciała i zwalania metabolizm. Dzięki temu mogą przetrwać bez pożywienia nawet kilka miesięcy zasilając organizm zgromadzonym w nim wcześniej tłuszczem.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Pierwszy samochód rajdowy Toyoty



Toyopet Crown Deluxe zadebiutował na japońskim rynku w 1955 roku jako luksusowy samochód średniej wielkości. W 1957 roku auto wystartowało w rajdzie Round Australia Trial. W ten sposób Toyota stała się pierwszym japońskim producentem samochodów, który zaistniał w międzynarodowym motorsporcie.

Sporty motorowe promują motoryzację

Sierpień 1957 roku był ważnym momentem dla Toyoty i jej obecnego na rynku od 2 lat modelu Crown. 25 sierpnia japoński producent dostarczył do USA pierwsze egzemplarze swojego luksusowego auta, inaugurując w ten sposób swoją obecność na amerykańskim rynku. W tym samym miesiącu po drugiej stronie Pacyfiku Crown wystartował w pierwszym rajdzie w historii Toyoty – Round Australia Trial. Do tej pory żaden japoński producent samochodów nie brał udziału w międzynarodowych imprezach sportowych.

Pięć lat wcześniej Kiichiro Toyoda, założyciel Toyota Motor Corporation i jej ówczesny prezydent, powiedział, że motorsport będzie odgrywał bardzo ważną rolę w promowaniu

motoryzacji. „Japoński przemysł motoryzacyjny z pewnością odniesie sukces na rynku samochodów osobowych” – przekonywał. – „Żeby to jednak nastąpiło, producenci muszą uczestniczyć w rajdach i wyścigach, aby testować trwałość i osiągi swoich samochodów oraz zaprezentować ich możliwości. Współzawodnictwo przyspiesza rozwój i rozpala emocje fanów motoryzacji”.

Niestety Kiichiro Toyoda niedługo potem zmarł i nie zdążył zobaczyć, jak jego przewidywania stają się rzeczywistością. Do realizacji sportowych ambicji Toyoty doprowadził jego kuzyn i następca, Eiji Toyoda. Niewątpliwą zasługą nowego prezydenta było zwiększenie dochodowości firmy dzięki ekspansji na nowe rynki. Jednocześnie Eiji wiele uwagi poświęcał obecności Toyoty w sporcie, widząc w tym szansę na szybki rozwój techniczny i efektywne narzędzie promocji.

Okazja nie do zmarnowania

Kiedy japoński konsul w Australii zwrócił się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Japonii z prośbą, aby rodzimi producenci samochodów wystartowali w Round Australia Trial, najsłynniejszym rajdzie Antypodów, Eiji Toyoda natychmiast zareagował. Poparł go dyrektor działu sprzedaży, Shotaro Kamiya. „Nie będzie postępu, jeśli będziemy bali się porażki” – zauważył.

Toyota nie miała wielkiego wyboru jeśli chodzi o model, który mógłby wziąć udział w takiej imprezie. Crown nadawał się do tego znakomicie, gdyż od razu skonstruowano go z myślą o sieci japońskich dróg, która składała się niemal wyłącznie z pełnych wybojów ubitych traktów. Round Australia Trial to były bardzo wymagające 19-dniowe zmagania na dystansie ponad 16 tys. km dookoła kontynentu. Tylko 5 procent trasy przebiegało przez drogi asfaltowe. W tamtym czasie australijski rajd był uważany za najtrudniejszy na świecie.

Toyota przygotowała do startu produkcyjnego Crowna po lekkich modyfikacjach. Samochód został wyposażony w części zapasowe, kanistry z wodą i paliwem. Samochodem zajął się specjalnie powołany do tego celu dział firmy Toyota Technocraft, która odpowiadała za projektowanie nadwozi. Dział sportowy otrzymał nazwę Toyota Sports Corner, w skrócie Tosco. Z czasem niewielki zespół rozwinął się w firmę Toyota Racing Development.

Do udziału w rajdzie Toyota oddelegowała dwóch mechaników fabrycznych – byli to Kunio Kaminomura i Koujiro Kondo. Dołączył do nich australijski pilot, Lindsay Hedley. Japońscy kierowcy nie mieli żadnego doświadczenia sportowego, nie otrzymali też żadnego wsparcia w postaci choćby zaplecza mechaników czy samochodów transportowych. Wszystkie problemy musieli rozwiązywać sami na miejscu. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to na powód do poważnych żmartwień, jednak z dokumentacji fotograficznej wynika, że australijski rajd był dla śmiałków wielką przygodą, która sprawiała im sporo radości.

W Round Australia Trial 1957 wystartowało 86 samochodów, ale tylko 52 dotarły do mety. Samotna Toyota Crown znalazła się wśród szczęśliwców, zajmując 47. miejsce w klasyfikacji generalnej i 3. w grupie aut zagranicznych. Wykazała się dużą niezawodnością i pokonała całą trasę bez większych problemów technicznych.

Co dalej?

Toyota Crown Deluxe przeszła do historii jako pierwszy japoński samochód, który zaistniał w międzynarodowym motorsporcie. Akcja Toyoty miała w Japonii tak pozytywny oddźwięk, że pozostali japońscy producenci poczuli się zobligowani do pójścia w ślady Toyoty. W następnym roku Nissan wystawił w Round Australia Trial Datsuna 1000, a Toyota zwiększyła liczbę załóg do trzech. Jednocześnie Toyota przetarła szlaki także we własnym kraju, wygrywając pierwszy oficjalny wyścig drogowy – Yomiuri Round Japan Rally 1958. W tej imprezie także wystartował Crown. Tym razem auto poprowadziło małżeństwo Yukiyasu i Misako Togo. W późniejszych latach Yukiyasu Togo został prezesem Toyota USA.



Wniosek o utworzenie rezerwatu przyrody „Reliktowa Puszcza Karpacka”

Wniosek o utworzenie rezerwatu przyrody „Reliktowa Puszcza Karpacka”, który miałby ocalić cenne rośliny i zwierzęta, zagrożone wyginięciem, wpłynął do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska (RDOŚ) w Rzeszowie. Nie wiadomo, kiedy zapadnie decyzja RDOŚ w tej sprawie.

Z wnioskiem o utworzenie rezerwatu wystąpiła Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze. Rezerwat miałby powstać na terenie nieistniejącego jeszcze Turnickiego Parku Narodowego, o którego utworzenie już przed wojną zabiegali przyrodnicy. To teren na południe i wschód od rzeki Wiar, należący do gminy Bircza i częściowo gminy Fredropol na Podkarpaciu.

Radosław Michalski z Fundacji w rozmowie z PAP ocenił, że utworzenie rezerwatu jest obecnie - czyli do momentu utworzenia Turnickiego Parku Narodowego - najlepszym rozwiązaniem, aby uchronić najcenniejsze rośliny i zwierzęta zamieszkujące ten teren, przed wymarciem.

Chodzi bowiem o to, że tereny te nie są obecnie w żaden sposób chronione, a te najcenniejsze walory przyrodnicze są silnie zagrożone m.in. planowaną gospodarką leśną określoną w Planie Urządzania Lasu dla Nadleśnictwa Bircza na lata 2017-2026.

Jak przypomniał Michalski, już przed wojną przyrodnicy uznali, że teren ten

powinien być chroniony co najmniej jako rezerwat. Następnie w latach 80. XX wieku pojawił się pomysł utworzenia Turnickiego Parku Narodowego, a w 1993 roku opracowano właściwą dokumentację.

„Od tego czasu sprawa utknęła. Utworzenie zatem rezerwatu przyrody +Reliktowa Puszcza Karpacka+ byłoby takim środkiem zabezpieczającym tamtejsze zwierzęta i rośliny, z których wiele jest unikatowych na skalę europejską, przed całkowitym zniknięciem, wymarciem” – wyjaśnił Michalski.

Jest tam m.in. prawie 6 tysięcy kilkusetletnich drzew spełniających kryteria pomników przyrody, czyli liczba porównywalna do liczby drzew pomnikowych w Białowieskim Parku Narodowym.

Teren ten to także jedna z najważniejszych ostoi żbika w Polsce. Ponadto na tym obszarze żyją wilki, rysie i niedźwiedzie, a bardzo rzadki orzeł przedni odbywa tam swoje lęgi, a co roku na starych drzewach gniazda zakładają orliki krzykliwe.

„Ten niezwykle obszar powinien już dawno być parkiem narodowym. Dziś zaledwie 3 proc. tego obszaru zajmują rezerваты utworzone w połowie lat 90. ub. wieku. Czas działa na niekorzyść turnickich lasów, w których nadal prowadzona jest wycinka drzew. W ten sposób już za kilka lat bezpowrotnie stracimy szansę na ochronę starych jodeł, buków, jaworów i grabów. Wyginą też zwierzęta, dla których teren ten jest jedynym miejscem do życia” – podsumował Michalski.

Jako przykład podał np. gatunek chrząszcza, który bytuje tylko i wyłącznie w martwych, kilkusetletnich drzewach o wielkich gabarytach, albo też gatunki porostów żyjące z kolei tylko na żywych kilkusetletnich drzewach, co oznacza, że w młodych lasach się nie „zadomowią”, czy też przykład niedźwiedzi, które na swoje gawry wybierają miejsca pod grubymi jodłami.

Wraz z wnioskiem o utworzenie rezerwatu przyrody Fundacja przesłała do RDOŚ w Rzeszowie obszerną, liczącą prawie 450 stron dokumentację.

„Dokumentacja powinna stanowić punkt wyjściowy do podjęcia dalszych prac przez powołaną do tego instytucję. Stanowisko świata nauki i przyrodników od prawie trzech dekad wnioskujących o ochronę

lasów Pogórza Przemyskiego wciąż podkreśla pilną potrzebę powołania Turnickiego Parku Narodowego. Mamy nadzieję, że dyrekcja RDOŚ zapozna się wnikliwie z wnioskiem” – dodał Michalski.

Jak poinformował we wtorek PAP rzecznik RDOŚ w Rzeszowie Łukasz Lis dyrekcja wkrótce zapozna się z wnioskiem. „Z uwagi na to, że nie jest to postępowanie administracyjne, nie ma określonego terminu na podjęcie decyzji merytorycznej dotyczącej wniosku o utworzenie rezerwatu” – dodał Lis.

Wnioskowany przez Fundację Dziedzictwo Przyrodnicze rezerwat ma objąć obszar lasów o łącznej powierzchni ponad 8 tys. ha. To obszar zbliżony do powierzchni rezerwatu Lasy Naturalne Puszczy Białowieskiej.

Na terenie objętym wnioskiem do dziś stwierdzono występowanie wilków, rysi, niedźwiedzi i żbików, wielu chronionych gatunków ptaków, w tym orła przedniego, orlika krzykliwego, sóweczki i dzięcioła trójpalczastego, 24 gatunków chrząszczy wskaźnikowych dla lasów naturalnych (w tym trzy nowe dla fauny Polski, dwa uznane za wymarłe dla Polski), 18 gatunków porostów uznawanych za wskaźnikowe dla lasów naturalnych, 24 nowe dla Polski gatunki grzybów. Stwierdzono ponad 6,6 tys. stanowisk chronionych gatunków mszaków.

Agnieszka Pipała (PAP)

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001